

**MAREK STELAR**

**Świąteczna komedia prawie  
kryminalna!**

# GORRA KŁOPOTÓW



FILIA

**MAREK STELAR**

**GÓRA**  
**KŁOPOTÓW.**

**FILIA**



## 21 grudnia, godzina 17.00

– Pięknie tu, co? – Bożena westchnęła, rozglądając się na boki.

Wilkońscy wjeżdżali właśnie do centrum Świeradowa-Zdroju. Porośnięte drzewami zbocza górskich pasm otaczających dolinę pokryte były białym pyłem, a w stronę przepływającej dołem Kwisy, po stokach bezleśnych połaci, spływały białe jęzory śniegu. Było późne popołudnie dwudziestego pierwszego grudnia i wszyscy, no dobra, prawie wszyscy żyli już tylko Bożym Narodzeniem. Te kilka dni spowolnienia po szale, jaki ogarniał wszystkich w okresie poprzedzającym święta było jak obiecane dziecku przed pójściem do dentysty lody. Wynagradzały strach, ból, cierpienie i sprawiały, że zapominało się o tym, co przeżyło się przed wizytą w poczekalni.

Niestety, w tym przypadku tylko do grudnia następnego roku.

– Lepszych okoliczności świąt chyba nie mogliśmy sobie wymarzyć – dodała Bożena.

– Mogliśmy – powiedzieli równocześnie Misiek i Młody.

Obaj byli zaskoczeni zgodnością i zgraniem w czasie. Ich wzrok spotkał się na chwilę w lusterku wstecznym. Bożena popatrzyła na nich: najpierw na męża za kierownicą, potem do tyłu, na syna zatopionego w komórce. Twarz Miśka rozświetlały zegary tablicy rozdzielczej, a twarz Jacka blask wyświetlacza telefonu. Wyglądali jak zombie, zwłaszcza Młody, wpatrzony bezmyślnym wzrokiem

w ekran. Ale reagował na bodźce z otoczenia, czyli nie było jeszcze tak źle. Czasem miała wrażenie, że jego umysł jest już w środku iPhone'a i to stamtąd steruje ciałem, dlatego jej syn musi ciągle trzymać go w dłoniach.

– Co mam przez to rozumieć? – zapytała podejrzliwie.

– Że może niekoniecznie wszyscy marzą o spędzeniu świąt z... – urwał Misiek.

– Moją rodziną? – Pochyliła głowę jak lekko wkurzony przez pikadora byk. – To miałeś na myśli?

– Wiesz, że nie mam nic do twojej matki. – Misiek puścił na chwilę kierownicę i machnął rękami. – Ani do ciotki Pelagii i jej pociesznej zgrai. Chodzi tylko o...

– Przepraszam cię bardzo, mama miała go oddać do schroniska, żeby ci ulżyć?

– Do schroniska nie, ale może chociaż do jakiegoś hotelu. Najlepiej aż do Nowego Roku. Myślisz, że to dla niego jakaś różnica, gdzie spędzi święta? Zwłaszcza że tu hoteli jak mrówek, a on nie ma dużych potrzeb. Wystarczy, że będzie jedzenie. Mogłybyście mu nawet machać przez okno.

– Taki jesteś zabawny, Wilkoński? – Robiło się groźnie, bo Bożena zaczęła rzucać nazwiskami, a jej ciemne brwi zeszyły się nad nasadą nosa. – Nie pomyślałeś, że sprawiasz mi przykrość, mówiąc tak o moim rodzonym bracie?

Misiek powoli odwrócił głowę w jej stronę.

– Słucham? – zapytał i zamarł z tak otwartymi ze zdziwienia ustami.

– Co tak japę rozdziawiasz? Głuchy jesteś?

Misiek pominął te przykrości pod swoim adresem, milcząc.

– Bożena, powiedz mi, ile lat jesteśmy małżeństwem? – poprosił wreszcie, zamiast się obrażać albo denerwować.

Musiał oszczędzać nerwy z powodu Schwagra. Opcja oddania go do hotelu była kusząca, ale wyjątkowo mało prawdopodobna, choć nie obraziłby się za taki prezent pod choinkę. Swoją drogą, mógł spróbować chociaż napisać do grubego w czerwonym list z taką prośbą, w końcu święta Bożego Narodzenia to czas cudów. A nuż?

– Co to ma do rzeczy, ile lat jesteśmy małżeństwem? – Jego żona się obruszyła.

– Ma. Chyba po osiemnastu latach nie chcesz mi nagle wmówić, że żal ci twojego brata, co?

– Owszem, żal. To nie jego wina, że jest... – urwała i z jej piersi wyrwało się westchnięcie.

Misiek nie dokończył. Nie było takiej potrzeby. Za to chyba pojawiła się inna, na przykład taka, by przedstawić wreszcie naszych bohaterów. Tak by przynajmniej wypadało. A więc poznajcie rodzinę Wilkońskich, zmierzających do celu swej podróży u podnóża Sępiej Góry.

Głowa rodu, a w zasadzie tej jego gałęzi ściśniętej razem z bagażami i prezentami w skodzie fabii, to Michał Wilkoński, czyli Misiek. Tak nazywa go żona, to znaczy wtedy, gdy nie mówi do niego po nazwisku. Czterdziestoletni inżynier budowlany w firmie projektującej i dostarczającej szalunki na wielkie budowy, przeciętny facet z przeciętnymi problemami, funkcjonujący w niczym niewyróżniającej się podstawowej komórce społecznej tworzonej wspólnie z małżonką Bożeną i synem Jackiem. Takich ludzi jak on są miliony, co nie zmienia faktu, że nie każdy w najbliższym czasie przeżyje coś takiego jak Misiek i jego rodzina. Oczywiście Misiek nie ma o tym pojęcia. Gdyby jakimś cudem dowiedział się, co go czeka w nadchodzące święta, najprawdopodobniej właśnie wyjeżdżałby ze Świeradowa-Zdroju w dowolnie obranym kierunku, byle nie w stronę willi swojej teściowej.

Bożena Wilkońska też ma czterdzieści lat, ale na tyle nie wygląda, z czego cieszy się i ona, i Misiek w zasadzie też. Ma ładną, sympatyczną twarz, ciemne włosy i oczy, niezłą figurę i matematyczny umysł. Z zawodu jest księgową, pracuje w urzędzie wojewódzkim, świetnie gotuje, lubi wycieczki rowerowe, na które wyciąga swoich chłopaków, i czasem w nocy, po kryjomu ogląda komedie romantyczne i melodramaty, płacząc przy tym jak bóbr.

Syn Wilkońskich Jacek, to siedemnastoletni licealista, uczeń klasy mundurowej o profilu ratowniczym, bardzo rozgarnięty i trzeźwo patrzący na świat, choć lubiący również spojrzeć na niego nieco mniej trzeźwo. Albo może raczej z innej perspektywy, bo alkohol, jak na nastolatka, tyka niezmiernie rzadko. On również jest raczej przeciętny, nieśmiały i jeszcze nie wie, że koleżanki z klasy zaczynają na niego patrzeć nieco inaczej, w miarę jak niepostrzeżenie staje się mężczyzną. Zdradzę wam też, że nie tylko one. Misiek w związku z wydarzeniami w willi babci Malwiny również przestanie widzieć w swoim synu dziecko. Zdziwi się facet, tyle wam powiem.

To może jeszcze słowo o Szwagrze i mamie Bożeny, skoro już o nich wspomniano. Wzmianka o Szwagrze rzadko się Miśkowi zdarza, bo Misiek woli unikać tego tematu. Bożena zresztą też, ale czasem nie może, w końcu to jej brat, a rodziny się nie wybiera. Podobno z rodziną dobrze wychodzi się tylko na zdjęciach, ale o ile z resztą jej członków ani Bożena, ani Misiek nie mają większego problemu, o tyle ze Szwagrem owszem. Bo ze Szwagrem nikt nigdy nie wyszedł dobrze, nawet na zdjęciu. Szwagier po prostu taki jest. To ewenement na skalę... Hm, nie ma chyba nawet takiej skali, do której Szwagra można by odnieść.

Szwagier. Zakała rodu. Jak mawia czasem Misiek: uschnięta gałąź w drzewie genealogicznym swojej rodziny, ewentualnie spadł

z tego drzewa prosto na swój zakuty łeb. Szwagier naprawdę nazywa się Zdzisław Pałasz, ale to w zasadzie bez znaczenia, bo praktycznie nikt, może z wyjątkiem Miśka, nie zwracał się do niego inaczej niż właśnie „Szwagier”. Niektórzy członkowie dalszej rodziny nie pamiętali nawet, „jak ten, no, wiesz, Szwagier” ma na imię. Szwagier wyglądał absolutnie przeciętnie, nie wyróżniał się niczym, może poza brzuchem przywodzącym na myśl start zawodów balonowych. Facet wygląda zwodniczo. Pospolicie, ale zwodniczo, bo jego jaśniejąca beztroskim uśmiechem człowieka bez zmartwień twarz skrywa mroczną tajemnicę, znaną jedynie najbliższej rodzinie. Otóż Szwagier jest tępy jak noworoczny ból głowy i nieskomplikowany jak łazienkowa waga, i to ta analogowa, a równocześnie roztacza wokół siebie aurę człowieka, który wie wszystko i może wszystko załatwić. Tymczasem nie wie nic, a jedyne, co może załatwić, to sprawę w tak zwanej potrzebicy. Szwagier jest dumnym posiadaczem pojazdu mechanicznego marki BMW, którego daty produkcji nawet nie pamięta. Jest to pojazd czterośladowy, z bezpośrednim wtryskiem oleju na asfalt, o napędzie hybrydowym: spalinowym i ręcznym, gdyż często zdarzało się, że trzeba było zepchnąć go na pobocze. Pozbawiony jest elementarnych środków bezpieczeństwa zarówno dla kierowcy, jak i dla pasażerów, i tak naprawdę nikt nie wie ani tego, jakim cudem auto przechodziło badania techniczne, ani tego, czemu jeszcze w ogóle poruszało się po drogach publicznych. Tajemnicą było również, jak Szwagier zdał egzamin na prawo jazdy. Wyjaśnienie było proste: pojazd ów nie przechodził badań technicznych, ponieważ się na nich w ogóle nie pojawiał, a jeśli chodzi o obecność auta na drogach, ilustruje to znakomicie znane powiedzenie: „głupi ma zawsze szczęście”. Dotyczyło to również kwestii prawa jazdy, bo Szwagier go po prostu nie miał, i Misiak podejrzewał nawet, że on



nie zdaje sobie sprawy z istnienia takiego dokumentu. Niewątpliwie Szwagier szczęście ma i to w ilości hurtowej, choć nie jest nawet tego świadomy. Trwa w przeświadczeniu, że jest geniuszem i nikomu, może z wyjątkiem Miśka, nie chciało się wyprowadzać go z błędu. W każdym razie wspominam o bmw Szwagra, ponieważ ten pojazd znakomicie oddaje stan ducha i umysłu jego właściciela. Oficjalnie przyczyną ułomności intelektualnej Szwagra jest jego przeszłość w wojskach specjalnych, w których doznał ciężkiego uszczerbku na zwojach mózgu w wyniku niedotlenienia spowodowanego owinięciem się linki od spadochronu wokół szyi. Jednym słowem, Szwagra odcięło na kilka minut od tlenu, co zaważyło na całym jego dalszym życiu. W tej historii jest kilka nieścisłości, chociaż jak to zwykle ze Szwagrem bywa, ona cała jest jedną wielką nieścisłością, o czym wie tak naprawdę niewiele osób, konkretnie babcia Malwina i... Jacek.

Jeśli chodzi o babcię Malwinę, jest nie tylko babcią i nie tylko Malwiną. Wbrew pozorom ma to sens i już go wyjaśniam. Jest także mamą Bożeny oraz teściową Miśka, jednak podobnie jak w przypadku Szwagra, bardzo często w rozmowach, tak jak w wielu rodzinach, określa się ją po prostu babcią, w tym przypadku akurat babcią Jacka. Malwiną jest częściowo, ponieważ naprawdę ma na imię Jadwiga, jednak jej drugie imię, niewątpliwie bardzo malownicze, podobało się wszystkim o wiele bardziej, a zwłaszcza świętej pamięci mężowi. Jak się również łatwo domyślić, to właśnie od drugiego imienia pensjonat wziął swoją nazwę. Babcia Malwina ma siedemdziesiąt lat i jest pełna życia oraz energii, może z wyjątkiem okresu sprzed pół roku, kiedy lekko podupała na zdrowiu w wyniku komplikacji po operacji biodra. Dziś z jej zdrowiem wszystko jest już w porządku, choć trójkę naszych głównych bohaterów spotka związana z nim pewna niespodzianka.

No dobrze, skoro już wszystko wiadomo, wracamy do samochodu, który właśnie minął budynek Urzędu Miasta Świeradów-Zdrój.

– Święta to przeżytek – stwierdził Młody, wywołując zgorszenie u swojej matki. – Jesteście niewolnikami przebrzmiałej tradycji, pędzonymi przez życie na łańcuchu obowiązku wobec tych, o których powinniście dbać przez cały rok, a nie tylko od święta.

– Przepraszam, ty teraz czytasz to, co masz tam na telefonie, czy tak z głowy? – zapytał zachwycony Misiek.

– Ile razy zadbałeś o swoją babcię w ciągu tego roku? – fuknęła Bożena.

– Eee... Przeczytałem z telefonu – powiedział Młody, a Misiek poczuł lekki zawód.

– Nie grzeszcie. – W głosie Bożeny była lekka rezygnacja. – Święta w górach, ze śniegiem, w rodzinnej atmosferze... Wiecie, ilu ludzi spędza je samotnie, widząc z okna zachlapane błotem szare ulice?

– Dlaczego od razu idziesz w skrajności? – Misiek zmarszczył brwi, dochodząc do wniosku, że chyba zgodziłby się na spędzenie świąt samotnie i w mieście, byle bez Schwagra.

Ale Michał kochał Bożenę, bo w zasadzie jej brat był chyba jedyną poważną wadą, jaką posiadała. I był w stanie wiele poświęcić, żeby była szczęśliwa. Na przykład spędzić święta pod jednym dachem ze Schwagrem.

– Dobrze. – Wzruszyła ramionami. – Obaj macie prawo mieć swoje zdanie. Tylko jestem ciekawa, co powiesz, kiedy w przyszłym roku pojedziemy do twoich rodziców.

– Dobra, zostawmy ten temat. – Westchnął Misiek. – Przyjechaliśmy tu świetnie się bawić. Ma sypać śnieg...

– Mają być śnieżyce – doprecyzował Młody.

– To góry, tu każde opady śniegu są śnieżycą. Miejscowi są przyzwyczajeni i zabezpieczeni na takie okoliczności.

Bożena spojrzała krzywo na męża.

– Skąd ta niezachwiana pewność w twoim głosie?

– No mówiłaś kiedyś...

– O pięciu dniach odcięcia od świata też mówiłam?

– No tak, ale skoro przeżyliście, to znaczy, że byliście przygotowani.

– Nie wiem, czy byliśmy przygotowani, miałam pięć lat i płakałam, że nie ma bajek w telewizji. Inne rzeczy w zasadzie mnie nie interesowały. Pamiętam tylko, jak przyjechał transporter wojskowy, żeby nas odkopać.

– Ale przeżyliście – upierał się Misiek.

– No skoro takie masz kryteria zabezpieczenia, to tak – zgodziła się Bożena, ale wyłącznie dla świętego spokoju.

– Dobra, koniec podróży – zameldował Misiek, zwalniając.

Ich oczom ukazała się Willa Malwa – dom rodzinny Bożeny. Malowniczy budynek w stylu łużyckim wybudowany został na początku XX wieku nieopodal wejścia na szlak prowadzącego na szczyt Sępiej Góry. Osadzony na lekkim wzniesieniu, przeradzającym się wyżej w górskie zbocze, od początku funkcjonował jako dom wypoczynkowy. Ojciec Bożeny najpierw wydzierżawił go na niezbyt jasnych warunkach, a potem, kiedy po upadku komuny pojawiła się taka możliwość, kupił go w jeszcze mniej jasnych okolicznościach za gotówkę, której pochodzenie było owiane mgłą tajemnicy. Jej rąbka w miarę posuwania się w latach uchylała babcia Malwina, ale informacje były wciąż skąpe: na razie wiadomo było, że w dawnych czasach Wiesiek był zdolnym złodziejem, który pod wpływem swojej przyszłej żony nawrócił się, zostając uczciwym człowiekiem. Podobno z miłości ludzie robią

różne rzeczy, na przykład takie, których absolutnie nie zrobiliby w normalnych okolicznościach, i potem często tego żałują. Ale wyglądało na to, że Wiesiek nie żałował, czego dowodem mogło być zgodne pożycie z Malwiną przez następnych kilka dekad, nie przerywane pobytami w miejscach odosobnienia. Misiek sądził, że Wiesiek nie żałował, dlatego że w dawnym życiu zdążył się nieźle nachapać, czego dowodem mogła być właśnie Willa Malwa, ale to wciąż pozostawało w sferze domysłów. Sarkał czasem, że to sprawa jak z akt KGB czy CIA, które odtajniano po pięćdziesięciu latach albo wcale, a jego korciło, żeby poznać wszystkie okoliczności. Bożenę korciło odrobinę mniej i Misiek dziwił się, że nie naciska na matkę, i nie chce poznać prawdy o swoim ojcu.

Jedynym pewnikiem w tym wszystkim, naocznym i namacalnym, była rzeczona willa, stanowiąca bez wątpienia oficjalną własność babci Malwiny tudzież, powiedzmy sobie szczerze i wprost, masę spadkową. Nikt nie życzył babci śmierci, ale fakt pozostawał faktem: kiedy odejdzie tam, gdzie odchodzą w końcu wszyscy, willa zostanie na miejscu i cała rodzina była tego mniej lub bardziej świadoma. Raczej bardziej, ale pamiętajmy, że jest jeszcze Szwagier. „To mniej” to właśnie on, albowiem jego plany rzadko wybiegały w przyszłość dalej niż poza poobiednią drzemkę.

Willa, mimo że jest zadbana, nieco się zestarzała, jednak wszyscy, może oprócz Szwagra, zdają sobie sprawę, że poważny remont pochłonąłby niewyobrażalne sumy i dlatego odbywają się w niej jedynie doraźne naprawy. Zwykle uczestniczy w nich niestety właśnie Szwagier, co rodzi określone konsekwencje, którymi są kolejne naprawy, mające zniwelować skutki poprzednich. Pomijając te drobne niedogodności, willa funkcjonuje z powodzeniem w zasobie turystycznym gminy Świeradów-Zdrój. Może nie jako perła, ale radzi sobie dobrze. A raczej radziła, bo z racji wieku

i związanych z nim ograniczeń babcia Malwina podjęła decyzję o stopniowym wygaszaniu działalności. Chciała dożyć w tym budynku w spokoju resztę swoich dni, a potem mogło dziać się z nią, co chciało, czy też to, co zdecydują spadkobiercy.

I dlatego właśnie w samym środku sezonu świątecznego tego roku dom był praktycznie pusty, czekający na zaproszonych członków bliższej i dalszej rodziny. A teraz kilka słów o willi, gdyż jej rozplanowanie ma znaczenie dla wydarzeń, które się w niej rozegrają.

Z racji usytuowania na zboczu można powiedzieć, że ma dwa partery. Na niższym mieszka babcia Malwina z panią Janeczką (o której za chwilę) oraz Szwagier, zaś dwie wyższe kondygnacje i poddasze praktycznie są przez cały rok wynajmowane, czy też były, gościom: albo pojedyncze pokoje, albo całe piętro. Z jednej strony okna wychodzą na zieleń lasu porastającego stok Sępiej Góry, z drugiej strony roztacza się zaś pyszny widok na Świeradów-Zdrój i Stóg Izerski. Na niskim parterze dostępnym z ulicy znajduje się również spora kuchnia mogąca obsłużyć kilkanaście osób, zwykle za pomocą pani Janeczki, a w szczycie sezonu dodatkowo dochodzącej pani, mieszkającej po drugiej stronie Kwisy. Sala jadalna, w której za kilka dni miała odbyć się rodzinna kolacja wigilijna, znajdowała się na wysokim parterze, w samym jego środku. Była wysoka na dwie kondygnacje, a nad nią znajdował się wielki świetlik. Otoczony był witrażami, z których spoglądały na gości Duch Gór: Liczyrzepa, wodne panny i inne baśniowe stwory, nadające temu miejscu wyjątkowy charakter. Z racji wysokości, na jakiej się znajdował, był jedną z niewielu rzeczy w tym domu, nietkniętą ręką Szwagra. Pomieszczenia na piętrze otaczało obejście, z którego roztaczał się widok na salę. Jej wysokość miała dodatkowy plus: choinka, stawiana ku uciesze gości i domowników,

mogła być naprawdę wysoka, z czego skrzętnie korzystano co roku, od wielu lat.

Misiek zaparkował na ulicy i po chwili cała trójka Wilkońskich, objuczona walizkami, wkraczała do willi. Tuż po wejściu przywitała ich pani Janeczka, przyjaciółka babci od dziesięcioleci, mieszkająca tu razem z nią. Pani Janeczka jest osobą niewielkiego wzrostu, ale za to energii i żywotności ma za dwie. Był podobno nawet taki moment, w którym Szwagier sądził, że one naprawdę są dwie, bo zamyślił się, wchodząc po schodach na piętro i nie zauważył, że pani Janeczka go mija, a w zasadzie wyprzedza. Spotykając ją ponownie na górze, uklonił się grzecznie i powiedział, że miło ją poznać i że siostra jest na dole.

– Dzień dobry, dzień dobry – szczebiotała, przyglądając się po kolei wchodzącym. – Bożenko, ty jak zwykle kwitnąca, czas się ciebie nie ima. Jacek, ty już mężczyzna jesteś, pewnie dziewczyny się o ciebie biją, co? Wchodźcie, wchodźcie...

Miśka korciło, żeby zapytać panią Janeczkę: „a ja?”, ale on mężczyzną był od ponad ćwierćwiecza i nikt się o niego nie bił, a na pewno nie kobiety. Tylko on się bił z kimś, raz, i to też trochę inaczej było, bo właściwie był bity. Przez kierowcę bmw, któremu zajechał drogę, a przynajmniej tamten tak uważał, w związku z czym wysiadł, żeby wymierzyć sprawiedliwość. Misiek jako osobnik o raczej pokojowym nastawieniu do ludzi próbował jeszcze żartów o uzupełnieniu zbiorniczka na płyn do kierunkowskazów, ale żart nie spotkał się z uznaniem i kierowca bmw dał temu wyraz, który nos Miśka odczuł dość boleśnie. Historia zakończyła się ucieczką napastnika z miejsca zdarzenia, a ponieważ nie było świadków, a Misiek oprócz odrobiny krwi i godności stracił kilka minut pamięci i za chińskiego boga nie był w stanie opisać sprawcy, było to zakończenie ostateczne. Od tamtej pory widok rumaków

z bawarskiej stajni wzbudzał w Miśku nieomal wściekłość. Wyjątkiem był Szwagier, ale on wzbudzał w Miśku wściekłość ze wszystkich innych powodów z wyjątkiem tego, że miał bmw.

Po wyściskaniu przez panią Janeczkę Bożena rozejrzała się po holu i zapytała:

– Mama u siebie?

Pani Janeczka zamilkła i spuściła głowę.

– Niestety, Malwinka jest w szpitalu w Lubaniu.

– Jak to w szpitalu?

– Proszę się nie martwić, wszystko wyjaśnię na powitalnym spotkaniu. Reszta już przyjechała, o osiemnastej widzimy się w jadalni, dobrze, Bożenko? Malwina zostawiła list.

– Jezu...

– Nie, nie, spokojnie, nic się nie dzieje! – Pani Janeczka roześmiała się nagle. – Wiedziała, że tak zareagujesz. To trochę przykra sprawa, ale wszystko jest pod kontrolą. Wszystkiego się dowiecie, kiedy odczytam list. Zdzich ogarnie to, czego ja nie będę w stanie zrobić, mamy podzielone zadania.

– I tego się obawiam. – Westchnął Misiek.

– A czego? – Janeczka spojrzała na niego ze szczerym zdziwieniem w oczach, jakby naprawdę nie wiedziała, o czym mówi.

– Tej jego części, którą ma ogarniać. Mam nadzieję, że chodzi tylko o wyrzucanie śmieci.

– Michał... – Głos Bożeny był niski z napięciem, ale przynajmniej nie zwróciła się do niego po nazwisku.

– Pan się nie martwi, panie Michale. Może Zdzisiek nie jest tytanem intelektu, ale jest łatwo sterowalny i przy odpowiednim podejściu nadaje się do wielu zadań. Dobrze, kochani, idźcie się rozpakować. Dałam wam pokój „zielony”, na poddaszu, z widokiem na Stóg Izerski. Proszę, tu są wasze klucze.

– Ekstra!

Ta wiadomość sprawiła, że Misiek na chwilę zapomniał o Szwagrze. Wchodząc na górę, zorientował się, że Młody gdzieś wsiąkł, więc wziął jego torbę i rozpoczął wspinaczkę po trzeszczących schodach. Bożena była tuż za nim, a kiedy dotarli na swoje piętro, otworzył drzwi i wpuścił Bożenę przodem. Wjechał walizkami do środka i ustawił je pod ścianą, na mniejsze postawił torbę Jacka, a potem spojrzął w okno, stęskniony trochę za widokiem, który bardzo lubił, a który widywał zdecydowanie zbyt rzadko. Ale Stogu Izerskiego za oknem nie było, nie było też Świeradowa-Zdroju, nie było niczego, z wyjątkiem śnieżnej zadymki. Zastłona śniegu falowała targana wiatrem, płatki, które przylepiły się do szyby, topniały, stawały się kroplami, łączyły ze sobą i spływały w dół jak wielkie łzy.

Misiek rzucił się na łóżko, aż zaskrzypiało, wyciągnął się na nim i włożył ręce pod głowę.

– Pani Janeczka jest urodzoną optymistką – stwierdził, wpatrując się w sufit. – Albo ma to, co rybka Dory. Resetuje jej się każdy dzień i nie pamięta, co wywija Szwagier od co najmniej trzydziestu lat. Bo Szwagier jest mniej więcej tak sterowalny jak przenośna betoniarka. I to samo ma w głowie. Beton. Z przyspieszaczami.

– Daj już spokój, co innego mnie martwi. – Bożena otworzyła walizkę i zaczęła ją rozpakowywać.

– Co? – Misiek obrócił głowę i ze zdziwieniem obserwował żonę.

Wciąż nie był w stanie pojąć sensu tej czynności. Przecież wystarczyło sukcesywnie wyjmować rzeczy z walizki w miarę potrzeby, a nie przenosić wszystko do szafy, z której za kilka dni znów trzeba będzie wkładać do walizki to, co zostało niewykorzystane.



– Martwią mnie słowa Janeczki. Bo kiedy ludzie mówią, że wszystko jest pod kontrolą, zwykle nic nie jest pod kontrolą.

– Ale to tylko w przypadku twojego brata. On nie zna znaczenia pojęcia „kontrola”.

– Nie tylko w jego przypadku.

– Dobrze, poczekajmy. Teraz się rozpakujemy i odświeżymy. Wszystkiego dowiemy się na spotkaniu.

– „My” się rozpakujemy? – Brwi Bożeny podjechały do góry.

– Tak mi się powiedziało, znasz moje zdanie na temat sensowności wypakowywania zawartości walizek. Zresztą będę przynosił w nocy prezenty z samochodu, więc nie rób ze mnie potwora.

– Tak, dzwonił już z kancelarii prezydenta, że decyzja w sprawie przyznania ci za to orderu jest w podpisie. Nie, nie wstawaj nawet, po prostu wypnij pierś. Ja ci go przypnę w jego imieniu, aż ci tchu zabraknie, piękny kawalerze. – Pochyliła się nagle nad łóżkiem, wzięła zamach i klepnęła go otwartą dłonią w klatkę, aż zadudniło.

Misiek niechętnie zwał się z łóżka, rozcierając piekącą skórę.

– Powieś sobie chociaż garnitur. – Bożena podała mu wieszak z zapakowanym w pokrowiec strojem. – Gdyby nie ja, wyglądałby jak wyciągnięty psu z gardła.

Powiesił garniak w szafie i zerknął na zegarek.

– Gdzie ten Młody?

– Nie wiem, pewnie lata po domu i wita się z rodziną.

– Taak, jasne. Pewnie zaszył się w piwnicy z telefonem. Zaraz się zbieramy na to spotkanie. Gotowa jesteś?

– Chciałabym jeszcze wziąć szybki prysznic po podróży.

– Co ty, węgiel nosiłaś?

– Wil...

– Dobra! – Misiek uniósł ręce. – Idę poszukać Jacka.

– Przecież też chciałeś się odświeżyć?

Przystanął w otwartych już drzwiach i zastanowił się przez chwilę.

– Odświeżyłem się zalegnięciem na łóżku – stwierdził z zadowoleniem. – O osiemnastej na dole. Pa.



## 21 grudnia, godzina 18.00

Kiedy Wilkońscy weszli do sali, wszyscy byli już na miejscu. Zgromadzeni wokół wielkiego owalnego stołu stojącego pośrodku sali cicho rozmawiali ze sobą, wymieniając się rodzinnymi nowościami, dyskutując o polityce, albo dłubiąc w zębach. To ostatnie dotyczyło oczywiście wyłącznie Schwagra. Prym wśród zebranych wiodła ciotka Pelagia siedząca u szczytu stołu: wyróżniała się wyraźnie na tle zebranych ubiorem, ruchliwością i energią.

Pelagia Serocka, *de domo* Rymut, *primo voto* Czuczwar, rodzona siostra babci Malwiny, czyli druga seniorka rodu, była dość wysoką kobietą w słusznym wieku, choć związany z tym przykurcz sprawiał, że nie wydawała się aż tak wysoka, jak w rzeczywistości. Apodyktyczny sposób bycia przełożył się na wyraz jej twarzy, ściągniętej zawsze grymasem lekkiego niezadowolenia albo pobłażania, kiedy miała lepszy humor. Na jego poprawę też coś miała w swojej podręcznej, aczkolwiek przepastnej apteczce, o której Misiek mawiał, że potrafiłby się do niej zapakować na tygodniowy wyjazd, i to z rodziną. Błyszczące żywotnością oczy skanowały rozmówcę jak bramka bezpieczeństwa na lotnisku, długie, chude i kościste palce lekko się ruszały, jakby ich właścicielka zaraz miała wbić je w ofiarę i wygrzebać

najsmaczniejsze kąski. Czarne jak heban i pachnące piwem włosy, zebrane z tyłu w niewielki, luźny kok, przylegały ściśle do głowy. Spiczaste ramiona podkreślone były watowanym, wzorzystym żakietem, a wszystko to: i głowa, i ramiona, i nawet kok ruszały się ciągle razem z ustami, z których wciąż wylewał się potok słów.

W porównaniu do swojej siostry, Pelagii nie można było uznać za majątną, gdyż jej dawno zmarły, a najpierw zaginiony w tajemniczych okolicznościach pierwszy mąż zostawił po sobie wyłącznie długi zamiast majątku. Mąż numer dwa, już uczciwy, ale również nieżyjący, zakończył żywot z bilansem finansowym równym zero. Mimo to Pelagia zachowywała się, jakby nie przyjmowała tego faktu do wiadomości, panosząc się podczas wizyt w Willi Malwie jak udzielna księżna po swoim pałacu.

Z ważniejszych rzeczy, o których należałoby jeszcze wspomnieć: ciotka Pelagia umiera na serce. Umiera od około trzydziestu lat, kilkanaście razy dziennie wzdychając, jak niewiele życia jej zostało, a każdemu westchnięciu towarzyszy trzask blistrów, z których wyłuskuje pigułki przedłużające jej żywot aż do kolejnej dawki. Organizm Pelagii potrafił przyjąć taką ich ilość bez szkody dla jego funkcjonowania, którą naukowo można by uznać za śmiertelną, jaką na podobnej zasadzie służący raczył Napoleona, podając mu arsenik w celu zabezpieczenia go przed otruciem tym związkiem. O ile służący w końcu przesadził i przypadkiem zrobił to, przed czym chronił swego pryncypała, o tyle Pelagia jakby w ogóle nie dopuszczała do siebie myśli, że mogłaby kiedyś przedawkować. Wręcz przeciwnie, strachem napawała ją wyłącznie możliwość ominięcia dawki z powodu lekkiej sklerozy. Na nią też oczywiście brała leki.

Reszta rodziny, związana z Pelagią zarówno więzami krwi, jak i poprzez węzeł małżeński z jedną z jej córek, siedziała wokół stołu,

czekając aż Wilkońscy zajmą miejsca, a pani Janeczka rozpocznie oficjalnie rodzinne spotkanie, pierwsze od wielu lat w tym gronie. Przedstawienie owej reszty zaczniemy może wbrew dobrym obyczajom od mężczyzn, bo pomijając Miśka i Szwagra, których już znacie, został tylko jeden.

Janusz Walisz, zięć Pelagii, jest instruktorem oraz właścicielem szkoły tańca latynoamerykańskiego. To opalony systemem natryskowym na pomarańczowo, wyżelowany i żyłasty trzydziestoosmiolatek, poruszający się posuwistym krokiem na lekko ugiętych nogach. Misiek od dawna miał podejrzenia, że facet ma zamontowane w karku coś w rodzaju stabilizatora działa czołgowego, ponieważ po jakim terenie by się nie poruszał, jego głowa była wciąż w tej samej płaszczyźnie, poruszając się idealnie w linii chodu. Ewentualnie nauczył się tego od kur. Wyraźnie nadużywał lakieru do włosów, który zasechł chyba jeszcze podczas zaczesywania ich do tyłu, przez co brwi Janusza zostały w górnym położeniu, sprawiając wrażenie, że ich właściciel dziwi się każdej rzeczy, na jaką spojrzy. Zęby miał bielsze niż śnieg za oknem i gdyby otworzył usta w ciemności, zapewne buchnąłby z nich snop światła. Całości obrazu dopełniał pozłacany łańcuch, wypożyczony chyba ze stoczni, tylko bez kotwicy. Janusza słychać było na kilometr niczym Białą Damę na murach zamczyska i Misiek podejrzewał, że silna opalenizna miała również za zadanie maskować powstałe od jego uderzeń sińce na klatce. Poza tym Janusz był cichym, wręcz potulnym facetem, sprawiającym wrażenie, jakby ciągle był gdzieś indziej. Świadczyło o tym często nieobecne spojrzenie albo lekko opóźniona reakcja na bodźce.

Justyna Walisz, siedząca po prawej stronie męża córka Pelagii z drugiego małżeństwa, to czterdziestoletnia brunetka o lekkiej tuszy, całkiem ładna i sympatyczna. Z zawodu była pielęgniarką

anestezjologiczną i nadrabiała za męża energią, którą kipiała wręcz na każdym kroku, na tym polu dzielnie dotrzymując go swojej matce. Była dokładnym przeciwieństwem męża, zarówno wizualnym (i nie chodzi o oczywiste międzyplciowe różnice anatomiczne), jak i pod względem charakteru. To, w jaki sposób się dogadywali, było dla Miśka tajemnicą, być może łącznikiem były dzieci płci obojga. Drobne usta Justyny zakrywały duże zęby i tu widać było wyjątek, jeśli chodzi o różnice: jasnym było, że dbanie o nie jest rodzinnym hobby. Być może nawet graniczącym z obsesją. Wielkie brązowe oczy, roześmiane przez cały czas, promieniowały pozytywną energią i widać było, że Justyna jest po prostu fajną i sympatyczną babką.

Sprawę potomstwa Waliszowie załatwili raz, a dobrze dwanaście lat temu. Robuś i Paulinka byli bliźniętami jednojajowymi, łotrzykami kędzierzawymi i pucułowatymi jak mama. Nienawidzili się tak samo mocno, jak się kochali. Jedno za drugie oddałoby życie albo utopiło w łyżce wody, w zależności od pory dnia lub nocy. Mieli zwykle te same zainteresowania, które zmieniały się mniej więcej raz na miesiąc, a obecnie byli na etapie jazdy konnej. Do każdego hobby rodzice kupowali im ekwipunek, zwykle najlepszych, a co za tym idzie najdroższych marek, który sprzedawali miesiąc później z lekką stratą, i tak ciesząc się, że dzieciaki przejawiają jakiegokolwiek zainteresowania poza telefonami. Niewątpliwą zaletą było to, że próbowały już w życiu praktycznie wszystkiego poza spadochroniarstwem i nurkowaniem głębinowym, w dodatku te zainteresowania zawsze były wspólne, więc przy zakupie sprzętu Waliszowie zwykle dostawali zniżki. A teraz bliźniaki siedziały pomiędzy swoimi rodzicami i grały w grę polegającą na tym, które kopnie to drugie mocniej pod stołem. Jednym słowem klasyka. Kiedy przypadkiem kopnęły któregoś ze swoich rodziców, to kopnięte odwracało się i ze stoickim spokojem rzucało ciche: „Robuś” albo

„Paulinka”, które oczywiście pozostawało bez echa. Dodatkowym elementem, który odegra w tej historii pewną rolę, jest pułkownik Zooper, figurka superbohatera z jakiejś japońskiej, szerzej nieznanej kreskówki, która emituje wzrokiem różnokolorowe promieniowanie i wydaje denerwujące dźwięki w najmniej spodziewanych momentach.

Za Waliszami siedziała Alicja Serocka, młodsza siostra Justyny. Stara panna, jak sama o sobie mawiała, choć miała dopiero trzydzieści sześć lat. Ilustratorka i graficzka, freelancerka pracująca dla magazynów kobiecych, wyemancypowana, świadoma siły kobiet, chodząca na tęcze marsze, wpłacająca datki na schroniska dla zwierząt i niejedząca niczego, co za życia miało oczy. Misiek zawsze świetnie się z nią dogadywał, choć widywali się chyba najrzadziej z całej rodziny Bożeny. Alicja była szczupłą dziewczyną z krótkimi, potarganymi włosami zwykle w kolorze którejś z barw tęczy. Nosiała okulary w designerskich oprawkach, które ją trochę postarzały, i dlatego zapewne Schwagier zapytał ją kiedyś, skąd wyszperała okulary dziadka. W związku z samotnością, jak twierdziła z wyboru, Misiek podejrzewał dwie rzeczy: albo jest lesbijką i nie ma ochoty przyznawać się do tego rodzinie, albo żaden facet nie spełnia jej wymagań i jest jej dobrze samej ze sobą. Żadna z tych opcji mu nie przeszkadzała, ale próby zaspokojenia zwykłej ludzkiej ciekawości u Bożeny spełzły na niczym, bo jego żona też tego nie wiedziała. Kuzynki nie były nigdy zbyt blisko ze sobą, mimo że różnica wieku między nimi wynosiła raptem cztery lata.

Ostatnim bohaterem naszej historii jest mieszkaniec domu: kot o imieniu Krakery. Rudy dachowiec z białym pyszczkiem i o pogardliwym spojrzeniu bursztynowych oczu został onegdaj pozbawiony pewnych kluczowych dla kocurów części ciała, co miało zapobiec ucieczkom z domu w celach wiadomych. Miało to również



oczywisty wpływ na jego usposobienie, choć nie do końca taki, jak wyobrażała sobie babcia Malwina. Krakers jest wybitnym indywidualistą. Głaskanie jest ostatnią rzeczą, na którą zwykle ma ochotę, myszy ani pająka nie ruszy, choćby mu nawet wsadzić je do pyska, ponadto ma zwyczaj zalegania w najmniej spodziewanych miejscach domu, zazwyczaj między ubraniami, na których zostawia sporo siebie. Jednym słowem jest bezużyteczny, jeśli chodzi o funkcje kocie, takie jak bycie miłym towarzyszem czy myśliwym. Ponadto zwierzę to ma niezwykłą zdolność zmiany parametrów swojego kociego cielska. Latem jest szczupłym, wręcz wychudzonym kotem, nad którym litują się turyści zmierzający na szczyt Sępiej Góry. Zimą zaś, obżerając się do nieprzytomności w swym zwierzęcym przewidywaniu ciężkiej pory roku, puchnie straszliwie, przybierając postać futrzastej kuli z pyzată mordką. Miśkowi kojarzy się wtedy z Garfieldem po wizycie w ulu. Krakers oczywiście nie zdaje sobie sprawy z tych zmian i w okresie zimowym często potrafi utknąć między szczebelkami barierki na schodach, co nigdy nie zdarza się latem.

Kiedy Wilkońscy usiedli na wolnych miejscach, na szczęście daleko od Schwagra, Janeczka wstała, zerknęła na stojący w kącie wielki zegar, chrząknęła i potoczyła zadowolonym wzrokiem po zebranych.

– Witam serdecznie wszystkich raz jeszcze w imieniu Malwiny, która jak już wiecie, z przyczyn niezależnych nie może być tu teraz z nami. Ale jak Pan Bóg pozwoli, dołączy do nas na Wigilię. Odczytam teraz list, który dała mi na tę okazję i który powinien wszystko wyjaśnić.

Wyjęła z kieszeni fartucha kartkę, rozłożyła ją, poprawiła okulary i nabrała powietrza, jakby chciała przeczytać całość jednym tchem.

*Kochani!*

*Cieszę się ogromnie, że jesteście i przepraszam, że nie ma mnie z Wami. Choroba nie wybiera i w związku z niezbyt przyjemną przypadłością zostałam niezwłocznie skierowana do szpitala. Nie martwcie się, mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze. Rozgośćcie się, bawcie się świetnie i pomóżcie Janeczce oraz Zdzichowi przygotować wszystko. Mimo mojej choroby spędźmy te święta we wspaniałej, rodzinnej atmosferze: przecież nigdy nie wiemy, co przyniesie życie, więc cieszymy się nim, póki możemy! Do zobaczenia w Wigilię, moi drodzy!*

*Wasza Malwina*

– Czyli wszystko jasne, tak? – Janeczka uśmiechnęła się szeroko i schowała list do kieszki.

– Nic nie jest jasne! – zaprotestowała Bożena.

– Właśnie! – zawtórowała Pelagia.

Janeczka pokiwała głową.

– Kochani, niczego więcej nie mogę powiedzieć. Sytuacja jest, jaka jest, pozostaje nam spełnić wolę Malwiny i dobrze się bawić. Na pewno dołączy do nas w Wigilię i wszystko wyjaśni sama. A teraz kilka spraw organizacyjnych, moi drodzy. Przede wszystkim proszę o nieużywanie łazienki na dole. Na tym dolnym dole. Ma osobny odpływ, który zatkał się na amen, nic nie pomaga...

– Ja też. – Szwagier podniósł rękę i pokiwał smutno głową.

– A czym się zatkałeś? – zapytał lekko zaskoczony Misiek.

– W sensie, że nawet ja nie pomogłem. Nawet ja, rozumiesz?

– Rozumiem. – Twarz Miśka była jak nieprzenikniona maska.

– Jutro i pojutrze posiłki normalnie – kontynuowała Janeczka. – Śniadanie o ósmej, obiad o trzynastej, a kolacja o osiemnastej.

W Wigilię tylko śniadanie o dziesiątej. Wieczera odbędzie się oczywiście w salonie, choinka niedługo zostanie przywieziona i będziemy ją wspólnie przystrajać w dzień Wigilii. – Rozejrzała się z uśmiechem po młodzieży. – Jestem pewna, że byliście grzeczni i święty mikołaj zostawi pod nią naprawdę sporo prezentów.

– Dwanaście. – Bliźniak płci męskiej podniósł rękę.

– Słucham? – To wyraźnie zbiło panią Janeczkę z pantałyku.

– Mamy po dwanaście lat. W świętego mikołaja nie wierzymy od jakichś pięciu. I nie wydaje mi się, żebyśmy byli grzeczni, przynajmniej tak twierdzą rodzice. Tak tylko mówię, żeby nie było nieporozumień, no nie? Że nam nagle ktoś prezenty odbierze czy coś. Na przykład tego Hogwarta z zestawu lego.

Janusz z Justyną spojrzeli po sobie.

– Grzebaliście w piwnicy – wycodziła Justyna, mrużąc oczy.

– My? – Paulinka i Robuś zapałali świętym oburzeniem. – Nigdy w życiu!

– To skąd wiecie?

Bliźniaki spojrzały na Szwagra, a zaraz po nich zrobiła to reszta.

– No co? – Szwagier obsunął się na krześle i zrobił się malutki, prawie niknąc za stołem. – Nie moja wina, że papier się rozdarł, kiedy znosiłem prezenty do tej łazienki na dole.

Zapadła krępująca cisza.

– To dalej nie wyjaśnia, skąd wiedzą, że to lego – zauważył Misiek. – Chyba że nosiłeś paczki przy nich, co by mnie nie zdziwiło.

– Nosilem potajemnie.

– To skąd wiedzą?

– Powiedział nam – oznajmił bezlitośnie Robuś sztucznie zmienionym głosem, udając, że mówi to pułkownik Zoober, którego postawił na stole.

– Za dwie dychy – dobiła Szwagra Paulinka.

– A skąd w ogóle wiecie, że to dla was? – Bożena próbowała ratować sytuację i mimo że rzadko to się jej zdarzało, tym razem powiedziała coś szybciej, niż pomyślała. – Może to dla...

Niestety, nie było innych możliwości. Chociaż jak się okazało, był ktoś, kto jedną widział.

– Dla mnie? – Szwagrowi zaświeciły się oczy.

– Przecież on by nie złożył nawet zestawu Duplo dla trzylatków – mruknął Misiek do Młodego.

– Nie chcę znowu dostać krawata z reniferem ze świecącym nosem, ani wełnianych skarpetek, ani puzzli z kotkami – poskarżył się Szwagier.

Justyna, Alicja i Bożena lekko poczerwieniały, wymieniając się spłoszonymi spojrzeniami.

– Dobrze! – Pani Janeczka klasnęła, jakby się nic nie stało, i może to w tej sytuacji było najlepszym rozwiązaniem. – Jest kwadrans po osiemnastej. Na dziewiętnastą zapraszam na kolację. Wtedy sobie porozmawiamy, tak?

Rozległo się szuranie krzesel i po chwili wszyscy opuścili salę, udając się do swoich pokoi. Wilkońscy dotarli do swojego, gdzie Młody natychmiast pograżył się w odmętach internetu.

– Martwi mnie ten list – mruknęła Bożena do Miśka.

– Czemu? Przecież mama wyraźnie pisze, żeby się nie martwić.

– Ale ty czasem jesteś nieczuły – wyrzuciła mu. – Typowy facet. Gdzie się podział ten wrażliwiec, którego poznałam dwadzieścia lat temu?

– Stoi przed tobą.

– Patrz mi na usta: wrażli-wiec.

– No, ale przecież napisała...

– Co z tego, że napisała? Chciała nas uspokoić! Nic nie mówiła, że musi iść do szpitala, chociaż rozmawiałam z nią przecież trzy dni

temu. Co się stało, że trafiła tam tak nagle, tuż przed świętami? To może być coś poważnego! Może znów coś z tym biodrem? Pamiętasz, jak cierpiała po tym zakażeniu?

– Zadzwoń do niej.

– Dzwoniłam, nie odbiera.

– Napisz SMS-a.

– Napisałam. Czekam na odpowiedź, ale wygląda to tak, jakby nie doszedł. Może jej się komórka rozładowała?

– To możliwe. Więc na razie się nie denerwuj.

– A ten znowu...

– Chodzi o to, że jeszcze nie masz podstaw.

– Dobra, pogadam z dziewczynami po kolacji. – Machnęła ręką.

– Zobaczcie, jak sypie! – zawołał zachwycony Młody, który dla własnego komfortu psychicznego nie uczestniczył w rozmowie rodziców, a tylko słuchał jej jednym uchem.

– Napatrz się, w domu tego nie masz – poradził mu Misiek, zadowolony, że coś oderwało ich wszystkich od bezprzedmiotowej jego zdaniem dyskusji.

– To ja idę na dwór! – stwierdził Jacek.

– Idę z tobą – zdecydował Misiek.

– Tak?

– No tak. – Spojrzał na syna z zaskoczeniem. – A co, nie mogę?

– Możesz, czemu miałbyś nie móc...

– To co tak nagle zmarnotniałeś?

– Wcale nie! – Młody wzruszył ramionami. – Chcesz, to chodź...

Ubrali się w milczeniu i zeszli na dół, a w drzwiach wejściowych spotkali bliźniaki. Wyglądały, jakby właśnie ktoś natarł je śniegiem, i to bezlitośnie, łącznie z twarzami. Misiek podejrzewał wręcz, że zrobiły to sobie nawzajem.

– Do de z takim śniegiem – stwierdził Robuś, z obrzydzeniem zdejmując czapkę, z której zleciało na podłogę ładnych kilka deka substancji, którą tak wyklinał.

– A co ci się w śniegu nie podoba? – Misiek był niepomiernie zdziwiony.

Śnieg w okolicach, w których się wychowywał był towarem deficytowym i nawet jego półtoracentymetrowa warstwa skłaniała dzieciaki do wyciągania sanek.

– Ilość – sapnęła Paulinka. – Jest już powyżej pasa i ciągle sypie. Nic nie widać.

– Trzeba by odśnieżyć może?

– Wujek już odśnieża.

– Który wujek?

Paulinka spojrzała na niego krytycznie.

– Skoro ty, wujku, stoisz tu, to pozostaje tylko jedna opcja, prawda?

– Prawda – chrząknął Misiek.

– Wujek Szwagier – uzupełniła wypowiedź Paulinka, gdyby były jednak jakieś wątpliwości.

Misiek westchnął i spojrzał na zegarek.

– Dobra, nie ma sensu, i tak zaraz kolacja. Młody, idź najwyżej zerknij, czy Szwagier czegoś nie spiep... Nie zepsuł.

– I tak znamy dobrze to słowo. – Robuś wzruszył ramionami z miną światowca.

– Taak? A znacie słowo „dywersyfikacja”?

– Nie, a co to znaczy? – Paulinka się zapaliła.

Misiek uśmiechnął się z satysfakcją.

– Sprawdźcie sobie w necie. W każdym razie wolałbym, żebyście się chwalili, że znacie takie słowa, a nie to, które mi się przed chwilą prawie wymysknęło. Idź, Młody, ja idę na górę. Widzimy się na kolacji.

Młody pokiwał głową i wyszedł na dwór, a Misiek wrócił do ich pokoju. Bożena właśnie wychodziła z łazienki, wycierając ręcznikiem mokre włosy.

- Nie jesteście na dworze? – zdziwiła się.
- Jakoś mi się odechciało. Szwagier już tam jest...
- Aha. A gdzie Jacek?
- On poszedł. Ma na niego większą tolerancję.

Położył się na łóżku i kiedy Bożena zaczęła w łazience suszyć włosy, prawie zasnął. Zrobiło mu się błogo i sennie, w pewnej chwili pomyślał nawet, że może nie będzie tak źle, ale to miłe uczucie minęło tak samo szybko, jak nadeszło. Ocknął się z letargu, kiedy jego żona, już ubrana, usiadła na łóżku, żeby założyć rajstopy. Patrzył przez chwilę na jej zgrabne nogi, a kiedy zorientowała się, że ją obserwuje, odwróciła głowę w jego stronę.

– Schodzimy, jest za pięć siódma. – Popędziła Miśka i nagle przyjrzała mu się krytycznie. – Co masz taką minę?

– Bo mam złe przeczucia. – Podniósł się z materaca.

– Dotyczące czego? – Bożena wstała i ściągnęła skraj obcisłej sukienki.

– Świąt. – Misiek zmarszczył nos, jakby dotarł do niego jakiś niemiły zapach. – Te święta nie nadchodzą, Bożena. One nadciągają jak kłopoty albo burza. Mam jakieś dziwne przeczucie, że będą inne. I to w ten niefajny sposób.

– Od kiedy ty wierzysz w przeczucia?

Misiek obejrzał się na łóżko, a potem spojrzął na żonę ciężkim wzrokiem.

– Od paru chwil...





## 21 grudnia, godzina 19.00

Kolacja wyglądała całkiem, całkiem. Janeczka się sprawiła i Misiek poczuł nagle, że nastrój mu się poprawia. W przeciwieństwie do niego Młody miał zły humor, bo na czas kolacji starzy kazali mu zostawić telefon w pokoju. Wszyscy usiedli na tych samych miejscach, które zajęli na spotkaniu powitalnym, i czekali na sygnał do jedzenia. Wszyscy, oprócz Szwagra, który albo wiedział, że takiego sygnału nie będzie, albo uważał, że to on ma go dać, co niniejszym uczynił, wkładając sobie do ust ogórka małosolnego.

– Smacznego – powiedziała Janeczka i to chyba właśnie był sygnał, na który wszyscy, oprócz Szwagra, czekali.

Jak jeden mąż chwycili sztucce, szykując się na z góry upatrzone potrawy, jednak nikt nie zdążył sięgnąć po swoją zdobycz, bo nagle do sali wszedł bałwan. Wielka, śnieżna kukła wmaszerowała sztywno przez rozsunięte drzwi, zatrzymała się tuż za progiem, ukloniła szarmancko, po czym pośrodku głowy pojawił się otwór i bałwan wyrzekł następujące słowa:

– Dzień dobry państwu, nazywam się Mateusz Szczeklis i jestem starym przyjacielem pani Malwiny Pałasz oraz jej świętej pamięci męża Wiesława, z którym znałem się praktycznie od dziecka. Dostałem zaszczytu otrzymania zaproszenia do tego wyjątkowego

domostwa na okres świąteczny, za co jestem Malwinie niesłychanie wdzięczny.

Zdarzenie było tak abstrakcyjne, że wszyscy zastygli w niemym zdumieniu ze sztukami w powietrzu, niezdolni do wykonania jakiegokolwiek ruchu.

– Poeta jakiś – mruknął do Bożeny Misiek. – Taki wygadany.

– Wyszczekany – poprawił Młody.

Bałwan dostał nagle drgawek. Nie upadł na podłogę, tylko stał i się trząsał, a płaty śniegu odlepiały się od niego, aż oczom zebranych ukazał się człowiek. A może raczej człowieczek.

Mateusz Szczeklis był drobny i chuderlawy. Miał wielką głowę, a kiedy zdjął czapkę, wszystkim ukazało się coś, co Misiek wziął początkowo za obcą formę życia. Była to przedziwna struktura nieokreślonego koloru, przypominająca zagony tkniętego sporyszem zboża, w dodatku po gradobiciu i suszy stulecia tudzież wielu innych katastrofach naturalnych, włączając w to pożar buszu. Misiek nie mógł oderwać oczu od tego dziwu natury. Gdyby za coś takiego dawali odszkodowanie, ten niepozorny facecik o nikczemnej posturze byłby bogaczem, a wiele wskazywało na to, że groszem nie śmierdzi. Wyglądał na niedożywionego. Jego pobrużdżona urokami życia twarz była pociągła, głęboko osadzone i rozbiegane oczka błyszczały niezdrowym podnieceniem, a haczykowaty, lecz mięsisty nos z ogromnymi dziurkami był jak dolepiony, w dodatku pożyczony od kogoś innego. Patykowate ręce z długimi palcami zakończonymi żółtymi paznokciami wyglądały jak macki: poruszały się w chaotyczny i nieskoordynowany sposób, ogólnie sprawiały wrażenie lepkich jak u gekona. Był przemoczony, zziębnięty i wyglądał, jakby miał zaraz wyzionąć ducha.

– Dzień dobry... – wyjąkała pani Janeczka. – Gość w dom, Bóg w dom...

– Bardzo dobrze szanowna pani to ujęła, bardzo dobrze. – Człowieczek ukłonił się szarmancko. – Oto jestem. Jako gość, oczywiście.

– Może pan wyjaśnić okoliczności zaproszenia bardziej szczegółowo? – W głosie Pelagii była podejrzliwość i coś jeszcze.

Przybysz odwrócił się w jej stronę, rozdeptując przy okazji śnieg, który z niego spadł i topił się teraz u jego stóp.

– Naturalnie, szanowna pani, naturalnie. Otóż jakiś czas temu, w okolicznościach zupełnie nieistotnych dla sprawy, wpadłem na panią Malwinę po wielu, wielu latach niewidzenia się z nią, a ponieważ prowadzę żywot samotny, tułając się po świecie w poszukiwaniu zleceń, z radością przyjąłem propozycję spędzenia świąt w Świeradowie-Zdroju w przemiłym gronie państwa rodziny. – Rączki Szczeklisa złączyły się czubkami palców, a wielka głowa pochyliła się z wdzięcznością, co spowodowało, że fryzura niepokojąco zafalowała, jakby usiłowała zeskoczyć na podłogę.

– A można wiedzieć, co pan robi? – Pelagia przyglądała się Szczeklisowi z niesmakiem. – Mam na myśli te zlecenia.

– Jestem gemmologiem, szanowna pani. Wyceniam kamienie szlachetne.

– Och, doprawdy, panie Szczerzylis? – Tym razem głos Pelagii brzmiał pewniej i bardziej zdecydowanie.

– Szczeklis, droga pani, Szczeklis. Moi przodkowie pochodzili z Litwy. – W głosie gościa słyhać było wyraźną dumę.

– Z Litwy? A nie z Kalisza?

Szczeklis wyraźnie stracił rezon.

– Nie wiem, o czym szanowna pani mówi. – Jego wzrok świadczył o tym, że jest dokładnie odwrotnie.

– Ach, nie? Nie ma pan nawet cienia podejrzeń, panie Czuczwar?

Twarz Szczeklisa pobladła nagle, a usta Pelagii rozciągnęły się w drapieżnym, pełnym satysfakcji uśmiechu. Ukazywał niemal wszystkie zęby, a miała się czym, mimo wieku, pochwalić.

– Naprawdę myślałeś, że po czterdziestu latach cię nie poznam, nieszczęsny kretynie? – zapytała.

– Pelagio, myślę, że to nie jest najlepszy moment...

– To ja będę wybierać moment, łachudro. I tak się składa, że moim skromnym zdaniem najlepszy moment jest właśnie teraz.

– Polemizowałbym, moja droga.

– Nie masz pojęcia o polemice, prostaku. I nie mów do mnie „moja droga”.

– Przemawiają przez ciebie emocje...

– Jedna emocja, Stefan. Jedna, jedyna. Bardzo negatywna.

– Pelagio, pozwól, że wszystko wytłumaczę w zaciszu mojego pokoju.

– Twojego pokoju? Tu żaden pokój nie jest twój! I co mi chcesz tłumaczyć? Jesteś martwy! Tak, kochani, przed wami stoi trup! Żywy trup! – Wskazała Szczeklisa, alias Czuczwara, oskarżycielskim gestem. – Jakies czterdzieści lat temu był moim pierwszym mężem Stefanem Czuczwarem.

Szczeklis uniósł ręce do góry i potoczył wzrokiem po zebranych. Wszyscy wyglądali na zażenowanych, może z wyjątkiem bliźniaków, którym akcja podobała się bardziej niż słowne potyczki Harry’ego Pottera z Draco Malfoyem.

– Bardzo przepraszam za...

– Jeszcze nie skończyłam – wycodziła lodowatym tonem Pelagia.

– Który to mąż zaginął w dramatycznych okolicznościach i został uznany za zmarłego, zostawiając w nieutulonym żalu wdowę i pozbawiając ją przy okazji wszystkich oszczędności. Nie tak było, panie Szczylis?

– Szczeklis...

– Na litość boską, miej chociaż tyle przyzwoitości, żeby przedstawić się prawdziwym nazwiskiem, Stefan.

– To nazwisko jak gdyby, eee... Straciło ważność, w związku z czym wolałbym jednak, byśmy posługiwali się obecnym.

– Twoja wola mnie nie interesuje, Stefan. A teraz opuść ten dom, poczwaro.

– Ale jak to?

– Normalnie. Odwracasz się o sto osiemdziesiąt stopni, wysuwasz jedną nogę, możesz sobie nawet wybrać którą, potem dołączasz drugą i powtarzasz te ruchy tak długo, aż poczujesz zimno i śnieg na tym czymś, co masz na głowie. Cokolwiek to jest: zachwaszczony kopiec termitów czy zbezczeszczone gniazdo orła bielika. Będzie to niechybnie oznaczać, że znajdujesz się już poza domem. Wszystko jasne?

– O trzysta sześćdziesiąt, ciociu – wtrącił nieśmiało Szwagier.

– Nie wtrącaj się, Zdzisiek – ostrzegła go ciotka, a jej oczy cisnęły pioruny.

– A nie, przepraszam, dobrze...

Pelagia przeniosła wzrok z powrotem na Szczeklika.

– Co tak stoisz, panie Szczypielis?

– Pelagio, proszę, nie każ mi wychodzić na zewnątrz – zamiauczał rozdzierająco gość i Misiek przysięgłby, że ten odgłos wy dostał się z artefaktu na jego głowie. – Przecież tam zamarzną. Nie jadłem od dwóch dni, jestem osłabiony i bliski omdlenia. Poza tym... – Jego chytre oczka błysnęły. – Jest Wigilia. Jestem strudzonym wędrowcem, niespodziewanym gościem. Tradycja nakazuje przyjąć takiego pod dach.

– Nawet jeśli zapomnimy na chwilę, że jesteś martwy, to Wigilia jest za trzy dni. Przyjdź więc za dwa dni, gościu. – Ciotka machnęła

pogardliwie ręką niczym wielmożny jaśniepan odsyłający niezbyt rozbawionego lokaja. – Żegnam oziębłe.

– Ale... – Szczeklis rozejrzył się bezradnie po zebranych.

Misiek spojrzał z rozbawieniem na Bożenę, potem na Alicję i Justynę. Widząc ich twarze i oczy, wiedział już z niemal całkowitą pewnością, jak skończy się pojedynek, bo choć zdecydowanie prowadziła Pelagia, to Szczeklis znalazł niespodziewanych sprzymierzeńców. A kiedy zerknął na Młodego, chcąc wymienić z nim porozumiewawcze spojrzenie, zobaczył jeszcze jednego. Ze zdziwieniem stwierdził, że przybysz jakimś cudem zjednął sobie wszystkie kobiety w tym pomieszczeniu. Wszystkie z wyjątkiem jednej – ciotki Pelagii.

– Mamo... – jęknęła Alicja.

– Co mamo?

– Zlituj się.

– Dziecko, nie wiesz, o czym mówisz! Ten nędzny knypek mógł być twoim ojcem! – zawołała Pelagia ze zgorszeniem.

– To może i dobrze się stało, że umarł, czy co on tam odwalił? – szepnął Misiek Bożenie, zapominając po czyjej stronie stoi jego żona.

– Przystaniesz, emocjonalnie ułomny potworze? – Spojrzała na niego z oburzeniem.

– Ja?

– Tak, ty! – syknęła. – Starszy człowiek, przemarznięty i samotny...

Misiek się wycofał. Był na straconej pozycji, nawet z Januszem w drużynie, bo Szwagra, który miał chyba wywalone na wszystko, nie chciał mieć w żadnym zespole. Nie chciał być z nim nawet na jednej planecie.

– Opuść to pomieszczenie, Stefan! – zażądała ciotka. – Odbędzie się rodzinna narada.

– Mam wyjść na zewnątrz? – Szczeklis, alias Czuczwar, obejrzał się na drzwi z wyraźnym strachem.

– Nie, masz wyjść z tego pomieszczenia i nie wchodzić tu, dopóki cię nie zawołam. Możesz poczekać w przedsionku.

– Czy mogę przedtem skorzystać z łazienki?

– Możesz.

– Tylko nie z tej na dole! – Pani Janeczka była czujna jak ważka.

– Może dzieci też sobie gdzieś pójda? Na przykład na górę? – zaproponowała Justyna, zerkając znacząco na Janusza.

– Ale my nie chcemy nigdzie iść! – zaprotestowały solidarnie bliźniaki.

– A niby dlaczego mają gdzieś iść? – Pelagia najwyraźniej nie widziała żadnych przeszkód ku temu, by obserwowały ten nie najwyższych lotów spektakl żywcem przeniesiony z opery mydlanej.

– No właśnie, dlaczego? – podchwycił od razu Robuś.

– Niech się uczą życia! – stwierdziła Pelagia. – Im wcześniej je poznają, tym lepiej. Może to uchroni je przed Czuczwarem tego świata. – Sięgnęła nagle do torebki. – Pozwolicie, że sobie zapalę, bo się strasznie zdenerwowałam.

– Mamo, tu są dzieci – jęknęła Justyna.

– Elektryka sobie zapalę. – Pelagia popatrzyła na córkę z wyrzutem.

Wyjęła z torebki pada, włożyła sobie końcówkę do ust eleganckim ruchem, zaciągnęła się i wydmuchnęła parę z płuc, śledząc wzrokiem jej ulatujące ku witrażowi kłęby, a potem przekręciła się na krześle i położyła łokieć na oparciu.

– Dobra, przekonajcie mnie, że on może zostać na kolacji wigilijnej – rzekła krótko.

Misiek, emocjonalnie ułomny potwór, patrzył ze zdumieniem, które przeszło w rozbawienie, jak wszystkie cztery kobiety nabierają powietrza, żeby zabrać głos w tej sprawie. Żadna nie poczekała, nie sprawdziła, czy inna nie chce zacząć pierwsza, jakby czuły wewnętrzny przymus wypowiedzenia się natychmiast i niewątpliwie na korzyść gościa. Co miał w sobie Czuczwar? Czego on nie miał? A może po prostu polubiły zwierzątko, które hodował na głowie?

Ale i tak wszystkie kobiety ubiegł Młody.

– Miejsce dla niespodziewanego gościa, ciociu – powiedział szybko. – Tradycja. Poza tym babcia go zaprosiła.

– Dla gościa, drogie dziecko. – Pelagia miała w zwyczaju zwracać się tak do każdego, kto był przynajmniej rok młodszy od niej. – Stefan nie jest gościem. Jest wrzodem na dupsku, jest oszustem, złodziejem, przestępcą, abnegatem, chamem i ordynusem. Nie widzisz tego?

– Wygląd nie zawsze świadczy o człowieku, ciociu.

Pelagia spojrzała na Młodego z wyższością.

– Coś ci powiem, drogie dziecko, i zrobisz z tą wiedzą, co zechcesz. – Rozejrzała się dookoła. – Wszyscy zrobicie. Alicjo i Paulinko, dla was nie jest jeszcze za późno. Otóż mężczyźni są jak wino i w przeciwieństwie do kobiet, kiedy się starzeją, to wyglądają lepiej niż kiedyś, przynajmniej do pewnego momentu. Wierście mi, wiem, o czym mówię. Kiedy będziecie w moim wieku, też nabierzecie życiowego doświadczenia. Stefan jest żywym zaprzeczeniem tej teorii, gdyż nigdy nie wyglądał dobrze. Nawet gdy miał trzydzieści lat, wyglądał na sześćdziesiąt. A dziś, mając siedemdziesiąt, wygląda, jakby miał cztery tysiące i znał się z Ramzesem. Albo był nawet jego bratem bliźniakiem. – Skrzywiła się. – Mógłby mieć na imię Frazes. Ale w sumie czemu tu się dziwić, skoro nie żył przez czterdzieści lat? Śmierć zmienia człowieka.



– Jak to nie żył, mamó? – Janusz wydał z siebie głos, co zdarzało się niezmiernie rzadko, i tym razem mogło świadczyć o ogromnym zainteresowaniu tematem.

– Normalnie.

– To chyba nie jest normalne? – Wzruszył ramionami i łańcuch delikatnie zabrzączał na jego długiej, smukłej szyi, a Miśkowi przyszło do głowy, że jedyne momenty, kiedy Janusz go zdejmuje, to badanie rezonansem magnetycznym i kontrola przy lotniskowej bramce bezpieczeństwa. A i tak pewnie próbuje negocjować.

– Nie, no pewnie, że żył, teraz to wiem. Łobuz udawał, że nie żyje – sarknęła Pelagia. – Czy to jest normalne? Czy on sam jest normalny? Widzieliście, co on ma na głowie? Jakby jakieś zwierzę postanowiło na niej zdechnąć, a on zapomniał je stamtąd zdjąć. Jak tak można do ludzi wyjść? Ja nie wiem, drogie dzieci, dlaczego ja w ogóle za niego wyszłam. Ta kwestia nurtuje mnie od lat i, szczerze mówiąc, gdyby ktoś dał mi wybór, na które pytanie chcę znać odpowiedź: czy Bóg istnieje, albo dlaczego Stefan Czuczwar został moim mężem, to miałabym kłopoty z jego dokonaniem. – Zaciągnęła się papierosem eleganckim ruchem i długo wydmuchiwała aromatyczną parę z płuc. – Poza tym, wobec jego nieoczekiwanej wizyty pojawiło się mnóstwo innych pytań, na które również chciałabym poznać odpowiedź. Na przykład, co tu robi i kto go tu zaprosił?

– Twierdzi, że babcia Malwina – przypomniał Młody.

Ciotka spojrzała na niego kpiąco.

– Jakoś nie bardzo chce mi się w to wierzyć. Twoja babcia Malwina była jedyną osobą, która ponad czterdzieści lat temu odważyła się powiedzieć mi prosto w twarz, żebym się nie wygłupiała, wychodząc za tego łachmytę. Musisz wiedzieć, że zaczął od niej, ale ona go nie chciała, choć byłam pewna, że owinął ją sobie

wokół palca, tak samo jak później mnie. Poznała się na nim zawczasu. Gdybym jej wtedy posłuchała, oszczędziłabym sobie wielu problemów. Bo wygląda na to, że popełniłam bigamię, wychodząc za Serockiego, rozumiecie? Ale oczywiście wiedziałam wtedy lepiej. Więc nie sądzę, żeby to Malwina zaprosiła go tutaj. – Jej oczy zwężyły się, cienkie brwi opadły i ciotka Pelagia spojrzała w odległą przeszłość. – Kiedy tamtego dnia wróciłam do domu, w środku były ślady walki i plamy krwi. Do dziś byłam pewna, że jego tak zwani koledzy z półświatka postanowili się z nim rozprawić, przy okazji pozbawiając mnie majątku, bo Stefan zniknął razem z moją biżuterią i pieniędzmi. Niedługo potem znaleziono jego dowód osobisty na brzegu rzeki, a ponieważ jakiś czas później poznałam swojego drugiego męża Wacława, wszczęłam procedurę uznania za zmarłego tego chłystka, żeby móc bez przeszkód za niego wyjść. Byłam pewna, że jego cherlawa cielesna powłoka zastygła w bryle betonu, rozpuściła się w jakimś kwasie albo zjadły ją ryby, choć nie sądziłam, że najadły się do syta, bo był zawsze strasznie żylasty. W każdym razie trochę to wszystko trwało i kiedy się z Serockim wreszcie pobraliśmy, na świecie były już Justynka i Ala. A teraz ten dziadyga ma czelność zjawiać się tutaj jak gdyby nigdy nic i błagać o wybaczenie! I to w dodatku jako jakiś Szczałpies, no błagam was...

– Szczeklis, ciociu.

– Jeden pies, chłopcze. – Machnęła pogardliwie ręką, a bliźniaki zachichotały, wpatrzone w babcię z zachwytem graniczącym z uwielbieniem. – Wygląda na to, że tylko wyświadczyłam mu przysługę tym uznaniem go za zmarłego, bo dzięki temu uniknął odpowiedzialności za to wszystko, czego dokonał wcześniej. Zaczął znów z czystym kontem i Bóg jeden wie, co w tym czasie zdążył nabroić. W końcu miał na to ponad cztery dekady. – Schowała e-

papierosa do torebki. – To jak będzie? Bo na razie wygląda na to, że to ja przekonałam was, żeby Stefan stąd zniknął.

– Daj mu szansę – poprosiła Justyna. – Każdy zasługuje na szansę. Zwłaszcza w święta.

– Babciu, prosimy, niech ten śmieszny pan zostanie! – zawołały bliźniaki i wyglądały w tym momencie jak najśłodsze aniołki.

– Też jestem za – powiedział rozbawiony Misiek. – Może dowiemy się, czym jest to coś, co ma na głowie.

– Kto jeszcze jest za? – Pelagia potoczyła wzrokiem wokół stołu.

Ręce podnosiły się jedna za drugą jak w meksykańskiej fali na stadionie. Fala zatrzymała się jednak na Szwagrze.

– Zdzisiek?

– Ja tam nie wiem. – Szwagier się skrzywił. – Może zostać, może nie zostać. Wszystko mi jedno.

– Czyli wszystko jasne. – Zrezygnowana Pelagia westchnęła. – Dzieciaki, lećcie po niego.

– Taaaak! – Bliźniaki zerwały się z krzeseł i wybiegły z sali.

Pół minuty później przyprowadziły Stefana, którego twarz jaśniała zadowoleniem, kiedy jednak zobaczył marsową minę Pelagii, jemu też natychmiast zrzędała. Chyba trochę się pogubił, w końcu bliźniaki musiały mu oznajmić radosną nowinę, a tu nagle taki widok.

– Jest opcja, że zostaniesz na święta, ale pod jednym warunkiem – oznajmiła ciotka.

– Jakim, Pelagio?

– Masz mi nie wchodzić w drogę, panie Szczwanylis. Nie chcę cię widzieć aż do Wigilii. Najlepiej nie ruszaj się z pokoju, żebym nie musiała na ciebie patrzeć. Omijaj mnie szerokim łukiem. Siadaj po przeciwnej stronie stołu. Udawaj niewidzialnego i nie odzywaj się do mnie.

– To sześć warunków, ciociu – wtrącił się Szwagier. – Policzyłem.

- Milcz – rzuciła Pelagia, nie zaszczycając Szwagra spojrzeniem.
- A ty, Stefan, odpowiadaj: akceptujesz?

Stefan z udręką w oczach rozejrzał się po zebranych i zatrzymał wzrok na Bożenie.

- Czy szanowna pani może łaskawie przekazać cioci, że się zgadzam? – jęknął.

Misiek był zachwycony Stefanem. Gość był nad wyraz ogarnięty, grał chyba rolę życia i robił to lepiej niż cholerny Dustin Hoffman. Pelagii też udzielił się entuzjizm. Zagranie Stefana, zamierzone czy nie, przyniosło efekt.

Ramię ciotki uniosło się powoli, palce przybrały postać ptasiego skrzydła, nadgarstek wygiął się, aż zabrzęczały bransolety i, kiedy wszyscy skupili spojrzenie na jej dłoni niczym publiczność w rzymskim amfiteatrze obserwująca kciuk Cezara, Pelagia zrobiła nią wystudiowany ruch, który dla Stefana oznaczał jedno – ostatni, decydujący głos „za”.

Oznaczał łaskę.

- Możesz zostać. Nałóżcie mu do miski jakichś resztek i postawcie ją pod ścianą.

– Ciociu... – wyszeptała zgorszona Bożena.

– Żartuję przecież, drogie dziecko. – Skrzywiła się i obrzuciła Stefana chłodnym spojrzeniem. – Siadaj i pilnuj się. I pamiętaj, że jesteś obserwowany.

Stefan uklonił się szarmancko, choć dalej nie śmiał spojrzeć ciotce w oczy. Cicho zasiadł na wskazanym przez nią miejscu, położył sobie na kolanach serwetkę i zaczął nakładać jedzenie na swój talerz, niczego sobie nie żałując. Atmosfera zrobiła się dość sztywne, wszyscy oswajali się z nową sytuacją – oprócz Szwagra, rzecz jasna – i zamiast jeść, zerkali co chwila na Stefana, który pałaszował sałatkę, kurze udka i jajka w majonezie, jakby szedł na

rekord świata albo bał się, że ktoś mu zabierze talerz. Patrzącej na to ciotce Pelagii upajanie się władzą też przestało sprawiać przyjemność i tylko twarz się jej wydłużała w miarę, jak jedzenie znikало z talerza Stefana. Widać było również, że wszyscy zastanawiają się, gdzie ono się mieści. W końcu gość miał niewielką masę własną, za to sporą ładowność.

– Panie Stefanie, nie tak szybko, bo dostanie pan skrętu kiszek – poradziła Justyna.

– Mów mi po imieniu, złotko. Po prostu Stefan – wymamrotał gość z pełnymi ustami, wykorzystując trwającą niecałą sekundę przerwę między kolejnymi kęsami.

– Spokojnie, nikt ci przecież nie zabierze talerza – sapnęła ciotka.

Stefan zwolnił, a kiedy przełknął kolejny kęs, odłożył sztucce i popatrzył na nią.

– Ulica uczy wielu rzeczy. – Jego oczy były wielkie i zamglone. – Jedną z nich to szybkość. Im wolniej coś robisz, tym większe ryzyko, że ktoś cię ubiegnie albo ci to zabierze. – Przeniósł wzrok na Robusia, który z obrzydzeniem oglądał nałożony mu na talerz przez matkę kwiat kalafiora. – Na ulicy nie ma wybrzydzenia, chłopcze. Nie jesz, nie żyjesz, proste. Więc jesz to, co dostaniesz albo to, co znajdziesz sam. Nawet w śmietniku.

Wszyscy byli najwyraźniej wstrząśnięci. Justyna przyłożyła sobie do ust serwetkę, a Pelagia otworzyła szeroko oczy.

– Sama ciocia chciała, żeby dzieci uczyły się życia – bąknął Misiak.

– Stefan, po kolacji zapraszam do mnie na rozmowę.

– A warunek, że mam ci nie wchodzić w drogę i się nie odzywać?

– Ja dyktuję warunki i ja je modyfikuję. Jasne? Masz słuchać i wykonywać. Jest dwa tysiące piętnasty, a nie tysiąc dziewięćset

siedemdziesiąty piąty i sprawy mają się nieco inaczej niż wtedy. Przyzwyczaj się do tego albo fora ze dwora.

– Oczywiście. – Stefan pochylił głowę nad talerzem i kontynuował konsumpcję.

Napięcie nieco zelżało, rozległy się szmery rozmów, nawet Stefan rozluźnił się trochę i zaczął konwersować z Justyną i Alicją, między którymi posadziła go Pelagia. Misiek zerkał co jakiś czas w tamtą stronę i upewniał się, że człowieczek z martwą naturą na głowie kupił dziewczyny razem z butami.

Po kolacji Janeczka przyniosła dwie karafki z nalewkami z porzeczek i wiśni, zaś dzieciom pozwolono się odmeldować, z czego skwapliwie skorzystał również Młody. Misiek zauważył, że kiedy trzeba, jego syn chętnie przyznaje się do bycia dzieckiem, czemu zaprzecza w momentach, w których mu to absolutnie nie pasuje. Odprowadził syna i bliźniaki spojrzeniem, a potem wstał, wziął ze stołu karafki i zaczął nalewać wszystkim po kolei według życzenia.

– Szwagier, porzeczką czy wiśnią? – zapytał, stając obok niego.

– Tak – odparł Szwagier, więc Misiek po chwili krótkiego zaskoczenia, nie analizując więcej odpowiedzi, zrobił mu koktajl pół na pół.

Kiedy podszedł do Stefana i odruchowo spojrzał na ciotkę Pelagię, czy nie ma nic przeciwko, Stefan niespodziewanie odmówił.

– Nie tykam alkoholu – wyjaśnił, odwracając kieliszek do góry dnem, czym wzbudził chyba w Pelagii coś w rodzaju entuzjazmu. – Widziałem zbyt dużo złych rzeczy, które wydarzyły się pod jego wpływem.

– Akurat to mogłeś powiedzieć, kiedy były tu jeszcze dzieci – zauważyła z lekkim wyrzutem ciotka.

– Przepraszam, ale przecież... – odezwał się nagle Szwagier, lecz Stefan uniósł dłoń, przerywając mu natychmiast, a przy okazji spotkali się wzrokiem.

Misiek miał wrażenie, że to spojrzenie było zbyt długie i zbyt znaczące.

– To ja przepraszam, młody i niewątpliwie zdolny człowieku, ale nie chciałbym wracać do tych kwestii – powiedział Stefan stanowczo. – Był czas, że alkohol panował nade mną całkowicie. Wybaczcie, że nie będę kontynuował tematu. I proszę również o uszanowanie tego, jeśli wolno mi o to w ogóle prosić. – Zerknął na Pelagię, która aprobująco przymknęła oczy.

Zebrani w milczeniu pokiwali ze zrozumieniem głowami, tylko Szwagier jak zwykle niczego nie rozumiał. Podniósł swój kieliszek do góry, obejrzał nalewkę pod światło i wypił jednym haustem.

– Ajjj! – Na jego twarzy wykwitło niewysłowione szczęście. – Jaka smakowitość, co za rozkosz! Jakby Jezusek przeszedł maleńką stópką po moim gardle.

– Jeszcze się nie urodził – zauważył Janusz.

– A w zeszłym roku co było? – Szwagier zmarszczył brwi. – I dwa lata temu?

– To byli jego bracia bliźniacy – burknął Misiek.

– Dobrze Zdzichu mówi, bo to święty człowiek robi tę naleweczkę, święty człowiek! – Janeczce zaświeciły się oczy i zrobiła to samo, co przed momentem Szwagier.

Po chwili wszyscy mieli puste kieliszki i Misiek musiał przyznać, że coś jest w słowach Szwagra, choć oczywiście nie powiedział tego głośno. Zamiast tego wstał i nalał wszystkim chętnym drugą kolejkę, a potem trzecią, choć już tylko Janeczce, Szwagrowi i sobie. Czwartą wypił tylko ze Szwagrem, przy okazji pytając go szeptem, czy znał wcześniej Stefana, czemu Szwagier zaprzeczył, wpatrując

się łąpczywie w karafkę. Piątą kolejkę Misiek wypił sam, kiedy odnosił po kolacji naczynia do kuchni, a szóstą też sam, kiedy wrócił tam, udając, że idzie do toalety. Szóstą i pół chlapanął od Bożeny, która stwierdziła, że jest za mocna, i cały czas nie był pewien, która smakuje mu bardziej: wiśniowa czy porzeczkowa.

Po kolacji i odniesieniu naczyń wszyscy powiedzieli sobie „dobranoc” i rozeszli się do swoich pokoi. Misiek z żalem przyjął grzeczną odmowę Janeczki, kiedy zaproponował, że pomoże zmywać. Oświadczyła, że po pierwsze mają w Willi Malwie profesjonalną i pojemną zmywarkę, a po drugie nie lubi, jak ktoś się jej po kuchni pałęta. Misiek musiał obejść się smakiem, choć i tak pod koniec ledwo się podniósł z krzesła, czując, jakby ktoś odciął mu dopływ prądu, zwłaszcza w rejonie nóg.

W pokoju, czując, jak lekko płacze mu się język, powiedział cicho do żony:

- Mam wrażenie, że Stefan robi sobie dobry pijar u ciotki.
- Dlaczego?
- Nie wiem. Może chce znów wkupić się w jej łaski?

Bożena odchyliła się do tyłu, jakby chciała zobaczyć męża w szerszej perspektywie i Misiek, widząc jej wzrok, przysięgłby, że widzi w jej oczach coś na kształt lekkiej odrazy.

– Ty wszędzie wietrzysz zdradę i podstęp – powiedziała gorzkim tonem. – A nie przyszło ci do głowy, że to potrzebujący i samotny starszy pan, który łaknie towarzystwa?

– Słuchałaś, co mówiła ciotka na rodzinnej naradzie? Że jest złodziejem i tak dalej?

– Ludzie się zmieniają, nie wiesz o tym? – Obrzuciła go taksującym spojrzeniem. – I to działa w obie strony, Wilkoński.

- Zmiany się uczłowieczają?



– Myślisz, że jesteś zabawny? Pić to trzeba umieć, mój drogi, trzy kieliszki na krzyż cię nie tłumaczą. – Bożena podniosła palec. – Nie drażnij mnie.

– To ostrze... – Czknął nagle. – Ostrzeżenie? Że niby ja się zmieniłem na gorsze?

– Nie ma w tobie za grosz empatii.

– Bo jest tu ktoś, kto ją skutecznie tłumii.

– Nie zwalaj wszystkiego na mojego brata.

Misiek westchnął i spoważniał, bo to chyba przestało być zabawne.

– Bożena, ty naprawdę wierzysz, że facet, który udaje przed żoną własną śmierć i znika, a potem pojawia się nagle po czterdziestu latach niebytu, ma czyste intencje? – zapytał.

– Tak. Wierzę, że to możliwe.

– Okej. Szanuję. – Misiek popatrzył w okno, a potem znów na żonę, za późno orientując się, że ten szybki ruch zdestabilizował mu żyroskopy w głowie, szczególnie ten odpowiadający za utrzymanie pionu. – Ale proszę, żebyś ty uszanowała to, że ja nie wierzę. I na tym zakończmy wszelkie dyskusje, zwłaszcza tę o empatii. Może być?

– Jak sobie życzysz.

Kiedy Bożena zniknęła w łazience, Misiek uwaliał się na łóżku, czując, jak lekko szumi mu w głowie. Młody leżał na swojej polówce pod oknem, z nogami opartymi na kaloryferze i oczami utkwionymi w komórcę.

– Uuu, postawiłeś się. – Oderwał się na chwilę od telefonu i mrugnął do ojca.

– Twoja mama jest trochę naiwna. Nie twierdzą, że może nie mieć racji, ale wkurza mnie ten upór, niedopuszczanie innej opcji. Bo ten facet zalatuje mi lekko ściemą i nic na to nie poradzę.

– Dziwny gość, ale śmieszny. No i ma milion lat, więc może faktycznie stwierdził, że już czas sporządnieć?

Misiek usiadł i podłożył sobie pod plecy poduszkę. Skrzyżował nogi i popatrzył na syna.

– Twój dziadek Wiesiek był kiedyś złodziejem, to już wiesz od niedawna. Wszyscy podejrzewamy, skąd wziął się kapitał na kupno tej willi, ale okej, powiedzmy, że się przedawniło i to nie moja sprawa. No i on naprawdę sporządził, a przynajmniej nic nie świadczyło o tym, że było inaczej. Dożył swoich dni w spokoju i w domu, a nie w więzieniu. A teraz okazuje się, że siostra twojej babci też związała się ze złodziejem. To u was rodzinne czy jak?

– Nie. – Młody popatrzył na ojca z lekką kpina. – Przecież ty nie jesteś złodziejem.

– Co?

– Mama nie wyszła za złodzieja, tylko za ciebie. Wujek Janusz też nie jest złodziejem, prawda? Czyli nie jest to rodzinne. Dotyczy tylko jednego pokolenia. Klątwa nie przeszła na następne.

– Na szczęście. – Misiek pokiwał głową w zamyśleniu. – Na szczęście...

Kiedy Bożena wyszła z łazienki, z trudem wstał z łóżka, żeby też wziąć prysznic. Przechodząc obok młodego, rozczochrał mu włosy i zanim Jacek zareagował, zniknął w łazience. Dziesięć minut później, myjąc zęby i patrząc sobie w lustrze w oczy, zastanawiał się, skąd w nim tak silne przekonanie, że nadciąga katastrofa. Częściową odpowiedzią był oczywiście Szwagier oraz być może nalewka, ale ten Stefan też nie dawał mu spokoju...



## 22 grudnia, godzina 02.30

Straszliwy huk, a potem czyjś wrzask postawiły cały dom na nogi. W jednej chwili wszyscy zerwali się z łóżek, choć gwoli ścisłości niektórzy po prostu z nich wypadli. Kiedy każdy się już trochę ogarnął, uspokoił kołaczące serce i sięgnął do najbliższego włącznika źródła światła, okazało się, że nie mają one zasilania. W kompletnej ciemności sięgnęli po komórki, choć nieco łatwiej mieli ci mieszkający od strony doliny: przez okna sączyła się odrobina światła z ulicznej latarni. Następnie każdy ostrożnie otworzył drzwi swojego pokoju i wyjrzał zza nich na ciemny korytarz.

Misiek z Bożeną i Młodym wyszli pierwsi. Przyświecając sobie komórkami, ruszyli ku schodom i przy ostatnich drzwiach spotkali Waliszów. Justyna i Janusz robili dokładnie to samo co oni, czyli czaili się w mroku, przyświecając komórkami, z tym że byli sami, bez bliźniaków. Chwilę później doszła do nich zaspana Alicja.

– Chryste, co to było? – zapytała przerażona.

Justyna i Janusz spojrzeli na siebie płochliwie i Misiek domyślił się, co zaszło. Może nie szczegółowo, ale jednak.

– Gdzie dzieciaki? – zapytał niewinnie i, nie czekając na odpowiedź, zaczął schodzić na dół, świecąc na swoje stopy.

– Też chciałbym to wiedzieć. – Doszedł go cichy głos Janusza przebijający się przez dźwięczenie łańcucha.

Na dole, w sali jadalnej były już Pelagia i Janeczka, okutane białymi szlafrokami.

– Co tak terkocze? – zapytała ciotka.

– Generator w piwnicy – wyjaśniła Janeczka.

– Skoro jest generator, to czemu nie ma prądu?

– Bo on zasila awaryjnie tylko piec centralnego ogrzewania, piekarniki i lodówki.

– Aha – stwierdziła ciotka krótko. – Ktoś ma pomysł, co to było?

– Nie co, tylko kto – stęknęła Justyna. – To chyba Robuś i Paulinka.

– A gdzie oni są? – Pelagia rozejrzała się dookoła, wbijając wzrok w ciemność poza kręgiem światła, w którym wszyscy stali.

– Musimy ich znaleźć. Tylko jak po ciemku przeszukać cały dom?

– Niech wujek do nich zadzwoni – mruknął Młody.

– Znaczy, jak zadzwoni?

– Normalnie. Komórką.

Janusz spojrział na Młodego skonfundowany, a potem wyłączył latarkę, żeby zrobić to, co zaproponował Młody. I wtedy zjawił się Szwagier. Nagi. Taki, jakim stworzył go Pan Bóg, choć Misiek od dawna podejrzewał, że Najwyższy Szwagrem zrobił ludzkości dowcip albo się na niej zemścił za bliżej nieokreślone przewinienia.

– Wow! – Janusz skulił się lekko, a jego żona pisnęła.

Bożena z Alicją odwróciły wzrok, Pelagia zrobiła to chwilę później, tylko Janeczka wyglądała, jakby golas nie zrobił na niej żadnego wrażenia. Być może Szwagier odwalił taki numer nie pierwszy raz.

– No co? Zawsze sypiam nago! – Szwagier był wyraźnie zbulwersowany chłodnym przyjęciem. – Tak jest zdrowiej.

– Jezu, zasłoń się, tu są dzieci! – syknęła Alicja.

– Przecież nie ma żadnych dzieci!

– Ale zaraz będą, mam nadzieję. – Janusz podrzucił telefon w dłoń i zauważył przytomnie, że jest jeszcze Jacek.

– Ja już nie jestem dzieckiem, wujek.

– Formalnie jeszcze przez półtora roku jesteś. – Misiek trącił syna łokciem. – Szwagier, chowaj imponderabilia.

– Czym mam się zastłonić?

– Michał, daj mu coś do przykrycia, bo sieje zgorszenie – syknęła do Miśka Bożena.

– Jakie tam znowu zgorszenie, nic spod tego brzuszyska nie widać.

– Przestaniesz?

– Co, mam zdjąć swoje gatki i mu je dać?

– Zdejmij chociaż koszulkę, niech się przykryje!

– Moją koszulką z Metallicą? Nigdy! Szwagier, idź może po prostu do siebie i się ubierz, co? Albo nie ubieraj, tylko tam zostań. Tak będzie jeszcze lepiej, co ty na to?

Szwagier zrobił minę sugerującą głęboki proces myślowy i choć Misiek wiedział, że to pozory, docenił wysiłek.

– Dobra, zobaczę, ale nie obiecuję – sapnęła zakąta rodu.

– Dziękuję ci za chociaż cień szansy. – Misiek przyjaźnie klepnął Szwagra po ramieniu, ale na wszelki wypadek zostawił na nim przez chwilę dłoń i popchnął lekko, żeby przyspieszyć nadejście swojego szczęścia.

Szwagier zniknął w ciemności, a ostatnią rzeczą, jaką wszyscy widzieli, były jego pośladki znikające w mroku i Misiek bał się, że ten widok długo zostanie w jego pamięci. Za długo.

– Dzwon – powiedział do Janusza, żeby przestać o tym myśleć.

Janusz popukał w wyświetlacz, a jego zmartwiona twarz zaczęła mienić się wszystkimi barwami tęczy. Potem przyłożył telefon do ucha i zastygł w oczekiwaniu, a razem z nim cała reszta. I nagle

w ciszy nocy rozległ się czyjś śpiew. Janusz opuścił telefon i rozejrzał się zdumiony. Misiek uśmiechnął się z satysfakcją i podszedł do wielkiego, poniemieckiego zegara stojącego pod schodami.

– Nie wiedziałem, że przedwojenne zegary wybijają godziny Lady Gagą – powiedział do niego i oświetlił go komórką.

Po chwili zza zegara wypełznął Robuś ze swoim nieodłącznym Zooberem, a zaraz po nim Paulinka, cali zakurzeni i oblepieni pajęczynami, co chyba nie najlepiej świadczyło o pani Janeczce.

– Zguby się znalazły – oznajmił Misiek, obejrzał się i zdębiał, podobnie jak reszta.

W sali jadalnej pojawiła się Statua Wolności, a w zasadzie jej karykatura. Zamiast pochodni miała latarkę, a zamiast tablicy z napisem z datą uzyskania niepodległości nie miała nic, bo Szwagier jak ognia unikał napisów we wszelkiej formie. W dodatku statua była w wyraźnie zaawansowanej ciąży. Wszyscy przyglądali się jej wstrząśnięci, ale już po chwili wszystko się wyjaśniło.

– Rany boskie, Szwagier, co ty masz na sobie? – Misiek pierwszy odzyskał głos.

– Prześcieradło.

– Skąd je wzięłeś?

– Leżało na korytarzu. – Szwagier wzruszył ramionami, jakby prześcieradła walające się po podłodze nie były niczym nadzwyczajnym.

– Skąd się tam wzięło?

– Może ja zgubiłam, kiedy niosłam pranie na strych? – zastanowiła się Janeczka.

– To się nawet dobrze złożyło, bo dzięki temu mogę zostać z wami. – Szwagier się ucieszył.

– Mówisz, że dobrze? – mlasnął językiem Misiek. – Dobra, dzieciaki, zeznawać teraz. Co tu robicie?

– Bawiliśmy się.

– O drugiej w nocy? – Janusz przetarł zaspane oczy.

– O drugiej dwadzieścia sześć – doprecyzował oskarżycielskim tonem Szwagier.

– Tak, to rzeczywiście bardzo istotne – rzucił Misiek.

– Dlatego mówię. W wojsku czas to pods...

– Szwagier, czy ty nie zauważyłeś, że już nie służysz w wojsku? Widzisz tu gdzieś jakieś wojsko?

– Nie, ale w sumie ciemno jest, prawda? Teoretycznie może się gdzieś czaić. Poza tym, Michu, prawda jest taka, że człowiek może z wojska wyjść, ale wojsko z człowieka nigdy.

– Właśnie widzę. – Misiek potarł nasadę nosa i poczuł takie zmęczenie, jakby przewalił tonę węgla. – Dobra, zostawmy wojsko w spokoju. W co się bawiliście? – zapytał bliźniaki.

– No... – bąknęła Paulinka.

– Może w wojsko? – zapytał Szwagier, powodując u Miśka skurcz palców u rąk.

– W co się można bawić w środku nocy po ciemku, bez prądu? – Justynie mijają chyba zdenerwowanie. Teraz chciała po prostu zrozumieć, co sprawiło, że jej dzieciaki wpadły na taki głupi pomysł. – I dlaczego tak głośno? Nie pomyślałyście o babci? Że może się śmiertelnie przestraszyć?

Poświeciła komórką w twarz Pelagii, która zasłoniła się ze wstrętem i warknęła:

– Zgłupiałaś, zabieraj mi to, bo zaraz zapalenia spojówek dostanę!

– No i pan Stefan też mógł się przestraszyć... – Bożena pokiwała głową, a Misiek tylko spojrział na nią wzrokiem bez wyrazu.



– Jestem, jestem. – Rozległo się nagle sapanie i po chwili promienie latarek z komórek wyluskały z ciemności wilka, o którym była mowa.

Stefan stał przed nimi, mrużąc oczy. Zwyczajowy krajobraz po bitwie, jaki miał na głowie, rzucał na ścianę fantazyjny cień przypominający scenografię do pierwszych, niemych filmów o Draculi. Starszy pan był całkowicie ubrany, ale zdumienie budził sweter, na którym wszyscy skupili wzrok. Można powiedzieć, że był zielony, ale tylko przez litość i tylko dlatego, że zieleń w zgniłym odcieniu przeważała i dało się od biedy wyciągnąć właśnie taką kolorystyczną średnią spośród całej palety obecnych na nim barw. Widoczek na dzianinowym sweterku był typowym przykładem radosnej twórczości typu „jelen na rujowisku”. Najdziwniejsze było jednak specyficzne ujęcie, w jakim te sympatyczne zwierzęta przedstawiono. Otóż były ustawione tyłem, co ni mniej, ni więcej oznaczało, że skubiąc trawkę, wypinały zadki w stronę obserwatorów, a po obu stronach każdego z nich prezentowało się imponujące poroże. Wyglądało to, jakby wyrastało właśnie z zadków. Zapewne w zamyśle projektanta sweterek miał być strojem bożonarodzeniowym i żeby nie było wątpliwości, na niebie w świetle księżyca widać było sześćojelenny zaprzęg świętego mikołaja. Machał rozpaczliwie ze swojego pojazdu, nad którym stracił chyba panowanie i którego niestety nie dało się z czystym sumieniem nazwać saniami. Obecność szprychowych kół i brak płóz były jednak godnym podziwu przykładem spójności artystycznej, wszak na całym krajobrazie nie uświadczyło się ani grama śniegu. Gdyby jednak ktoś dalej z jakichś powodów posiadał wątpliwości, to rozwiewał je napis pod spodem: *Happy Chrixmas and Marry New Yeah!* Najprawdopodobniej coś nie zadziało na linii zamawiający-wykonawca: albo opis produktu został przetłumaczony nie na ten

dialekt co trzeba, albo zaważył na nim istotny fakt, że w Państwie Środka katolików jest jak na lekarstwo, a sporo jego mieszkańców nie widziało śniegu na oczy.

– Ho, ho, ho – zahuczał basem Szwagier, któremu najwyraźniej wytwór chińskiej sztuki ludowej bardzo się spodobał.

– Boże, panie Stefanie, co pan ma na sobie? – jęknęła Alicja, która jako wykształcona artystka-plastyczka była bardzo wrażliwa, zaś jej gust odległy był od gustu Szwagra jak Świeradów-Zdrój od Specjalnej Strefy Ekonomicznej w Szanghaju.

– Ładny, prawda? – Stefan złapał za rękę Szwagra i poświecił jego latarką na swój chudy tors. – Dostałem od Pelagii, kiedy już sobie porozmawialiśmy.

Popatrzył na ciotkę ciepło i uśmiechnął się.

– Myślałem, że z darów – mruknął Misiek. – Nie było różowych z gruszkami?

– Wilkoński... – Bożena trąciła go łokciem. – Uspokoisz się?

Misiek zacisnął zęby i powieki. Sam nie wiedział, które zacisnęły się mocniej.

– A może skończmy ten pokaz poronionej mody i wreszcie się dowiedzmy, w co bawiły się dzieciaki? – Otworzył oczy i popatrzył na Robusia i Paulinkę.

Bliźniaki wyglądały, jakby chciały zrobić wszystko, żeby jak najszybciej znaleźć się w swoich łóżkach, a nawet żałowały, że w ogóle z nich wyszły.

– Bawiliśmy się w duchy – wysapał Robuś.

– No i wszystko jasne! – Misiek uniósł ręce i klepnął się nimi w uda. – Przebiegałeś w prześcieradle obok lustra i zauważyłeś w nim siebie.

– Ale tam nie ma lustra, wujku.

– To może zobaczyłeś Paulinkę? Ona miała na sobie prześcieradło?

– Też nie – upierał się bliźniak męski. – Nie mieliśmy żadnego prześcieradła.

– A tak w ogóle, to po co duchowi prześcieradło? – Paulinka zmarszczyła brwi i spojrzała na brata.

– No właśnie, po co? – zdziwił się Robuś.

– To jak waszym zdaniem wyglądają duchy? – Misiek zmarszczył brwi.

– No właśnie, jak? – Alicja zapałała zawodową ciekawością.

– Zjawisko powracającej psychokinezy spontanicznej jest rozważane w kategoriach pozamaterialnych, więc wszelkie materialne artefakty nie mają racji bytu, przecież to logiczne – wyjaśniła Paulinka, a Robuś tylko pokiwał głową.

– Któryś z waszych kolegów z klasy nie ma czasem na imię Harry? – Brwi Miśka dla odmiany podjechały do góry i miał je teraz wyżej niż Janusz.

– Osaczacie nas – rzucił Robuś grobowym głosem.

– Proszę?

– Naruszacie naszą prywatną przestrzeń i czujemy się z tym niekomfortowo.

– Skąd oni znają te wszystkie trudne słowa? – Misiek popatrzył bezradnie na Janusza i Justynę.

– W naszej szkole uczymy się tolerancji i poszanowania praw innych. Szanujemy i prosimy o szacunek – oznajmił Robuś.

– A ile jest dwa razy dwa? Mam nadzieję, że tego też was uczą oprócz tolerancji i spirytyzmu?

– Bardzo śmieszne, wujku, ha, ha, ha – powiedziała Paulinka. – Nasza szkoła jest na szóstym miejscu w rankingu najlepszych szkół podstawowych w Polsce. He-ło!

– Aaa, to nie, to szacun...

– Nieee, przecież ja nie robiłam prania od trzech dni – stwierdziła nagle pani Janeczka. – Nie mam pojęcia, skąd się tam wzięło prześcieradło. Pokaż mi to, Zdzisiu.

– Niech pani uważa, pod spodem nic nie ma – ostrzegł ją Misiek.

– Spokojnie, przewijałam Zdzisia, jak był jeszcze osekkiem i niejedno w życiu widziałam. Justynka, poświęć mi. Pokaż to, Zdzichu... Nie to, tylko prześcieradło, z drugiej strony... – Odwinęła skraj białej płachty. – No i już wszystko jasne. To nie jest prześcieradło. To zasłonka z prysznicą z górnej łazienki.

– Co robiła na podłodze? – zapytała Pelagia.

– A tego to ja nie wiem. – Janeczka wzruszyła ramionami i popatrzyła wymownie na bliźniaki.

– To nie my! Nie byliśmy w łazience.

– One są nowoczesnymi duchami – potwierdził Misiek. – Używają ektoplazmy zamiast trywialnych szmatek. Więc zgubił ją jakiś tajemniczy gość. Tylko po co ją zabrał z łazienki? I co tam robił?

W ciemności smaganej chaotycznie światełkami latareczek z komórek nikt nie zauważył, jak jego wzrok wędruje ku Stefanowi.

– Jak to, a co się robi w łazience? – zapytał zdziwiony Szwagier i bez wątpienia wyjątkowo miał trochę racji.

– Słuchajcie – stwierdziła nagle Pelagia. – Jest prawie trzecia w nocy. Dajmy spokój durnym dochodzeniom. Dzieciaki narobiły hałasu, a wy robicie aferę, jakby się coś wielkiego stało i nigdy nie byliście dziećmi. Idziemy spać. Miejmy nadzieję, że do rana przywrócą zasilanie.

Wszyscy zamruczeli zadowoleni, że ktoś wreszcie podjął mądrą decyzję. Wszyscy z wyjątkiem Miśka. Pnąc się schodami na swoje piętro, wyczochrął przechodzącego obok Robusia.

– To nie my narobiliśmy hałasu, wujku – poskarżył mu się szeptem dzieciak, jakby czuł, że znalazł w nim sprzymierzeńca. – My tylko wrzeszczeliśmy ze strachu. Hałasu narobił ktoś inny.

– Wiem, chłopaku. – Misiak uśmiechnął się do niego. – Wiem... Nie przejmuj się, dojdziemy do prawdy, już ja się o to postaram.

Robuś kuksnął Paulinkę w bok i oboje zadowoleni ruszyli biegiem w górę schodów. Na górnym parterze Szwagier odbił do siebie. Misiak pożegnał go pełnym ulgi spojrzeniem i ruszył dalej do góry, kiedy nagle Szwagier przystanął i powiedział niespodziewanie:

– Cztery.

– Co cztery? – Misiak zatrzymał się i odwrócił do niego.

– Pytałeś, ile jest dwa razy dwa. To jest cztery.

Misiak otworzył usta i nabrał powietrza, żeby Szwagra pochwalić, ale stwierdził, że nie chce go rozzuchwalać.

– Dobranoc, Szwagier – powiedział tylko. – Kolorowych snów. Może nawet przyśni ci się jakiś desant?

Misiak poszedł wreszcie spać, ale nie dane mu było przespać reszty nocy spokojnie. Przed piątą obudził go czyjś cichy jęk. To była Bożena. Macając palcami po prześcieradle, rozpaczliwie szukała jego ręki, a kiedy ją wreszcie znalazła, ścisnęła tak, że Misiak prawie wrzasnął.

– Co ty...? – Niemal zerwał się z łóżka.

– Michał, on chce mnie...

Misiak zdrętwiał. Zobaczył, że z jego żony wystaje coś dziwnego i w odmętach otumanionego gwałtownym wyrwaniem ze snu umysłu stanął mu pasażer pewnego statku kosmicznego.

– Bożena, co to jest? – zapytał ze ściśniętym ze strachu sercem.

Wciąż jeszcze nie do końca się obudził i tylko na karb tego stanu można było złożyć fakt, że nie rozpoznał od razu kształtu kota. Poza

tym w pokoju panował półmrok. Krakierski siedział na piersi Bożeny i wpatrywał się w nią nieruchomym wzrokiem.

– Patrzy na mnie... – jęknęła.

Misiek ochłonął. Otarł pot z czoła i westchnął.

– Jezu, ale mnie wystraszyłaś...

– Patrzy na mnie!

– Bo cię lubi.

– To jest kot.

– A co, koty nie mogą lubić?

– Ten kot nie lubi nikogo.

– No to tylko sobie patrzy. Też lubię patrzeć w to miejsce.

– To jest kot, Wilkoński, rozumiesz? I zdejmiesz go w końcu ze mnie? Nie życzę sobie, żeby mi się gapił w dekolt ani nie życzę sobie, żeby na mnie w ogóle siedział!

– Nie możesz go spędzić sama? – Miśka zaczęło to bawić.

– Boję się, że kiedy się ruszę, zaatakuje. Nie słyszałaś o kotach, które przegryzały swoim właścicielom gardło, bo widziały ruszającą się grdykę?

– Moja jest wydatniejsza, więc nie o grdykę chodzi – zauważył Misiek. – Poza tym to leniwe bydlę miałoby cię zaatakować? I tak się dziwię, że chciało mu się włączyć tak wysoko. I kto go tu wpuścił?

– Zdejmij go wreszcie ze mnie!

Misiek usiadł na łóżku i sięgnął po kota, ale ten nagle skulił się, położył uszy po sobie, fuknął i wykonał zamach łapą uzbrojoną w dawno nieobcinane pazury, a potem zeskoczył z Bożeny i z łóżka. Bożena natychmiast rzuciła się do lampki nocnej i włączyła ją, dysząc ciężko.

Nic się nie wydarzyło, gdyż urządzenia zasilane prądem działają lepiej, kiedy ten prąd do nich dochodzi. Bożena po krótkiej chwili konsternacji złapała telefon i włączyła latarkę.

– Ożeż ty...! – Misiek patrzył w zdumieniu na kota, który siedział koło drzwi i z wyraźnym obrzydzeniem lizał łapkę.

– Bronił mnie! – Stosunek Bożeny do Krakera zmienił się diametralnie. – Widziałeś? Bronił mnie!

– Ej, ludzie, tu się śpi! – Spod okna dobiegł ich zaspany głos Młodego. – Nie możecie być trochę ciszej?

– Powiedz to temu sierściuchowi. – Misiek ścisnął dłoń, oglądając ją przy nikłym świetle latarki swojej komórki. – Cholerny ksenomorf...

Bożena zaśmiała się cicho.

– Tak ci wesoło teraz? – spytał. – Słyszałaś o chorobie kociego pazura? Mogę stracić rękę!

– Idź to zdezynfekuj, wywal go z pokoju i chodź spać – powiedziała z rozbawieniem.

Misiek poszedł do łazienki, przemył obrażenia, które okazały się niewielkim, lekko krwawiącym skaleczeniem, i polał je wodą utlenioną, którą Bożena zawsze miała w kosmetyczce. Kiedy wrócił do pokoju, Krakera nie było.

– Wypuściłaś go? – zapytał zdziwiony żonę.

– Nie – mruknęła Bożena, wyraźnie odpływając do krainy snów.

Misiek rozejrzał się po pokoju, zaświecił i zajrzał w kąty i pod łóżko, ale kota nigdzie nie było. Zniechęcony położył się do łóżka, przytulił do Bożeny i niemal natychmiast zasnął.





## 22 grudnia, godzina 09.00

Wszyscy przyszli na śniadanie punktualnie, choć po niektórych widać było, że noc nie należała do łatwych. Szczególnie widać to było po Bożenie. Krakers odnalazł się rano w walizce Młodego i nikt nie miał pojęcia, jak się do niej wślizgnął. Po otwarciu walizki po prostu ziewnął, przeciągnął się, przebijając pazurami materiał dżinsów, po czym wymaszerował z niej z godnością, zostawiając po sobie kłęb rudych kłaków. Usiadł pod drzwiami, oglądając się na Wilkońskich wielce zdziwiony, czemu jeszcze nikt go nie wypuścił. Spojrzenie jego bursztynowych oczu mówiło wyraźnie: prędziutko.

Niektórzy nie mogli doczekać się kontynuacji wyjaśniania nocnych zdarzeń, chociaż na pewno do tego grona nie należały bliźniaki. Inni zaś byli po prostu głodni i do tego grona z pewnością należało zaliczyć Szwagra. Oraz Stefana, który zasiadł na swoim miejscu, oczywiście w sweterku z rogatymi zadkami reniferów. Po Alicji widać było, że wyrób swetropodobny budził w niej wyraźny i straszliwy niesmak. W Miśku również, choć u niego ocierało się to o rodzaj fascynacji i próby zrozumienia, jakie musiały zajść okoliczności, by doszło do powstania takiego koszmaru.

W wielkiej sali panowała niezwykła atmosfera, a to z powodu nietypowego światła: to naturalne tłumił śnieg, również ten

zalegający na świetliku, a sztucznego po prostu nie było, ponieważ wbrew nadziei Janeczki zasilania wciąż nie przywrócono.

– Smacznego – powiedziała Janeczka i Szwagier, który wyglądał jak sprinter w blokach startowych na lekkoatletycznych mistrzostwach świata (choć tylko od szyi w górę – mam na myśli skupienie, a nie posturę), rzucił się na białe kielbaski.

Reszta spokojnie zaczęła nakładać sobie jedzenie, a potem przystąpiła do konsumpcji. Padały pojedyncze słowa i zdania, takie jak: „Podaj mi, proszę, pomidorki”, „Robuś, nie palcami”, „Paulinka, nie mlaskaj” albo „Michu, będziesz jadł te skórki?”. Misiek odczekał, aż wszyscy zaspokoili pierwszy głód, zerknął na bliźniaki i powiedział dość głośno:

– Ale się działo w nocy, co?

– Po co teraz do tego wracać? – bąknęła Paulinka.

– Właśnie. – Justyna wzięła stronę córki. – Powygłupiały się dzieciaki i tyle. Przeprowadziliśmy już w pokoju rozmowę, więc nie trzeba teraz jej powtarzać.

– Nie mówię o dzieciakach. Też nim byłem. Mówię o tajemniczym gościu.

– O duchu! – zawołał Robuś, uruchamiając w pułkowniku Zooberze opcję rażących promieni.

– Nie. – Misiek zdecydowanie pokręcił przecząco głową. – I proszę cię, nie świeć mi tym twoim Zenkiem w oczy, bo dostanę ataku padaczki, dobrze?

– Nie o duchu? – Bliźniak męski był wyraźnie zawiedziony, ale spełnił prośbę Miśka i wyłączył Zooberowi zasilanie.

– Nie, chłopaku. Bo ja nie wierzę w duchy. Duchy nie istnieją.

– Ale ja go widziałem! – upierał się Robuś. – Przysięgam! I Paulinka też!

– Ależ ja ci wierzę.

– Naprawdę?

– Tak.

– To o co chodzi? – Oczy dzieciaków były wielkości kanadyjskiej złotej miliondolarówki: największej monety świata, dopóki ktoś nie zwinął jej z wystawy, a potem Australijczycy stworzyli swojego monstrualnego „kangura”.

– Wierzę, że widziałeś kogoś w nocy. Z tym, że to nie był duch, tylko człowiek, rozumiesz, chłopaku? Ktoś chciał, żebyś tak myślał. A w zasadzie chciał, żebyś nie myślał.

– Nie rozumiem.

– Ja też – dodał Szwagier.

– Kiedy zobaczysz w środku nocy skradającego się gdzieś człowieka, będziesz się zastanawiał, co on tam robi, prawda?

– No tak.

– Ale kiedy zobaczysz ducha, tak się przestraszysz, że nie będziesz w stanie myśleć. Strach przyćmi wszystko. Zdrowy rozsądek, inne emocje. I to dotyczy każdego, kto wierzy w duchy i w związku z tym się ich boi.

– Czyli, wujku, skoro ty nie wierzysz, to się ich nie boisz?

– Zgadza się.

– Więc co ty byś zrobił, gdybyś zobaczył w nocy ducha?

– Nie ducha, Robuś. Nie ducha, tylko przebranego w zasłonkę od prysznic faceta, rozumiesz?

– A dlaczego faceta?

Miśka na chwilę zatkało.

– Dobra, masz rację – przyznał. – To nie musi być facet. Ale człowiek. Więc gdybym w środku nocy spotkał człowieka ubranego w zasłonkę od prysznic, zapytałbym, co tu robi i po co mu ta cholerna zasłonka.

– Michał... – stęknęła Justyna.

– Przecież to nie jest brzydkie słowo.  
– Znamy lepsze – mruknęła Paulinka.  
– Nie wątpię – bąknął Janusz.  
– A gdyby zaczął uciekać – kontynuował niezrażony Misiek. – Zaczęłbym go gonić, zerwałbym z niego tę szmatę i sprawdził, kto to taki. – Jego wzrok powędrował ku Stefanowi, który pochylony nad talerzem wyraźnie udawał, że rozmowa go nie interesuje.

Tak przynajmniej uważał Misiek.

– Myślisz, że ktoś się włamał do willed? – zapytała Pelagia.  
– Niekoniecznie, ciociu, choć to też możliwe.  
– Ach, zapomniałam. Byłam w łazience powiesić zasłonkę i znalazłam tam przewróconą drabinę! – wykrzyknęła Janeczka.

– To już wiemy, skąd ten huk w nocy.

– Myślisz? – Alicja zmarszczyła brwi.

– To nie my – powtórzył swoją mantrę Robuś.

– Ktoś myszkował w łazience i spadł z drabiny. Pytanie: co tam robił? I nie, Schwagier, nie robił tam tego, co się robi w łazience, bo do tego nie trzeba drabiny, choć wiem, że akurat ciebie na wiele stać.

– Włamywacz... – szepnęła ze zgrozą w głosie Janeczka.

– Jak wspomniałem, to możliwe. – Misiek pokiwał z przekonaniem głową. – Choć jestem zwolennikiem teorii, że najprostsze rozwiązania są najlepsze i nie trzeba szukać kogoś z zewnątrz.

– Sugerujesz, że to ktoś z nas? – zapytała Bożena.

– Oczywiście, że to może zabrzmieć kontrowersyjnie – zgodził się Misiek, łowiąc pełne wdzięczności spojrzenie Justyny. – Ale jest to bardzo prawdopodobne. Pomyślmy, jakie mogą być skutki upadku z drabiny? – Rozejrzał się i poczuł jak Herkules Poirot u końca zagadki. – Elementarne skutki? Czyżby sińce tudzież guzy?

Jego wzrok spoczął na Stefanie. Spojrzenia innych również powędrowały w jego stronę i kiedy starszy pan zorientował się, że skupia na sobie uwagę zebranych, zastygł z widelcem w połowie drogi między talerzem a ustami.

– Przepraszam, ale byłem tak skupiony na konsumpcji, że umknęło mi *clou* rozmowy – powiedział niewyraźnie i spojrzał na Janeczkę. – Przy okazji, droga pani, skoro już jesteśmy przy temacie kulinarnym, doskonały pasztecik, po prostu rozkosz dla podniebienia.

Janeczka niemal rozplynęła się z zadowolenia.

– Temat, jaki poruszamy, jest bardzo ważny – powiedział zimno Misiek. – Gdyż najprawdopodobniej w tym domu grasuje złodziej.

– Jak to złodziej? – zapytała Alicja.

– Dobra, nie wiemy jeszcze, czy coś ukradł, więc formalnie nie nazwiemy go złodziejem. Pani Janeczko, gdzie stała ta drabina, zanim pojawiła się w łazience?

– W składziku przy wyjściu.

– Czy to pani przeniosła ją do łazienki?

– Ależ skąd? Po co?

– Czy którekolwiek z was to zrobiło? – Misiek rozejrzał się po zebranych.

Wszyscy siedzieli w milczeniu, niektórzy przecząco kręcili głowami.

– Czyli nikt z nas, bo ja też nie. Oczywiście śmiało możemy założyć, że nie dostała nóżek ani kółek i nie znalazła się tam sama, prawda? Prawda. Śladów włamania do willi typu wybita szyba, wyłamany zamek nie było, prawda? Prawda. – Jeszcze raz badawczo popatrzył każdemu w oczy, a kiedy cisza zrobiła się nieznośna, wypalił: – A więc któreś z nas kłamie.

– Ty też możesz kłamać – zauważyła przytomnie Pelagia.

– Zgadza się, ciociu – przyznał uczciwie Misiek. – Ale zważywszy na to, że jestem chyba jedyną osobą w tym gronie, której zależy na wyjaśnieniu zagadki, jest to mocno wątpliwe.

– Czyli nie dowiemy się kto? W końcu wszyscy jesteśmy podejrzani. – Alicja westchnęła.

– Tak, ale niektórzy bardziej. – Misiek uśmiechnął się skromnie.

– Na przykład którzy? – wycedziła Bożena, która chyba wiedziała już, co się święci.

– Oczywiście nie będziemy sprawdzać odcisków palców na drabinie. Nie mamy sprzętu, umiejętności, a policja nie przyjedzie z dwóch powodów: bo po pierwsze to dla nich pierdoła, a po drugie tak samo jak my nie mogą wyjechać dokądkolwiek, ponieważ ich zasypało. Ale to nie szkodzi. Bo są ślady, które widać gołym okiem.

– Na drabinie były jakieś ślady? – wyjąkała Janeczka. – Ale ja je zatałam, panie Michale, bo ją złożyłam i odniosłam do składzika, przepraszam!

– Ależ nic się nie stało, pani Janeczko – pocieszył ją Misiek. – One nie są na drabinie, tylko na tym, kto z niej spadł...

Zapadła cisza.

– Mówisz o śladach krwi? – zapytał w końcu Młody.

– Poniekąd.

– Jak to poniekąd?

– Krew nie zawsze musi wypłynąć z ciała, żeby mówić o obrażeniach, prawda? Może zostać pod skórą i wtedy mamy co? Siniaki. To oczywiste, że spadając z drabiny, ma się ich mnóstwo. No to może sprawdzimy, kto je ma. Co wy na to? – zapytał wesóło.

– Mamy się publicznie rozbierać? – syknęła Bożena. – Czyś ty zwariował?

– Kto mówi o rozbieraniu? – Misiek spojrzał w lewo. – Mamy pierwszego kandydata...

Głowy wszystkich zwróciły się w stronę osoby, na której spoczął wzrok Miśka.

– Panie Stefanie, potrafi pan to wyjaśnić? – zapytał detektyw Wilkoński.

Stefan łypnął na niego, a potem popatrzył na swoje przedramiona. Podwinięte rękawy sweterka w rogate jelenie zadki ukazywały skórę pokrytą kilkoma sporymi sińcami.

– Bardzo logiczny wywód, przyznaję. – Uśmiechnął się ciepło do Miśka, choć ten przysięgłby, że w oczach mignęło coś innego niż sympatia. – Genialny w swej prostocie. Mógłbym przyznać teraz, że mnie macie, ale tego nie zrobię. Bo to nie byłem ja. Niestety, z całym szacunkiem dla pańskich detektywistycznych zdolności, istnieje proste wyjaśnienie moich, jak pan to określił, obrażeń.

– Słuchamy – powiedziała Alicja i Misiek zerknął w jej stronę z wdzięcznością, ciesząc się, że ktoś wreszcie trzyma jego stronę.

– Zanim to wyjaśnię, prosiłbym, żebyście mi mówili po imieniu, moi drodzy. Nie ma sensu, żebyśmy sobie „panowali”. Zdaję sobie sprawę, że dla młodszych członków rodziny, waszej rodziny, może to być bariera nie do pokonania, ale postarajcie się i nie krępujcie, proszę. Zrobicie ogromną przyjemność starszemu panu. Stefan, po prostu Stefan...

Wszyscy uśmiechnęli się ciepło, z nieśmiałością spuszczać wzrok. Wszyscy, oprócz Miśka. On się ani nie uśmiechnął, a tym bardziej ciepło, ani nie spuścił wzroku, bo nie spuszczał go ze Stefana od początku śniadania. Stefan szarmancko skinął głową.

– Dobrze, skoro tę kwestię mamy wyjaśnioną, to przejdę do następnej. – Spojrzał na Alicję. – Otóż posiadam pewną przykrą przypadłość, moja droga, a w zasadzie drodzy państwo. Kruchość naczyń krwionośnych, co objawia się tym, że przy nawet niezbyt mocnym uderzeniu, a wręcz czasem trochę silniejszym uścisku na

mojej skórze pojawiają się wybroczyny. Czyli potocznie sińce. Musiałem uderzyć się o jakiś mebel, pamiętam również jak przez mgłę, że kiedy rozległ się ten koszmarny wrzask, wyrwany ze snu spadłem z łóżka. Jak zapewne się domyślicie, taki upadek w moim wieku nie należy do przyjemnych. A w moim przypadku dodatkowo kończy się takimi oto paskudnymi plamami. – Stefan uniósł ramiona i zaprezentował wszystkim sińce.

– Więc to nie pan... To nie ty odwiedziłeś w nocy łazienkę? – zapytał Misiek.

– Oczywiście, że nie! I szczerze mówiąc, nie rozumiem tego argumentu, przecież mam łazienkę w swoim pokoju, po co miałbym schodzić piętro niżej? W moim wieku to cała wyprawa, mój drogi, nie wspominając o innej kluczowej kwestii: o czasie. Kiedy będziesz mieć tyle lat co ja, zobaczysz, jaka to ciężka walka.

– Późno się zjawiłeś. Jako ostatni.

– Zgadza się, bo szedłem po ciemku, kierując się waszymi głosami. Niestety nie posiadam komórki tak jak wy, młodzi, nie miałem sobie czym poświecić. Musiałem uważać na każdy krok stawiany po omacku.

– A wyjaśnisz łaskawie, dlaczego jako jedyny przyszedłeś w ubraniu? – zapytał podejrzliwie Misiek.

– Słucham?

– Wszyscy przybiegli w koszulkach nocnych, piżamach, szlafrokach, jednym słowem, w tym, w czym zwykle się śpi. Dobra, jeden arcymistrz przybiegł bez niczego. A ty byłeś całkowicie ubrany, nie tylko w ten uroczy sweterek, ale i w całą resztę. Miałeś na sobie spodnie, a nawet buty. – Rozejrzył się, widząc zdziwione spojrzenia rodziny. – Tak, zauważyłem to, wyobraźcie sobie. Tak było, prawda, Stefan?



Stefan mrugnął nerwowo. Przypominało to tik czającego się od długiego czasu na muchę legwana, któremu wyschły oczy: starszy pan siedział sztywno i całkowicie nieruchomo, a mrugnięcie było niemal niedostrzegalne.

– Możesz się nie wygłupiać? – syknęła Bożena do męża.

– To jest dość istotna kwestia, jeśli chcemy się dowiedzieć, co się stało. – Misiek popatrzył na nią ze zdziwieniem.

– Spokojnie, Bożenko, wszystko jest w porządku. – uspokoił ją Stefan, czym wzbudził w Miśku niemal wściekłość. – Tak było, potwierdzam, ale znów wyjaśnienie jest bardzo proste. – Skromnie spuścił wzrok. – Ulica.

– Przepraszam, ale dla mnie to nie jest proste – stwierdził Misiek, gotując się w środku. – To nie ma w ogóle związku.

– A jednak, młody człowieku, a jednak... – Stefan oparł się i spojrzał w górę, a jego wzrok przebił świetlik, pokrywą śniegu na nim, grubą warstwę chmur, aż napotkał bliżej nieokreśloną przeszłość. – Długo żyję praktycznie na ulicy. Z dnia na dzień, nigdy nie będąc pewnym, co przyniesie jutro. Czasem miewam lepsze okresy. Czasem znajduję lokum, jakąś dorywczą pracę i osiągam, jak to nazywam na własny użytek, małą stabilizację. Czuję się nieco pewniej. A potem to mija, znów z różnych przyczyn ląduję na ulicy, nie wiedząc, co będzie jutro. Ale nawet wtedy, nawet kiedy czuję, że mam dokąd wrócić, ciągle spodziewam się najgorszego. Nieokreślonego zagrożenia, na które będę musiał zareagować natychmiastową ucieczką. My, żyjący na krawędzi życia tak już mamy. Pełna gotowość. I dlatego zawsze śpię w ubraniu. Żeby przygotowanie się do ucieczki zabrało mi jak najmniej czasu. – Stefan popatrzył na Miśka, a w jego oczach był niewyobrażalny smutek.

Misiek poczuł, że coś stanęło mu w gardle. Rozejrzał się lekko zmieszany i zobaczył, że wszystkie kobiety odwracają twarze, a te starsze: Pelagia i Janeczka, przytykają do oczu serwetki. Stefan rozłożył ręce.

– Mam nadzieję, że rozwiąłem twoje wątpliwości, mój drogi. – Jego twarz nagle rozjaśnił uśmiech. – I rozumiesz też już zapewne, jaką radość sprawił mi podarek naszej drogiej Pelagii. – Ukłonił się w stronę ciotki, obciągając sweterek i cienkie nóżki wystające z zadków nagle się wydłużyły. – Każda rzecz, jaką dostajemy my, ludzie na krawędzi, cieszy nas bardziej niż was sztabka złota. Dziękuję ci jeszcze raz, moja droga. Serdecznie dziękuję...

Misiek bezwiednie zacisnął dłonie w pięści. Wynik rozgrywki był już przesądzony. Stefan: jeden, Wilkoński: absolutne, moralne zero. Korzystając, że wszyscy skupili się na Stefanie, zaczął jeść zimną jajecznicę, która przestała mu nagle smakować nie tylko dlatego, że była zimna. Przeżuwał ją razem ze swoją porażką, zastanawiając się, jak to się mogło stać. Precyzyjny plan wypunktowania Stefana okazał się wart tyle co nic i padł pod naporem jego kontr. Wyszło słabo i Bożena wyraźnie dawała to Miśkowi do zrozumienia mową ciała. Była to jedyna mowa, jakiej doświadczał do końca śniadania.

W milczeniu również wracali do pokoju. Kiedy weszli do środka, Bożena poczekała, aż Misiek zamknie drzwi, odwróciła się i wzięła pod boki. I dlatego Misiek wiedział, że będzie źle.

– Zrobiłeś z siebie pośmiewisko! – fuknęła.

– Ja?

– Tak, ty! Prowadząc to swoje, pożał się Boże, żalotne, toaletowe śledztwo, pokazałeś się z jak najgorszej strony! Dałeś dowód braku wyczucia, taktu, dobrego wychowania i podstawowej kindersztuby. Wstydzę się za ciebie! Mój własny, osobisty mąż okazał się nieczułym palantem!

Miśka zatkało. I to totalnie. Stracił rezon, na szczęście nie opanowanie. Zamilkł, zaskoczony i zasmucony, odwrócił się i położył na łóżku, odwracając głowę w bok, żeby nie musieć patrzeć na żonę. Młody jak zwykle zalegał na polówce z nieodłącznym telefonem i przezornie się nie odzywał. Bożena pokręciła się jeszcze chwilę po pokoju, a potem wyszła na ploty do kuzynek, zostawiając ich samych.

- Przecież nic nie mówię – stwierdził Młody.
- Przecież też nic nie powiedziałem!
- Ale patrzysz na mnie.
- A na kogo mam patrzeć, jak jesteś tu tylko ty?
- Telewizor sobie włącz.
- Nie ma prądu.

– I to mnie martwi. – Jacek wyraźnie posmutniał. – Mam podłączony ostatni powerbank.

Misiek milczał przez chwilę. Miał większe zmartwienia niż brak prądu.

– Stefan mnie najnormalniej w świecie wkurwia – wyrzucił z siebie niespodziewanie. – Coraz bardziej. Wszystkie baby patrzą na niego jak na trzymiesięczne kocię, a na mnie jak na potwora, który próbuje je zeżreć. Rozumiesz to? Bo ja nie! Jak mam nie być wkurzony, Młody? No jak?

– Tato, jesteś zazdrosny?

– Zazdrosny? Ja? – oburzył się Misiek. – Zazdrość nie ma tu nic do rzeczy. Chodzi o naiwność. Facet nimi manipuluje. Owinął je sobie wokół palca, macha nim, a one latają za nim i cieszą się jak głupie. Stefan gra na emocjach. I jest wirtuozem tej gry. Skraca dystans, proponując wszystkim, żeby mówili mu po imieniu. Zmienia niewygodny temat, prawiąc komplementy. To są sztuczki sprzedawców cudownych garnków i kołder leczących reumatyzm,

rozumiesz? Bezdomny, podejrzany, nie wiadomo z czego żyje, a tu proszę: znalazł sobie ciepły kątek, jedzonko, spanko. Wszystko za darmo. Nie o to chodzi, że mu żałuję, rozumiesz? Że żałuję komukolwiek czegokolwiek. Chodzi o to, że on bezwzględnie i cynicznie nasze kobiety wykorzystuje, a one są szczęśliwe, bo myślą, że robią dobry uczynek. Uspokajają swoje sumienia. Czynią zadość świątecznej tradycji, goszcząc nieznanego. A Stefan...

– No?

Misiek spojrział na syna w zamyśleniu.

– On tu się nie zjawił bez powodu.

– Ciotka Pelagia jest powodem.

Misiek prychnął lekceważąco.

– Gdyby tak było, od razu przedstawiłby się prawdziwym nazwiskiem i błagał ją o wybaczenie, a nie robił z siebie lisa. To znaczy idiotę. Sam widzisz, że we wzbudzaniu litości jest dobry. Wręcz genialny. I w żadnym razie nie jest idiotą. Wyślizgał się z tych moich podejrzeń jak wąż. On ma jakiś plan, Młody. Mówię ci, Stefan przyszedł tu po coś...



## 22 grudnia, godzina 12.25

- Bez przerwy pizga złem, nawet na spacer nie da się wyjść, no!
- zżymał się Misiek, wyglądając przez okno.

Mówił to do siebie, ponieważ był w pokoju sam. Bożena jeszcze nie wróciła, Młody znów gdzieś zniknął, więc teoretycznie Misiek miał wreszcie do spędzenia w samotności trochę czasu, który próbował jakoś produktywnie wykorzystać. Podszedł do walizki, żeby wyciągnąć książkę, kiedy zadzwoniła jego komórka leżąca na biurku. Spojrzał najpierw na sufit, potem na wyświetlacz i kiedy zobaczył na nim słowo „Szwagier”, ogarnęły go złe, bardzo złe przeczucia. Kojarzyło mu się to jednoznacznie z obstrukcją, nieszczęściem, katastrofą i kłopotami. Nie budziło żadnych pozytywnych skojarzeń, jakie mają niektórzy, wspominając swoich Szwagrów: wspólne popijawy, męskie wyprawy na ryby, psioczenie na baby i tym podobne. Nie, Misiek choćby myślał cały tydzień, nie przypominałby sobie żadnej przyjemnej chwili ze Szwagrem, a to z tej prostej przyczyny, że takich nie było. Ani jednej, i patrząc na telefon, nie sądził, że tym razem mogłoby być inaczej. Przez chwilę opanowała go pokusa, żeby nie odbierać. Udawać, że nie widzi, nie słyszy tego cholernego telefonu. A może nawet nie pamięta, że ktoś taki jak Szwagier w ogóle istnieje? Ta pokusa była ogromna. Ale Misiek to w gruncie rzeczy dobry facet, więc tylko westchnął ciężko,

zatrzymał powietrze w płucach jak przed skokiem do głębokiej, nieznanej wody i odebrał.

– Michu... – jęknął Szwagier do telefonu. – Słuchaj, pomocy potrzebuję.

– Sam sobie nie poradzisz? – zapytał z nadzieją.

– Nooo nie. Próbuję od godziny i nic.

Misiek uświadomił sobie właśnie, że od jakiegoś czasu Szwagier nie był obecny w jego najbliższym otoczeniu. Nie było słychać jego pohukiwania, kiedy czegoś szukał, troskliwych pytań, czy komuś czegoś nie potrzeba, choć nigdy później tego nie przyniósł, bo zapominał. Nawet wybuchów śmiechu nie wiadomo z czego. Misiek aż otworzył usta ze zdumienia. Jak mógł przeżyć ten czas tak nieświadomie, zwłaszcza że właśnie się skończył. Pokręcił głową i wziął się w garść.

– Dobra, co się stało?

– Choinka mnie przygniotła.

– Co?!

– Spadła na mnie.

– Jak to spadła? Przecież nie ma jeszcze choinki. Ktoś miał ją przywieźć.

– Noo ja miałem. Jak zwykle.

Misiek zamknął oczy. Że on na to nie wpadł...

– Gdzie jesteś? – zapytał zimno.

– W lesie.

– A bardziej szczegółowo?

– Las to takie miejsce, gdzie jest dużo drzew.

– W którym miejscu lasu dokładnie jesteś?

– Obok mnie jest taka złamana jodła, to właśnie tu jestem.

– Szwagier... – Misiek bezwiednie zacisnął palce na telefonie.

– Od domu do góry trzeba iść. Transferować w prawo... Nie, czekaj, w lewo.

– Co robić?

– Pokonywać stok po skosie, rozumiesz?

– Tak, teraz tak. Na pewno w lewo?

– Poczekaj... Tak, na pewno. Pójdź po moich śladach. Ech, gdybyś był w czerwonych beretach, to wiedziałbyś, jak się zachować w lesie, ty mieszczuchu.

– A ty wiesz?

– Oczywiście! Survival to podstawa dla specjalsa.

– To czemu dałeś się pokonać choince, specjalsie?

Zapadła chwila ciszy.

– Michu, przyjdź szybko, bo już nóg nie czuję. Zamarzam chyba.

– Dobra, wychodzę, trzymaj się.

Misiek zszedł na dół z głową wyjąłowioną z myśli.

Zapomniałem wspomnieć, że Szwagier był osobą samozatrudnioną, a jego zajęciem, oprócz powodowania różnych katastrof, było oprowadzanie turystów po okolicach Świeradowa-Zdroju, co czasem kończyło się tym samym: katastrofą. A to Szwagier zgubił turystę lub nawet kilkoro naraz, a to pomylił trasę, a czasem najnormalniej w świecie zgubił się sam i to jego szukali turyści, a nie on ich. Skargi (nieliczne, ale jednak) składane do PTTK i innych instytucji nic nie dawały, albowiem Szwagier funkcjonował w tak zwanej szarej strefie, czyli nie był licencjonowanym przewodnikiem i nie miał do tego żadnych uprawnień. Do niczego tak naprawdę nie miał uprawnień. Jego działalność sprowadzała się do tego, że czyhał pod pensjonatami na turystów w słusznym wieku, oferując im swoje usługi. A że drogi nie był i niepozorny z twarzy, kilka osób tygodniowo dawało się złapać na haczyk, czego zwykle w myśl zasady: tanie mięso psy jedzą, żałowało przeważnie już



w połowie wycieczki. Ale Misiek nie dziwił się turystom, w końcu Szwagier, z wyjątkiem bebzona, wyglądał zwodniczo profesjonalnie. Dziwił się mu, bo mieszkając tu od urodzenia, wciąż potrafił mylić kierunki i miejsca, co było niepojęte. A potem konstatawał z lekką melancholią, ile nieszczęścia może narobić jedna linka od spadochronu...

Kiedy Misiek zakładał przy drzwiach kurtkę, zobaczyła go Bożena.

– Dokąd idziesz? – zapytała chłodno, zerkając na małe okienko obok drzwi, za którym było białe.

– Nie chcesz wiedzieć – mruknął, schylając się, żeby zawiązać but. – Ja też bym nie chciał, ale już za późno. Wiem.

– Michał... – W jej głosie było wyraźne ostrzeżenie.

Westchnął i wyprostował się.

– Twojego brata znowu coś napadło. Tym razem nie spadochron, tylko drzewo. Idę go wygrzebać, bo nie może się wydostać. Możesz się już za mnie nie wstydzic.

– Jezu, nic mu nie jest? – Chyba nie zauważyła docinki.

– Dzwonił do mnie i gadał normalnie, czyli nienormalnie jak zwykle, więc myślę, że wszystko jest w porządku. Jeśli w ogóle w jego przypadku cokolwiek może być w porządku. – Nie potrafił się opanować i tym razem Bożena chyba to rozumiała.

– Uważaj na siebie. – Podeszła do niego i dała mu całusa w czubek nosa. – I czapkę załóż.

– Dobrze, mamo. – Spojrzał na nią tak, jak ludzie wyruszający na straceńcze misje patrzą na tych, którzy zostają, bo nie muszą na nie iść, potem otworzył drzwi i stanął w nich poruszony widokiem. W zasadzie nie było prawie nic widać i właśnie to nim tak wstrząsnęło.

– Długo czekaliście wtedy na ten transporter wojskowy? – zapytał, odwracając się do żony.

– Pięć dni, ale pamiętaj, że wtedy nie było komórek. Dziś są zupełnie inne czasy, przede wszystkim jest systemowa współpraca służb ratowniczych...

– Aha.

Ani Misiek, ani jego żona stojąc wtedy w otwartych drzwiach, nie zdawali sobie sprawy, że natura i żywioł nie mają o tym pojęcia.

– Dobra, idź, bo on tam umrze. – Bożena westchnęła.

– Szwagier? Umrze? – Misiek uniósł brwi. – Nieee, nie ma nawet cienia szansy.

Dał krok w przód i znalazł się w innym świecie.

Kiedy za sobą usłyszał głucho trzaśnięcie drzwi, poczuł się jak zostawiony na innej planecie. Panowała absolutna cisza, może z wyjątkiem delikatnego szmeru padającego śniegu, który przylepiał się do jego twarzy, ubrania i butów. Las po drugiej stronie ulicy był szarą plamą, cały świat wokół Miśka wyglądał jak nocny program w radzieckim, kineskopowym telewizorze. Gdybyście nie wiedzieli, w czasach, kiedy istniały tylko dwa programy w telewizji, nie było nocnych programów, a zamiast tego na ekranie migwały tysiące kropek, które dziś nazywamy pikselami.

Rad, nierad Misiek ruszył przed siebie. Dobra rada Szwagra, by podążał jego śladami była nieaktualna. Widocznie w czasach, kiedy był w wojsku, tak nie sypało, a może po prostu kiedy tego uczyli, Szwagier był akurat chory. Albo, co bardziej prawdopodobne, spał. Misiek skręcił lekko w lewo i zaczął piąć się pod górę. Mimo że nachylenie nie było duże, już po minucie poczuł, jak wzdłuż kręgosłupa spływa mu strużka potu, który pojawił się również pod czapką. Nogi utykały mu w grubej warstwie śniegu, wyciąganie ich z niego po jakimś czasie stało się katorgą, kosztowało mnóstwo sił,

których Misiek nie miał, bo był z gatunku tych, którzy mając do wyboru rower albo spacer, zdecydowanie wybiorą kanapę. Brakowało mu tchu, w jednej części ciała było mu zimno, w inne gorąco, potem na odwrót, w dodatku był to proces dynamiczny i nieprzewidywalny. Przystanął w końcu, zaczął uspokajać oddech i wtedy nagle coś przyszło mu do głowy. Komandos komandosem, ale Szwagier miał brzuch jak piłka lekarska. Przecież nie mógł odejść daleko. Nabrał powietrza i prosto przed siebie zawołał:

– Szwaaaaaagieeeeer!

Po kilku sekundach wydało mu się, że coś usłyszał. Krzyknął znowu i tym razem odpowiedź była już wyraźna.

– Tutaj!

Stłumiony głos Szwagra dochodził z lewej strony. Misiek nabrał głęboko tchu i ruszył w tamtym kierunku. Kilka minut później, wykończony jak po Biegu Rzeźnika, w którym nigdy nie brał udziału, dobrnął do nieszczęśnika i oto jego oczom ukazała się taka scena.

Szwagier leżał na ziemi niemal całkowicie przysypany. Otulony gałęziami świerku beztrosko grzebał siekierką w śniegu. Jego lewa noga tkwiła w kleszczach z pniaka i przewróconej choinki, która upadła tak nieszczęśliwie, że przygniotła ją w okolicach kolana, tak że faktycznie nie miał możliwości jej wyciągnięcia.

– Cześć, Szwagier. – Misiek pociągnął nosem, oceniając sytuację. – Jak tam? Co porabiasz?

– W porządku. Telefonu szukam.

– Czego?

– Telefonu. Wypadł mi, jak skończyliśmy rozmawiać.

– Siekierką go szukasz?

– Ręce mi zgrabiwały z zimna i nic nie czuję.

– Aha, czyli jak usłyszysz chrupnięcie, to będzie znaczyło, że znalazłeś?

– Myślisz, że coś może być w tym śniegu i próbować zjeść moją komórkę?

Misiek patrzył przez dłuższą chwilę na rozkopany śnieg.

– Ja bym grzebał prędzej trzonkiem niż ostrzem, ale w sumie to twój telefon. – Wzruszył obojętnie ramionami. – Dobra, Szwagier, zostaw go teraz. Wiesz, co to dźwignia?

– Zakłada się wrogowi podczas walki w bliskim kontakcie.

– Może po prostu daj mi tę siekierę.

– Tylko nie traf w moją nogę.

– Nie zamierzam rąbać pnia, bo mi się jeszcze siekiera ześlizgnie na twoją głowę.

– To byłoby smutne.

– Nie sądzę.

– Co mówisz?

– Mówię, że tak, to byłoby smutne.

– No przecież mówię.

Misiek zacisnął zęby, chwycił mocno styłisko siekiery, wsadził ostrze między pień a pień choinki i nacisnął koniec trzonka. Drzewo uniosło się lekko, ale to wystarczyło, żeby Szwagier mógł wyciągnąć kończynę spod pnia. Zrobił to z niemałym trudem, potem wyczołgał się spod płataniny gałęzi i leżał jeszcze przez chwilę na śniegu, rżąc z wysiłku.

– Wszystko w porządku? – zapytał Misiek i znów pociągnął nosem, przyglądając się Szwagrowi krytycznie.

– Pewnie – sapnął Szwagier. – Co ma nie być?

Obejrzał swoją nogę, obmacał ją i po jego zadowolonej minie widać było, że inspekcja wypadła pozytywnie. Wstał, podskoczył na niej kilka razy i cały przeszczęśliwy klepnął Miśka w ramię, aż z czapek pospadały im pryzmy śniegu.

– Dzięki, Michu! – Wyszczерzył zęby. – Gdyby nie ty, stałbym się lodem. Na szczęście jestem niezniszczalny.

– Noo, masz tylko jedną piętę achillesową: spadochrony.

Szwagier zmarszczył brwi i potrząsnął głową.

– Coś pomyliłeś, Michu. Achillesowe to jest ścięgno. W łokciu. Ale czekaj, opowiem ci jedną historię. Słyszałem o przypadku, kiedy drzewo przygniotło traperowi nogę. Tak jak mnie. Na odludziu, rozumiesz? I on nie mógł jej spod tego drzewa wyciągnąć. Wokół dzika zwierzyna, nikogo do pomocy, nie było jeszcze wtedy komórek, ale on miał nóż. Porządny, traperski. I on tym nożem, rozumiesz, oderżnął sobie tę nogę...

– A potem wziął ją pod pachę i pokuśtykał do domu, tak? Czy przywiązał ją sobie liną do kikuta i pobiegł?

– Nie, chyba nie, bo przecież ona była ciągle pod drzewem. – Szwagier wykazał się nietypową dla siebie przytomnością umysłu. – Chodzi o to, że człowiek jak nie ma wyjścia, to zrobi naprawdę wiele, żeby przeżyć. Wiesz, w czerwonych beretach uczyli nas różnych sztuczek. Tego, jak przeżyć w lesie też. I dlatego myślę, że ten traper mógłby nawet zjeść tę nogę, gdyby głód zajrzał mu w oczy.

Misiek najpierw zadał sobie pytanie, co też Szwagier czyta za głupoty, a dopiero chwilę później uzmysłowił sobie, że on przecież nie czyta. Może obejrzał sobie „Śmierć na tysiąc sposobów” albo inny, równie fascynujący program naukowy? A jeśli chodzi o kwestię przeżycia w lesie, to Misiek dałby sobie uciąć nawet tę nieszczęsną nogę, że Szwagier potrafi zgubić się nie tylko w lesie, czego dowód dał nie raz i nie dwa, ale i w śródmiejskim parku. A może nawet i w czyimś ogrodzie.

– I ty też byś sobie oderżnął nogę, gdybym nie przyszedł? – zapytał go z ciekawością.

Szwagier tylko na niego spojrzał w zadumie, a Miśkowi przyszło nagle do głowy, że to dość prawdopodobne. Istniało nawet pewne ryzyko, że Szwagier odciąłby sobie tę nieprzygnicioną nogę albo przynajmniej zaczął to robić, zanim zorientowałby się, że to nie ta.

– Dobrze, weźmy tę choinkę, zanim nas przysypie. – Westchnął.

Choć wydawało się to niemożliwe, śnieg sypał jeszcze mocniej niż kwadrans temu. Jego posklejane płatki atakowały każdą powierzchnię, oblepiając ją dokładnie i to dotyczyło też choinki, która ważyła teraz ze trzy razy więcej. Misiek kilkoma kopnięciami strząsnął największe śnieżne buły z kilku gałęzi. Widząc, jak Szwagier stoi beczynnio koło czubka, nagle przez króciutką chwilę zrobiło mu się go żal. W końcu nadchodziły święta i może powinien okazać mu odrobinę dobroci? Zaczął się poważnie obawiać, że Szwagier może wypomnieć mu wszystkie docinki w wigilijną noc.

– Wiesz co, Szwagier? – stwierdził. – Może w przyszłym roku po prostu kup choinkę z opcją dostawy do domu?

– Michu, zwariowałeś? Mam zakończyć rodzinną tradycję? Od pokoleń organizujemy choinkę sami!

– Dobrze. – Misiek uniósł dłonie w geście poddania. – Nie chcę wiedzieć. Dawaj tu do mnie, tachamy ją do domu.

Na szczęście droga powrotna minęła bez większych przygód, choć Misiek śnieg miał nawet tam, gdzie do tej pory wydawało mu się to niemożliwe. Choinka poddała się prawom fizyki i wystarczyło nią tylko lekko sterować, kiedy zjeżdżała po zboczu między drzewami. Misiek musiał tylko najpierw przekonać Szwagra, że wsiadanie na nią nie jest dobrym pomysłem. Potem wystarczyło wciągnąć ją do domu przez drzwi górnego parteru, na którym znajdował się salon, co przysporzyło trochę trudności. Ale najgorsze, że to Misiek oberwał od Bożeny za kałużę, która rozlała się pod choinką od razu, kiedy ją wciągnęli do salonu.

– Nie mogłeś jej otrzepać przed wniesieniem? – oburzyła się.  
Misiek spojrzał na żonę ciężkim wzrokiem.

– Mam śnieg w takich zakamarkach ciała, o których nawet nie wiesz, że istnieją. Jestem przemoczony do gaci. Mam odmrożone palce i twarz, która w dodatku jest poorana gałęziami. Z wysiłku straciłem pięć kilo wagi i jestem na krawędzi załamania psychicznego. A ty, zamiast docenić, że przynieśliśmy tobie, tak, tobie, między innymi tobie, taką piękną choinkę, psioczysz na mnie z powodu kilku kropel wody na podłodze?

– Po pierwsze, to z pięć litrów, a nie kilka kropel. Po drugie to parkiet, a nie podłoga. Dębowy, oryginalny, ale okej, zaraz zetrę i będzie po sprawie. Porządna, niemiecka robota, nie takie rzeczy pewnie widział. A po trzecie, jeśli chodzi o choinkę...

– Moja choinka ci się nie podoba? – Misiek rozłożył ramiona i nastroszył się.

Wyglądał jak kogut stający do walki o kurę.

– Nasza, Michu, nasza – wtrącił cicho Szwagier, ale Misiek nie słyszał go.

– Nawet ładna, tylko dlaczego uschnięta? – Bożena popatrzyła na męża jak na wariata.

– Co?

Misiek opuścił wzrok. Choinka była zielona i gęsta, a gałęzie sprężyste, co odczuł kilka razy na swojej twarzy.

– O co ci chodzi? – zapytał i teraz on patrzył na Bożenę jak na wariatkę.

– Chodź tu – powiedziała z dziwnym uśmiechem.

– Przecież stoję dwa metry od ciebie, tak?

– Ale stań tu, gdzie ja. Niech te dwa metry będą po tej stronie choinki.

Misiek zamknął usta. W głowie zaczęło mu świtać straszliwe podejrzenie, które potwierdziło się, kiedy tylko dał susa nad drzewkiem i stanął obok żony.

– Ja pierdolę – szepnął ze zgrozą, wpatrując się w pozbawione igieł i nagie jak grunwaldzkie miecze gałęzie po drugiej stronie. – Jak przyszedłem, to już leżała w śniegu, przygniatając twojego brata. W dodatku z góry też była zaśnieżona, bo sypie jak ósma plaga świeradowska. Nic nie widać. Skupiłem się na ocaleniu życia ludzkiego, choć to był błąd. A może zgubiliśmy te igły podczas transportu? – Próbując rozpaczliwie ratować się jeszcze w oczach Bożeny, wracał myślami do ostatnich chwil w lesie, ale kiedy uświadomił sobie, co najprawdopodobniej było przyczyną wpadki, zamknął tylko oczy i wyszeptał: – Szwagier...

– Co „Szwagier”? – oburzył się. – Sam widziałeś, jaka śnieżycą była! Czubka nosa nie było widać. A zresztą, co to za problem? Czemu widzisz kieliszek w połowie pusty? Ja widzę w połowie pełny! Spodobała mi się, a taki mały drobiazg jak kilka uschniętych gałęzi nie miał w zasadzie znaczenia...

– Chcesz powiedzieć, że ty jednak widziałeś, że ona jest z drugiej strony sucha jak miotła?

– Noo... – Zakłopotany Szwagier kopnął lekko pień czubkiem wojskowego opinacza.

– Tak czy nie?

– No tak, ale mówię, że to bez znaczenia.

– Przepraszam, bez czego?

– Bez znaczenia. I tak będzie stała w kącie, no nie? A ta zielona część była taka ładna, gęsta. *Stała pod śniegiem panna zielona, nikt prócz zająca nie kochał jej...* – Szwagier zaśpiewał fragment świątecznego szlagieru i posmutniał nagle. – No jak mogłem jej nie wziąć?



Misiek zaciskał usta, usiłując nie wybuchnąć wściekłością.

– Dobra, zrobimy tak: skoro tak bardzo kochasz tę pannę, zającu jeden, to postawisz ją sobie u siebie w pokoju i będziesz jej robił, co tylko zechcesz. Śpiewał też. A ja... – Spojrzał na Bożenę. – Wezmę Młodego i pójdę do lasu po normalną choinkę. Nie widzę sprzeciwu, dziękuję, można się rozejść. Oczywiście po uprzednim zabraniu stąd przez sprawcę na wpół martwej choinki. – Dla pewności wskazał Szwagra palcem.

– Teraz to moja choinka, tak? – Ten zaperzył się.

– Tak, twoja. Cała twoja, Szwagier. Jest jak żona: taką wybrałeś, to taką masz. Ale nie będziesz się męczył długo, jak sędzę. Choinki starzeją się szybciej niż żony.

– To ma być zabawne, Wilkoński? – Głos Bożeny był jak nadciągająca burza.

I to taka z gradobiciem, od której telefonu piszcza alertami RCB.

– Kochanie... – Oczy Miśka błyszczały szaleństwem. – Czy widzisz tu coś zabawnego? – Uniósł gwałtownie ręce, widząc, że Bożena otwiera usta. – Nie, nie odpowiadaj, nie od razu. Zastanów się najpierw, dobrze się zastanów, a potem udziel mi odpowiedzi na to zajebiste ważne pytanie: CZY WIDZISZ TU COŚ ZABAWNEGO?

– Myślę, że powinieneś coś wziąć – stwierdziła spokojnie Bożena.

– Dupę w troki? – zaproponował Misiek i odrobinę oklapł.

Szwagier zreflektował się chyba, że jego obecność w pomieszczeniu jest niepożądana, bo chwycił pień choinki od dołu i ruszył w kierunku swojego pokoju, wlokąc ją za sobą. Chwilę później została po nim tylko smuga wilgoci i przemieszanej z igłami ziemi, ciągnąca się po podłodze jak ślad wielkiego ślimaka.

– Ręce ci się trzęsą – zauważyła Bożena.

– Wiem. – Misiek popatrzył na nie. – Bo są odmrożone.

– Nie sędzę. Skoro się trzęsą, to znaczy, że nerwy przewodzą impulsy. Idź do ciotki Pelagii po coś na uspokojenie. Z nerwów ci się trzęsą.

– Ciotka śpi. Obudzić ciotkę Pelagię to jak zajechać drogę kierowcy bmw.

– To poczekaj, aż się obudzi.

Misiek popatrzył na swoje dłonie.

– A może Janusz? – zapytał.

– Janusz nie wygląda, jakby potrzebował czegoś na uspokojenie.

– Może tak nie wygląda, bo ciągle jest naszprycowany? Nie zdziwiłbym się przy tych rozkoszniakach.

Nagle do sali znów zajrzał Szwagier, tym razem bez choinki.

– Michu, ty wiesz, że ja w końcu tego telefonu nie wykopałem? – oznajmił i parsknął śmiechem.

Misiek stał bez ruchu i wpatrywał się w niego.

– Zadzwoń do siebie z innego telefonu i powiedz niedźwiedziowi, który go znajdzie, żeby ci odniósł.

– Ale u nas nie ma niedźwiedzi.

– Co ty nie powiesz? – zapytał go Misiek i spojrzał zdruzgotany na żonę.

– Dobrze, spróbuj od Ali albo Justyny – poradziła, jakby Szwagra w ogóle tu nie było, i Misiek uznał, że to jest chyba dobry sposób. – Ogarnij temat, dobra? A ja posprzątam ten bajzel, który narobiliście.

– Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą. – Westchnął tylko i, mijając Szwagra jak powietrze, poszedł na górę do ich pokoju.

Młody leżał na łóżku z telefonem, który trzymał w pozycji poziomej, a jego kciuki latały po wyświetlaczu tak szybko, że rozmywały się Miśkowi w oczach. Ale nie to było najdziwniejsze. Najdziwniejsze było to, że na brzuchu Młodego spał Krakers.

– Coś ci się przylepiło do ubrania – powiedział synowi z lekkim obrzydzeniem w głosie.

– Co? Aaa, to. Wiesz, jak fajnie grzeje? Jak się go nie dotyka, to jest całkiem miły.

– Uhm – skwitował tę rewelację Misiek. – Dobra, odkładaj jedno, zdejmuj z siebie drugie i ubieraj się ciepło. Idziesz na męską wyprawę podtrzymać rodzinną tradycję.

– Będziemy coś kraść?

– Eee... – Misiek zdębiał. – Skąd ci to przyszło do głowy?

– No bo to w naszej rodzinie tradycyjne.

– Nie, inną tradycję będziemy kontynuować. Po prostu idziemy po choinkę.

Ubrali się i, zostawiając Krakersa w pokoju, wyszli przed dom. Śnieg miał lekko szarawy odcień, krajobraz migał za jego wirującymi płatkami, które dopiero spadały na ziemię, by objąć ją w swoje posiadanie. Poza śniegiem nie widać było niemal niczego.

– Armagedon – stwierdził Młody.

– Chodź, cieniasie. – Misiek ruszył pierwszy.

Przeszli przez ulicę i zanurzyli się w las, pnąc się zboczem w jego głąb.

– Daleko jeszcze? – zapytał Młody.

– Dopiero wyszliśmy, chłopie!

– No to co? Daleko?

– Nie wiem – sarknął Misiek. – Poinformujemy pana, kiedy dotrzemy do celu.

Szli z trudem, padający mokry śnieg spowalniał marsz. Młody patrzył pod nogi i to dlatego nie zauważył, że ojciec się zatrzymał. Wpadł mu niespodziewanie na plecy, uderzając w nie nosem.

– Co się stało? – jęknął, rozcierając go.

Misiek stał z zadartą głową jak zaczarowany i wpatrywał się w coś.

– Ta... – szepnął z zachwytem. – Ta będzie nasza.

– Tato, ona ma ze cztery metry!

– No i co z tego? – Misiek spojrzął na syna. – Przecież spokojnie się zmieści do sali jadalnej. Nie bierzemy jeńców, chłopie, bierzemy opcję full wypas!

– No tak, ale... Jak ją potem ubrać?

– Z drabiny, Młody. Trzeba mierzyć wysoko. No i jest piękna, przyznasz?

– Choinka jak choinka. Zwyczajna, tylko duża.

– To nie jest zwyczajna choinka. To jodła. Cudowna, gęsta, zieloniutka. – Palce Miśka zacisnęły się na siekierce. – I będzie nasza, jakem Wilkoński!

– Skoro takie jest twoje marzenie – mruknął Młody.

– Tak – odparł zdecydowanie Misiek. – Dokładnie tak. Proszę. – Podał Młodemu siekiere.

– Co? – Młody spojrzął na nią z obrzydzeniem. – Że niby ja?

– A kto chce zostać strażakiem?

– Strażacy gaszą pożary. Poza tym ostatnio wolę opcję ratownika medycznego.

– Strażak musi być dobry we wszystkim, ratownik też. Jak ja byłem w twoim wieku, to nie mogłem się doczekać, aż coś będę rąbał. A co można rąbać, mieszkając w bloku?

– To teraz się doczekałeś.

– Teraz nie jestem już w twoim wieku. Tylko uważaj, już taki jeden rąbał i go przygniotło.

– Kto?

– Nieważne. Działaj, synek, bo nas zasypie ten biały szajs. – Misiek spojrzął do góry i od razu pożałował, bo ciężkie, mokre płatki

lepszego śniegu wpadły mu do oczu.

Młody niechętnie wziął siekierę od ojca, stanął pewniej na nogach i zaczął rąbać. Misiek odgarnął gałęzie, przytrzymując je i tworząc w ten sposób Młodemu pole pracy. Patrzył, jak Jacek bierze zamachy i uderza. Uderzał i uderzał, ale efekt tego uderzania jakoś nie był porażający. Po kilku minutach w pniu widać było parę niewielkich nacięć. Braku doświadczenia nie rekompensował entuzjazm, zresztą jego też nie było w Młodym zbyt wiele.

– Nie rozumiem, przecież Szwagier ściał swoją tą siekierką... – Misiek myślał na głos.

– Co mówisz? – Młody opuścił siekierę, zsunął czapkę z czoła i otarł pot.

– Nic, rąb, rąb! Bóbr by to szybciej zrobił.

– Załatw sobie w takim razie bobra.

– Nie cwaniakuj, rąb.

– Ale już nie mogę! Pęcherze mam i ręce mi zgrabiwały z zimna! To nieludzkie!

– Dobra, daj mi to. – Misiek zdenerwował się lekko.

– Na pewno wiesz, jak to się robi? – zapytał podejrzliwie Jacek, podając ojcu siekierę.

Misiek zdjął rękawice, napluł sobie w dłoń, założył je z powrotem i wziął ją od Młodego, chwytając mocno stylisko.

– Chłopie, od urodzenia mieszkam w centrum wielkiego miasta, do dwudziestego piątego roku życia miałem w domu sztuczną choinkę, a potem te prawdziwe kupowałem na ryneczku, a ty mnie pytasz, czy ja wiem, co robię. – Wziął zamach. – Oczywiście, że wiem. Widziałem w telewizji. Wszak telewizja uczy, bawi i wzrusza.

Uderzył. Kiedy siekiera wbiła się w pień, poczuł, jak dłonie mu drętwieją, nadgarstki zaczynają drżeć, a potem te drgania przenoszą się na przedramiona, ramiona i głowę.

– Wow... – sapnął.

– Tak się składa, że w okolicy nie ma bobrów, więc może jednak wybierzemy po prostu jakąś mniejszą, co? – zapytał Młody, chuchając w dłonie i rozcierając je sobie. – Na przykład tamtą? Bardzo ładna jest. – Wskazał drzewko rosnące kilka metrów od nich.

– Nigdy! Ta albo żadna! – Misiek zacisnął zęby i znów wziął zamach, tym razem potężny.

Nie przewidział jednak, że zdrętwiałe dłonie nie utrzymają ciężaru siekiery, a zasady fizyki zrobią resztę. W końcowej fazie zamachu narzędzie wysunęło mu się z rąk i odleciało sobie w siną dal, a najgorsze, że razem z nim odleciała jedna rękawiczka, która przymarzła do trzonka i zsunęła się z dłoni Miśka przy starcie.

– Kurwa, tato... – jęknął Młody, oglądając się za lecącą siekierą, wirującą jak galaktyka spiralna i mijającą jego głowę o centymetry.

– Jezus, nic ci nie jest? – Misiek wystraszył się nie na żarty.

– Nie, ale to był *close call*. Szkoda, że tu nie ma kamer, wrzuciłbym filmik na TikToka...

– Weź się zastanów, Młody, co ty w ogóle mówisz! Jaka szkoda? Zdajesz sobie sprawę, co my tu robimy?

– Podtrzymujemy rodzinną tradycję. Na swój wyjątkowy sposób. Wujek by tego lepiej nie zrobił...

Misiek na szczęście tego nie słyszał, bo w skupieniu wbijał wzrok w śnieżną zadymkę i majaczące w niej pnie drzew.

– Nawet gdybym specjalnie celował, to i tak uderzyłaby w jakieś drzewo – warknął i spojrzał na swoje dłonie, jedną gołą, a drugą w rękawicy, której wierzch zdobił skrawek materiału w kolorze strażackiej czerwieni oraz galijski kogut. – Psiakrew, narciarskie rossignole za sto pięćdziesiąt...

Zanim siekiera zniknęła mu z oczu, dzięki tej czerwieni przymarzniętej rękawicy zdążył zobaczyć, że trajektoria jej lotu

omijała kolejne pnie, co spowodowało, że pokonała spory dystans. Ale najgorsze było to, że nie dało się ocenić, nawet w przybliżeniu, gdzie lot się skończył. Miejsce lądowania pozostawało zagadką, którą trzeba było rozwiązać i to szybko, zanim śnieg zatrze jego ślady.

– Młody, lecimy! – Ruszył w kierunku, w którym samowolnie oddaliła się siekiera. – Nie ma tego złego. Przez te czerwone naszywki łatwiej ją znajdziemy.

Ciszę lasu mąciły ich spazmatyczne oddechy. Z trudem pokonali te kilkadziesiąt metrów, aż wreszcie Misiek się zatrzymał.

– Gdzieś tu – zdecydował. – Szukamy!

Dzięki gęściej rosnącym drzewom na poszyciu było nieco mniej śniegu, co według Miśka zmniejszyło ich szanse. Zamiast grubej puchowej kołderki, w której od razu dałoby się wypatrzeć dołek w kształcie siekiery, mieli teren pokryty nierównomierną warstwą śniegu, spod której przebijały się drobne krzewy i połamane gałęzie. Mogli mieć tę siekierę pod nosem, a i tak jej nie zauważyć. Sytuację poprawiała rękawica i to wyłącznie dla niej Misiek się tak poświęcał.

Przeszukiwali uważnie teren przez kilka minut i nagle Młody wrzasnął:

– Mam!

– Masz?

– Tak, ale nie siekierę.

– A co?

– Telefon! Znalazłem telefon! Leżał sobie na ziemi, czaisz?  
W środku lasu!

Misiek rozejrzał się i dopiero wtedy zorientował się, że dziś już tu był. Śnieg zdążył przysypać ślady niszczycielskiej działalności Szwagra oraz wyslizganą trasę w dół zbocza, którą zjechali z jego na wpół uschniętą zieloną panną, ale niewątpliwie to było to miejsce.

Tuż przed nim z ziemi wystawał pokryty już czapeczką śniegu pieniek, będący pozostałością po szwagrowej zielonej pannie, a obok zobaczył złamaną jodełkę, dzięki której przywalony choinką Szwagier próbował określić swoją lokalizację.

– Idziemy stąd – rzucił gorzko.

– A siekiera? I rękawica?

Machnął zniechęcony ręką.

– Może trzeba umieć pogodzić się z porażką?

– Tato, ty się poddajesz? Chcesz wrócić bez choinki?

– Mamy chociaż telefon. Zamienił stryjek siekierkę na komórkę...

– Ale to szmelc. Leżał tu nie wiadomo ile czasu, już nic z niego nie będzie.

Misiek spojrzał ciężko na syna.

– W takim razie nie będzie tak, że wrócimy z niczym, Młody. Szukamy dalej!

– I to rozumiem!

Pochylili się i znów zaczęli rozgrzebywać śnieg. W pewnej chwili, kiedy Misiek z wypiętymi pośladkami przeszukiwał obiecujące zagłębienie, z tyłu rozległ się czyjś tubalny głos.

– Dzień dobry, straż leśna, co panowie tu robią?

Misiek zmartwiał i zastygł w tej nie najwygodniejszej pozycji.

– Za nielegalną wycinkę i wywóz drzewa bez zezwolenia grozi mandat do pięciu tysięcy złotych, nie wiedzą panowie o tym?

Misiek wyprostował się i odwrócił. Przed nim stał potężny, zwalisty mężczyzna ubrany w maskujące ciuchy i futrzaną czapkę uszankę, której jeden nauszник zwisał swobodnie, a drugi był podwiązany. Może dlatego, żeby lepiej słyszał złodziei kradnących jodły z lasu.

– Nie wiemy, a czy zamiast mandatu w grę wchodzi pouczenie? – miauknął Misiek, walcząc o honor, godność i kupę kasy, której i tak



nie miał.

– *Dura lex, sed lex.* – Facet wzruszył ramionami.

– Ale to nasz pierwszy raz. Choinka za pięć tysięcy to trochę drogo. Może udałoby się spuścić z ceny? I obyłoby się bez papierka?

– Czyżbyśmy mieli do czynienia z nieudolną próbą przekupstwa urzędnika? – Na jego twarzy wykwitło święte oburzenie.

– Nie, skąd! – Misiek poczuł, jak robi mu się gorąco, a żołądek puchnie ze zdenerwowania.

– Pan mi proponuje łapówkę w kwocie trzech tysięcy złotych.

– Ja?

– Tak, pan, wyraźnie słyszałem.

– Trze... Trzech? – Misiek obejrzał się bezradnie na syna. – Tysięcy?

Jacek stał i patrzył na niego jak na debila.

– Kto panu powiedział, że my coś wycinamy? – zapytał nagle faceta. – Jesteśmy z tatą na rodzinnym spacerze. Widzi pan tu gdzie ścięte drzewo? Albo jakąś siekierę?

Misiek w tej samej chwili postanowił, że kupi Młodemu samochód. Dał bowiem dowód swego opanowania i męskości, a on sam, w końcu jego ojciec, nie popisał się i spanikował. Ogarnął się, wściekły na siebie, że z nerwów stracił wszystko: zdrowy rozsądek, opanowanie i prawie śniadanie.

– Właśnie – powiedział pewniejszym głosem, zahaczając wręcz o nonszalancję. – Widzi pan tu jakąś siekierę?

Gość wyciągnął gruby paluch i skierował go w śnieg.

– Owszem. Tu leży.

Miśkowi zmiękły nogi. Te same, pod którymi leżała siekiera. Ta sama, która kwadrans temu wypadła mu z rąk. Ta, której teraz nie zauważył.

– A skąd pan wie, że to nasza siekiera? – Chwycił się ostatniej deski ratunku.

– Bo jest na niej taka sama rękawica jak ta, którą ma pan na ręku.

To był koniec. Deska ratunku była wątła, spróchniała i pękła natychmiast, pogrążając Wilkońskich na amen.

Facet w uszance zaczął nagle rzeć. Otworzył szeroko usta, tak szeroko, że niemal widać było, co jadł na śniadanie.

– Ale was wkręciłem, mieszcuchy! – ryknął i zaniósł się jeszcze głośniejszym śmiechem.

Kiedy w końcu przestał rechotać, nagle wyciągnął z za pleców pilarkę łańcuchową, na którą wcześniej Misiek nie zwrócił uwagi z dwóch powodów: bo była za plecami, a jemu z nerwów zawężyło się pole widzenia.

– Przedstawiam wam Zochę – powiedział facet.

– Pan też na polowanie na świąteczne drzewko? – Ulga, którą Misiek poczuł, była jednym z najmocniejszych uczuć, jakie dane mu było kiedykolwiek przeżyć.

– Oczywiście. – Facet uśmiechnął się szeroko, chwycił pilarkę drugą ręką i nagle jego twarz przybrała straszny wyraz. – Dlatego teraz poucinam wam Zochą głowy, bo zawsze pozbywam się świadków. Zawsze.

Miśkowi ścierpła skóra i dopiero kiedy wielkolud ponownie ryknął śmiechem, zorientował się, że znów żartuje. Niestety, kilkaset jego włosów zdążyło stracić barwę. Te święta zaczynały go drogo kosztować emocjonalnie, prawie tyle, co wakacje na kempingu.

– Wybraliście coś? – zapytał facet już normalnym tonem.

– Tam jest. – Misiek schylił się po siekierę, oderwał rękawiczkę od trzonka i nieco zeszywniałą od mrozu wcisnął na dłoń.

– To chodźcie, zetnę ją wam. Szkoda czasu, też muszę coś ładnego znaleźć.

Machając pilarką, ruszył w kierunku wskazanym przez Miśka. Misiek obejrzał się na Młodego stojącego w miejscu z nieprzeniknioną miną i obsypanego śniegiem, którego nie strząsał od kilku minut. W rękę wciąż ścisnął telefon Szwagra. Podeszedł do niego i szepnął:

– Wiem, byłem żaloszny, dlatego ten epizod wyprawy po choinkę zostaje między nami.

– Przecież nic nie mówię.

– No. I tak ma być aż do mojej śmierci.

– Nie przejmuj się, tato. – Młody klepnął go w ramię, a w jego oczach mignęło coś ciepłego. – To tylko bardzo dobrze o tobie świadczy jako o człowieku.

– Tak myślisz?

– Tak myślę.

– Idziecie, mieszcuchy? – Dobiegł ich słaby okrzyk faceta, którego już prawie nie było widać spomiędzy drzew.

Ruszyli za nim, brnąc po własnych śladach i dogonili go kilkanaście metrów dalej. Stał w miejscu z zadartą głową.

– Właśnie znalazłem swojego choinkowego Graala – oznajmił z zadowoleniem, wpatrując się jak urzeczony w jodłę.

Tę jodłę.

– Ona jest nasza. – Misiek poczuł się w obowiązku wyjaśnić nieporozumienie. – Odkryliśmy ją pierwsi.

– Każdy może tak powiedzieć. – Usłyszał w odpowiedzi.

– Zgadza się, ale na tej są ślady rąbania. – Misiek rozchylił gałęzie i pokazał facetowi dowód. – Nasze ślady.

Ten pochylił się i przyjrzał nacięciom.

– Skąd wzięliście bobra w środku zimy? – zapytał, rechocząc.

– Nie mamy doświadczenia w rąbaniu. – Misiek patrzył na niego nieruchomym wzrokiem i zastanawiał się, czy gość z pilarką nie zdeklasował właśnie Schwagra, jeśli chodzi o zdolność doprowadzania go do białej gorączki.

– I piły też nie macie. Taką siekierką to sobie możecie orzechy rozłupywać. Ziemne. – Facet zorientował się chyba, że jego żarty nie śmieszą publiczności, bo chrząknął i spoważniał. – Dobra, mieszczuchy, rżniemy. Odsunąć się! Odpalam Zochę.

Misiek z Młodym odeszli kilkanaście kroków, a wielkolud rozkraczył się, chwycił mocniej piłę i pociągnął kilka razy za cięgło rozruchowe. Kiedy pilarka zaskoczyła, rozległ się raniący uszy i przypominający kaszel terkot, a w powietrzu rozszedł się smród spalin. Miał doświadczenie, Misiek musiał to uczciwie przyznać. O ile na żartach się nie znał, to w posługiwaniu się swoją Zochą był niewątpliwie mistrzem. Kiedy pilarka weszła na obroty, przyłożył piłę do pnia i w kilkanaście sekund położył jodłę.

– Gotowe. – Wyłączył pilarkę, odłożył ją na bok i zaczął otrzepywać spodnie z pyłu i wiórów. – Niech długo stoi i pięknie pachnie.

– Dziękujemy serdecznie. – Miśkowi zrobiło się trochę głupio, bo wyobraził sobie właśnie, jak bardzo gość zaimponował teraz Młodemu, a jaki popis męstwa dał on sam przed chwilą.

Nawet jeśli Młody twierdził, że wszystko jest w porządku.

– Drobiazg, muszę od czasu do czasu przewietrzyć Zochę. – Facet skończył się otrzepywać i wyprostował się, biorąc pilarkę do rąk, a potem nagle ruszył przed siebie. – Dobra, czas goni. Wesołych, mieszczuchy. I pozdrówcie Malwinę.

– Od kogo?

– Od Świtały.

– Udanych łowów! – zawołał Misiek i pomachał mu.

Młody tylko bąknął coś niewyraźnie pod nosem i patrzył, jak żartowniś Światała oddala się, a po chwili jego postać rozplywa się w zadymce i znika w niej. Oby na zawsze, a przynajmniej do momentu, w którym Wilkońscy opuszczą Świeradów-Zdrój.

- Wracamy – zakomenderował Misiek. – Starczy tej żenady.
- Będziemy ją nieść? Takiego grzmota?
- Nie będziemy jej nieść. – Misiek potarł nos. – Pojedzie sama.
- Sama? Jak?
- Zaraz zobaczysz.

Światała może nie był geniuszem stand-upu, lecz jeśli chodzi o cięcie, to naprawdę wiedział, co robi. Jodła padła czubkiem w kierunku szczytu, równolegle do linii zbocza, więc teraz wystarczyło zrobić to samo, co rano Misiek zrobił ze Szwagrem: nakierować pień między drzewa i popchnąć ją, a potem lekko korygować kurs, truchtając obok.

– Pomóż mi – stęknął Misiek, ciągnąc dół jodły, żeby ominąć pniak.

Kiedy ustawili kurs, chwycił za dolną gałąź tuż obok pnia i kazał zrobić to samo Młodemu.

- Co teraz? – zapytał Młody.
- Ciągnij i uciekaj na bok. Trzy, cztery.

Obaj równocześnie pociągnęli i uskoczyli, ale jodła zamiast ruszyć wartko w dół, zjechała może ze dwa metry i stanęła.

- Co jest? – Misiek podrapał się w głowę.
- Za ciężka – stwierdził Młody. – Gdyby była lżejsza, faktycznie by zjechała.

Popatrzył na ojca, który gryzł paznokcie kciuka i intensywnie myślał.

- No, masz rację – przyznał w końcu.
- To co robimy?

– Jak to co? To, co trzeba.

– Czyli?

– Suwamy.

Bliźniacza operacja przyniosła efekt, jakim było pokonanie dystansu kolejnych trzech metrów. Pozostało im tylko powtarzać ją do skutku, czyli do celu, którym była Willa Malwa, i to właśnie zaczęli robić.

Suwać.

– Tyle nerwów mnie to kosztowało, że nie masz pojęcia – stwierdził w pewnym momencie Misiek. – Przysięgam, w przyszłym roku na święta lecimy na Teneryfę. Żadnych choinek, żadnego śniegu, żadnych Szwagrów.

– Ciekawe, co na to mama?

Wykonali następny suw.

– Następne święta wypadają u moich rodziców. Powiem im, że musimy jechać do Świeradowa, bo babcia i tak dalej. Ola i jej dzieciaki im wystarczą, nie będą się czuć samotni. – Ola była siostrą Miśka. – A my będziemy siedzieć na plaży i bimbać na wszystko. Tylko trzeba od razu zacząć przygotowywać mamę. Dokonać iniepcji w jej umyśle. Zaszczepić ideę. Kropla draży skałę, rozumiesz? Co jakiś czas trzeba będzie wspomnieć o urokach świąt bez świąt i tak dalej, aż się powoli zacznie przekonywać do pomysłu.

– Tam jest czarny piasek.

– Co? – Misiek zdębiał. – O czym ty mówisz? No, suwaj!

Posunęli.

– Na plażach na Teneryfie jest czarny piasek albo kamienie – wyjaśnił Młody. – Też czarne. Tak wyglądają tam plaże, bo to wyspa wulkaniczna. Chyba już wolę śnieg.

– To był tylko przykład! Dobra, pojedziemy do Rovaniemi zobaczyć miasteczko świętego mikołaja.

– Tato, ja mam siedemnaście lat! I dość śniegu na parę następnych.

Misiek stanął i obejrzał się.

– Sam mówiłeś, że święta to relikw starych czasów. Wolisz powtórkę z rozrywki?

Młody opuścił głowę i wzruszył ramionami.

– Jakoś tak dziwnie będzie bez nich wszystkich. I bez choinki, bez Wigilii... Na Teneryfę możemy przecież polecieć w wakacje.

– Dobra! – Misiek uniósł ręce w geście poddania. – Jak chcesz. Ale przemyśl to. I suwaj.

– Przemyślę. I suwam.

Ruszyli dalej. Okazało się, że kiedy zbocze miało nieco większe nachylenie, jodła sunęła po śniegu jak dobrze nawoskowane sanie. Chwilę później, pokonawszy sprawdzoną metodą suwania lekkie wypłaszczenie koło ulicy, obaj Wilkońscy byli już przy willi. Stanęli przed drzwiami, żeby nabrać oddechu, a gdzieś z oddali dobiegł ich kaszel Zochy. Żartowniś Świata znalazł swojego Graala. Misiek, pochylony i oparty o swoje kolana, patrzył na jodłę, sam się sobie dziwiąc, że cieszy się z niej jak dziecko.

I nagle poczuł, jakby wpadł w czarną dziurę.

– Klątwa... – wyszeptał zdruzgotany.

– Jaka klątwa?

– Rodzinna. Ta, że kobiety z tej rodziny wychodzą za złodziei. Pamiętasz? Mówiłeś, że to dotyczy tylko jednego pokolenia. A teraz... – Misiek spojrzał bezradnie na choinkę. – Teraz ja też zostałem złodziejem.

– Jakoś nie miałeś takich wątpliwości, kiedy wychodziliśmy.

– No, bo... Jakoś zupełnie nie patrzyłem na to w ten sposób. Tak samo jak Robin Hood polował w lesie Sherwood i robili to wszyscy Angole od pokoleń, choć to było zabronione. Kiedy ścinaliśmy jodłę,

byłem Robin Hoodem, a teraz jestem szeryfem Nottinghamem, który jest stróżem obowiązującego prawa, rozumiesz?

– Nie.

– Jest prawo i jest tradycja. Kultywujesz tradycję, ale formalnie łamiesz prawo. Tu jest zgrzyt, kumasz?

– Oj tato, nie dramatyzuj, wujek mówił, że robią tak od lat. Kuźwa, założę się, że wszyscy w okolicy rzną te choinki na potęgę, tak jak ci Angole polowali w tym twoim lesie! Na własne oczy widziałeś przykład przed chwilą.

– No i co z tego? Jak wszyscy włożą rękę do wrzątku, to ty też włożysz?

– Przypominam ci, że formalnie to nie ty ściałeś drzewo, tylko ten typ, który myślał, że jest zabawny.

– Nie szkodzi. To jak ze zleceniem zabójstwa. Kto jest winny: ten, kto zlecił, czy ten, kto strzelał? – mówił coraz szybciej.

– Tato, co się z tobą dzieje?

– Za dużo Szwagra, synu. – Misiek otarł zroszone potem czoło. – Przedawkowałem go chyba. Gdyby nie on, zniósłbym to spotkanie ze Świtałą i Zochą dzielnie. A tak jestem po prostu wyczerpany emocjonalnie. Chodź, otrzepmy choinkę ze śniegu, bo znowu mama będzie krzyczeć.

– Od kiedy mama krzyczy?

– Warczeć. Tak lepiej?

– Formalnie lepiej – zgodził się Młody, chwytając gałąź i strząsając z niej śnieg.

Misiek zrobił to samo z kolejnymi, a kiedy skończyli, wtachali drzewo do środka, dziękując losowi, że drzwi w pomieszczeniach po drodze do sali jadalnej są w linii prostej. Sala była pusta. Pokonali drobne trudności przy omijaniu długiego stołu i położyli jodłę pod



ścianą. Zajmowała sporą część sali, gałęzie sterczały, praktycznie zahaczając o oparcia krzesel.

– Trzeba by ją chyba jakoś ostrzyc – stwierdził Misiek.

– Jak ją postawimy w pionie, to będzie więcej miejsca.

– Ale teraz, do Wigilii, trzeba tu jakoś funkcjonować. Wezmę od Janeczki jakieś nożyce do gałęzi i podetnę.

– Będzie niesymetryczna – zwrócił uwagę Młody.

– Postawimy tą stroną do ściany i będzie git. – Misiek przypomniał sobie szwagrowy plan ukrycia suchych gałęzi w jego choince i poniewczasie stwierdził, że w tym szaleństwie była jakaś metoda.

– Poczekaj, zaraz wracam.

Idąc do kuchni, stwierdził, że ugotuje dwie pieczenie na jednym ogniu. Przynajmniej nie będzie musiał budzić ciotki, bo na pewno Janeczka ma coś na uspokojenie, a on czuł, że potrzebuje teraz tego czegoś bardzo, ale to bardzo. Akcja, a w zasadzie obie akcje z choinkami wyzuły go nie tylko z nerwów, ale i z sił.

Czuł, że spalił jakieś dziesięć tysięcy kalorii i potrzebował je uzupełnić, na przykład jakąś kiełbasą. I piwem, które ma puste kalorie, ale jednak kalorie. Kiedy wszedł do kuchni, zastał tam panią Janeczkę krzątającą się przy garnkach i stolnicy. Uwijała się jak w ukropie, w każdym miejscu widać było jakąś zaczęłą robotę: w jednym miejscu leżały martwe karpie, w innym ciasto na pierogi, a jeszcze gdzie indziej składniki do makowca i wyglądało na to, że przywiezione przez wszystkich gotowe potrawy będą tylko drobnym dodatkiem do tego, co przygotuje Janeczka. Misiek obserwował ją przez chwilę. Każdy ruch był precyzyjny i szybki, każdy krok przemyślany, nie było tracenia czasu na niepotrzebne rzeczy.

Chrząknął i Janeczka obejrzała się, a potem zastygła jak zatrzymana w stop-klatce.

- O, dzień dobry, panie Michale!
- Dzień dobry. Pani Janeczko, czy pani coś bierze?
- Ma pan na myśli leki?
- Eee... Tak. – Misiek zastanowił się przez chwilę. – Hm, przepraszam, a czy bierze pani coś innego?
- Nie, tylko leki.
- W porządku... A można wiedzieć jakie?
- Vaginis, testisac, labianol, apenisol, papillax, clitorsal, praeputinil i clunibus. Raz na jakiś czas beladon, convalis i paproxis. Oraz mentosy. To na świeży oddech.
- Uhm... Pani musi być ciężko chora.
- No właśnie jestem zdrowa, ale to tylko dzięki tym lekarstwom. Gdybym ich nie brała, dopiero bym zachorowała! Tak twierdzi mój lekarz, a ja mu wierzę.

Misiek uniósł lekko brwi. Logika Janeczki oraz jej lekarza była niepokojąco bliska sposobowi niemyślenia Szwagra, ale uznał, że widocznie starsi ludzie tak mają i niewykluczone, że jego też kiedyś dotknie taka przypadłość.

– Czy ciotka Pelagia często tu bywa? – zapytał jeszcze. – W willi?

– Tak, ale o co chodzi, panie Michale?

– Nie, nic, tak tylko pytam. – Misiek stwierdził, że najwyraźniej ma do czynienia z profesjonalistką, dorównującą ciotce pod względem doświadczenia farmaceutycznego, co go wyraźnie ucieszyło. – Ma pani może coś lekkiego na uspokojenie?

– Oczywiście! – Jej twarz się rozpromieniła. – Panie Michale, myślę, że najlepszy dla pana będzie plegis. Jedna tabletką i będzie pan jak nowy.

– Jak wrócę do domu, to poproszę lekarza o receptę i oddam. Wyślę pocztą.

– Nieee, nie trzeba, to lek bez recepty. Ziołowy. W pełni bezpieczny i wypróbowany. Jedna tabletki i jest pan spokojny jak ja.

Janeczka sięgnęła do kieszeni fartucha i wyciągnęła z niej plastikową fiolkę. Podniosła ją do ucha, potrząsnęła i, słysząc grzechot pigulek, uśmiechnęła się radośnie.

– Sam dźwięk uspokaja – zapewniła, podając fiolkę Miśkowi.

Wyjął ją z jej ręki, podważył kciukiem wieczko, które odskoczyło z zabawnym pyknięciem, przechylił i w drugą dłoń wyturlały się dwie różowe tabletki. Uznał więc, że tak miało być i dla pewności weźmie obie. Wrzucił je sobie do ust, odchylił głowę i połknął, nie zauważając, że mają niezbyt regularny kształt.

– Panie Michale, to się ssie... – Janeczka zmarszczyła brwi.

– A to jakaś różnica?

– Chodzi o powolne uwalnianie.

– No to szybciej się uspokoję. – Wyszczерzył się do niej.

– Może pan chociaż popije? – zaproponowała.

– A ma tu pani jakieś nalewki? Tę z porzeczki na przykład?

– Lekarstw nie popija się alkoholem.

– Możliwe, ale zależy mi na szybkim uspokojeniu. Jak najszybszym.

– Dobrze, dla pana zrobię wyjątek – zdecydowała Janeczka i sięgnęła do szafki po karafkę.

Misiek przejął od niej wykonane z rżniętego szkła naczynie, wziął stojącą na ociekaczu szklankę i nalał sobie od serca, wychylając całość jednym haustem. A potem powtórzył operację.

– Amen. – Mlasnął i oblizał się ze smakiem, po czym oddał karafkę Janeczce i odstawił szklankę do zlewu.

Nalewka w sposób cudowny i nieoczekiwany przywróciła mu siły i ochotę do życia. Stwierdził też, że spokojnie doczeka do obiadu. Podziękował pięknie, opuścił kuchnię i dopiero wtedy przypomniał

sobie, po co właściwie tu przyszedł. Zawrócił, zadziwiony własnym otępieniem.

– Pani Janeczko, potrzebuję nożyc – poprosił.

– Do czego?

– Do gałęzi. Sekatora jakiegoś, nie wiem, jak to się nazywa. – Rozejrzał się odruchowo po kuchni i nagle coś zobaczył. – O, to będzie świetne!

Janeczka powędrowała spojrzeniem za palcem Miśka.

– To są nożyce do kurczaka – stwierdziła podejrzliwie.

– Mogą być. – Misiek ucieszył się, po czym porwał je i uciekł, zanim Janeczka zorientowała się, co robi.

– Co jesteś taki wesolutki? – zapytał Młody, kiedy wrócił do sali jadalnej.

– Ja?

– No, ty, ty.

Misiek musiał przez chwilę zastanowić się nad odpowiedzią.

– Bo jestem zadowolony, szczęśliwy wręcz, że sprawa choinki jest już załatwiona – sapnął w końcu i Młody wydawał się być tą odpowiedzią przekonany. – Golimy ją.

Kilka minut później jodła była elegancko przystrzyżona i dało się już nawet swobodnie przejść między nią a rzędem krzeseł.

– Co z gałęziami?

– Nie wiem. Może Ala zrobi z nich stroiki? Odłóż na razie na bok. – Pokazał mu miejsce pod ścianą.

Kiedy Młody zrobił to i wrócił do niego, stanęli obok siebie. Misiek wziął się pod boki i przyjrzał jodle z uznaniem. I wtedy do sali wszedł Szwagier. Ale nawet to nie wytrąciło Miśka z równowagi, tak bardzo zadowolony był z efektu wyprawy po choinkę. Może nie z samej wyprawy, ale z efektu tak. I niewykluczone, że pomogły mu w tym

też lekarstwa, choć zbyt mało czasu minęło od ich przyjęcia, by mogły zadziałać. Ale widocznie zadziałał efekt placebo.

– Cześć, Szwagier. Niedźwiedź dzwonił? – zapytał.

– Kto?

– Nieważne. – Misiek machnął ręką. – Ładna choinka?

– No ładna – przyznał z ociąganiem Szwagier.

– Trzeba będzie ją ustawić.

– Służę pomocą!

Misiek spojrzał na niego. Prawda była taka, że jodła miała prawie cztery metry wysokości i mimo postrzyżyn była wciąż rozłożysta. Do pomocy przy ustawianiu zostawał mu Młody, który był młody, i Janusz, który był chuchrem, choć łańcuch z jego szyi mógł się przydać przy montażu. A Szwagier, mimo kurzego umysłu, był niewątpliwie krzepki. Pozostawało tylko go kontrolować i może wszystko pójdzie dobrze.

– Janeczka mówiła, że w Wigilię – przypomniał. – Na razie niech więc leży i pachnie, a my umawiamy się jutro w samo południe. To co, Młody, rozgrzejemy się i zdrzemniemy?

W oczach Młodego wreszcie błysnął entuzjazm.

– To jest bardzo dobry pomysł – stwierdził.

– Zgadza się – przytaknął Szwagier i miał przy tym taką minę, że brakowało tylko słoika z napisem MJUT.

Nie wdając się w dalsze dyskusje ze Szwagrem, Wilkońscy poszli na górę do siebie.

– Młody, co zrobiłeś z tym telefonem, który znalazłeś? – zapytał Misiek, kiedy szli korytarzykiem do swojego pokoju.

– Nic.

– Masz go?

– Mam.

– Daj.

– Po co?  
– Bo cię proszę.  
– Wykorzystujesz swoją pozycję jako rodzic.  
– Możliwe, ale takie jest życie. Kiedyś ty będziesz wykorzystywał swoją.

– I tak jest martwy.

– To tym bardziej nie żał ci go oddać, no nie?

Młody wzruszył ramionami, wyciągnął telefon z kieszeni spodni i podał go ojcu.

– Jak go sprzedasz, to połowa moja, *deal*? – Spojrzał na niego poważnie.

– *Deal* – odparł Misiek tak samo poważnie. – Jak go sprzedam, to dostaniesz nawet całość.

Młody trochę poweselał. Weszli do pokoju, rzucili się każdy na swoje łóżko i po chwili obaj smacznie spali.

A śnieg za oknem padał i padał...



## 22 grudnia, godzina 15.00

Obiad pachniał wspaniale, ale kiedy Misiek usiadł za stołem, zorientował się, że nie jest głodny. Było to dziwne, zważywszy na to, ile sił i nerwów kosztowała go wyprawa po bożonarodzeniowe drzewko. W dodatku czuł się dziwnie odrętwiały, co składał na karb wysiłku, szykując się równocześnie na jutrzejszy ból z powodu zakwasów. Kiedy chciał się poprawić na krześle, lekko na nim zjechał, ale nowa pozycja wydała mu się dość wygodna. Patrzył, jak wszyscy nakładają sobie na talerze ziemniaki, makaron, schabowe i surówki. Dziwił się sobie, że nie robi tego samego.

Coś chyba jednak było z nim nie tak.

– Otrzyj usta – szepnęła nagle Bożena, nachylając się w jego stronę.

– Proszę?

– Otrzyj usta, ślina ci ścieka z kącika. Co ty, poćcisz do Wigilii?

– Nie jestem głodny.

– Nie rozumiem.

– Mówię, że nie jestem głodny.

– Czemu tak bełkoczesz? I otrzyj wreszcie tę ślinę!

– Nie... Nie mogę...

– Słucham?

– Nie mogę unieść ręki.



– Dlaczego?

– Nie wiem. Nie chce mi się.

– Proszę?

– Nie potrafię opisać tego uczucia. Nie mogę podnieść ręki, ale tak, jakby mi się nie chciało, a nie, że nie jestem w stanie. Bo niby jestem, ale mi się nie chce.

– To niech ci się zachce, dobra? Zwisa ci już do pasa i wygląda obrzydliwie. Zaraz ktoś to zauważy.

– Wszystko mi zwisa, Bożenko.

– Czy... Czy ty coś piłeś? – Zaniepokoiła się. – Miałaś wziąć coś na uspokojenie, a nie walnąć lufę.

– Nic nie piłem – odparł Misiek takim tonem, jakby było zupełnie inaczej. – Dała mi tylko tabletkę.

– Obudziłaś jednak ciotkę?

– Nie. Janeczka mi dała.

– Co? Wzięłaś coś od Janeczki?

– Jest świetnie zorientowana w tych sprawach. Nawet lepiej od ciotki, wiesz?

– Co ci przyszło do głowy?

– Nie rozumiem.

– Dobra, mój błąd, powinnam była ci powiedzieć.

– O czym? – Teraz z kolei zaniepokoił się Misiek.

Chciał się poprawić na krześle, ale znowu mu się odechciało. I to zaniepokoiło go jeszcze bardziej. Zaczął się też bać o kontrolę nad innymi funkcjami organizmu, przy których ślinotok był doprawdy pestką.

– Spokojnie, nie przestajesz oddychać. – Bożena jak gdyby czytała mu w myślach, a może po prostu z twarzy.

– Co jest nie tak z jej lekami? – wydusił z siebie.

– Przede wszystkim to nie są leki.

– Nie? A co? Twierdziła, że przepisał jej to wszystko lekarz!

– Lekarz?

– Tak powiedziała.

Bożena pokręciła głową i westchnęła.

– To wynalazki, a nie leki. Zioła, chwasty, mąka albo cukier puder i prymitywna wyciskarka do tabletek. A ten lekarz to nie żaden lekarz. Janeczka ma takiego leśnego dziadka, mieszka w Czerniawie. Znachor, zielarz, dentysta, ludowy mędrzec i szaman oraz podobno zboczeniec w jednym. Wiesz, w księżycową noc miesza w garze cień wisielca, krzyk sowy pójdzki oraz skrzydło nietoperza i robi z tego wywar.

– Skąd bierze wisielca?

– Ale ty ciemny jesteś, to był tylko przykład.

– Aha...

– Te jego wytwory medycyny ludowej są zwykle nieszkodliwe, ale zdarzyło się, że zimą w fontannie z żabami na deptaku kąpała się jakaś staruszka. Nie mogli jej wyciągnąć, tak zajadle się broniła. Dobrze, że nie było tam wody, bo była naga, prosto po wizycie w Czerniawie.

– Nieszkodliwe, powiadasz?

– Zwykle. – Bożena spojrzała na niego znacząco.

Myśl, co robi pani Janeczce, jak już dojdzie do siebie, trzymała Miśka przy nadziei. A kolejna, ta, co robi z tym pieprzonym lokalnym Panoramixem, kiedy już go dorwie, podwajała tę moc. I kiedy wreszcie uniósł rękę i powolnym ruchem otarł usta, uznał, że jednak wyjdzie z tego cało.

– To dlatego ostatnio Janeczka sprawia wrażenie, jakby ktoś wcisnął jej przewijanie do przodu na podglądzie – stwierdził. – A ten facet jest groźny. Trzeba coś z tym zrobić. Zgłosić gdzieś.

– To walka z wiatrakami. Ludzie jadą do niego i po sto kilometrów. Z Jeleniej Góry, nawet z Wrocławia.

– Przepraszam, ta nalewka Janeczki, o której mówiła, że robi ją święty człowiek... To jego miała na myśli?

– Zapewne.

– Masakra – jęknął Misiek, dochodząc do wniosku, że po prostu przedawkował produkty pseudolecznicze niewiadomego pochodzenia.

Przebierając palcami, wsunął je sobie we włosy i przeczesał, stwierdzając z zadowoleniem, że czuje ich swędzenie na skórze dłoni.

– Lepiej? – zapytała cicho Bożena.

– Lepiej. – Misiek oblizał starannie usta.

– A jesteś chociaż spokojniejszy?

– Fakt, jestem spokojny jak niedzielny poranek. – Wyszczerył się do niej. – Może źle się jednak do dziada nastawiłem, wiesz, uprzedziłem niepotrzebnie...

– Co tam tak szczebioczenie, ptaszki? – Bożena i Misiek poczuli na swoich ramionach ciężkie łapska Szwagra i czar prysł jak mydlana bańka.

– A tak sobie obgadujemy wszystkich. – Misiek westchnął. – Co tam?

– Kurczaczka gdybyś mógł mi podać, byłbym wdzięczny.

Misiek wyciągnął rękę i chwycił półmisek z kurzymi udkami, ale nie był w stanie go podnieść.

– Bożena, pomożesz? – syknął.

Podąła bratu półmisek, Szwagier nałożył sobie cztery sztuki i wrócił zadowolony na swoje miejsce.

– Zjedz chociaż trochę – poradziła mężowi Bożena. – Jak przestanie działać, to będziesz głodny jak wilk.

Misiek przemógł się jakoś i zjadł odrobinę, nie czerpiąc z jedzenia żadnej przyjemności. Pomstując wciąż w myślach na dziada z Czerniawy, przetykał kęsy mięsa i purée z ziemniaków. Deseru nie ruszył, chociaż była szarlotka i sernik z sosem malinowym. W tym momencie jego wkurw na dziada osiągnął swoje apogeum. Wstał i zdesperowany zszedł do kuchni, gdzie była Janeczka, która zjadała obiad najszybciej, a potem natychmiast wracała do kuchni, żeby sprzątać i pichcić potrawy wigilijne, wciąż konsekwentnie nie życząc sobie żadnej pomocy.

– Pani Janeczko, ma pani może coś na apetyt? – zapytał z nadzieją.

– Panie Michale, ja mam coś na wszystko.

– Hm, ale chodzi mi o coś, co spowoduje wyłącznie apetyt, a nie działania niepożądane.

– Spokojnie, to ziołowy lek.

– Od tego pani lekarza?

– Nieee, ten akurat z apteki. Chce pan?

– Tak!

Janeczka sięgnęła do szafki nad głową i wyciągnęła z niej coś. Pudełko miało kolorowe nadruki i wyglądało na robione w normalnej fabryce koncernu farmaceutycznego. Na wszelki wypadek Misiek zapytał jednak:

– W środku jest dokładnie to, co na pudełku?

– Oczywiście.

– A co pani taka smutna, pani Janeczko? – zapytał, łykając tabletki.

– A bo rondel się zepsuł. Rączka.

– Pani pokaże. – Misiek oddał jej pudełko, w zamian wziął od niej garnek i obejrzał go. – A tam zepsuł, wystarczy rączkę dokręcić, bo się oblużowała. Ma pani śrubokręt?

– Zdzichu ma u siebie.

– Pani mi to da, pani Janeczko. Naprawię. Zaraz będę z powrotem i rondelk będzie jak nowy.

– Oby... – Janeczka westchnęła.

Misiek wrócił do sali. Waliszów już nie było, Pelagii i Młodego też, Bożena z Alicją właśnie się zbierały. Podszedł do Szwagra i zagadnął go.

– Szwagier, pożycz, proszę, śrubokręt.

– Co się stało?

– Ratuję Wigilię. – Misiek skromnie spuścił wzrok.

– Co?

– Nic, potrzebuję na chwilę śrubokręt. Pożyczysz?

– Pożyczę, co mam nie pożyczyć, Michu. – Szwagier podniósł się ciężko z krzesła i wyszedł z sali, sapiąc głośno.

Wrócił pięć minut później, ściskając w ręku śrubokręt. Podał go Miśkowi.

– Tylko nie zgub – ostrzegł. – Krzyżakowy. Najlepszy.

Misiek parsknął, wziął narzędzie i kiedy już chciał włożyć końcówkę w łeb śrubki przytwierdzającej rączkę do rondla, coś przykuło jego wzrok. Na końcu trzonka śrubokrętu na czerwonej niteczce dyndał maleńki kotek.

– Co to jest? – Zmarszczył brwi.

– Franio.

– Przepraszam, kto taki?

– Maskotka Franio.

– A co ona tu robi?

– To mój ulubiony śrubokręt – wyjaśnił Szwagier. – Najlepiej układa się w ręku, a wygodą w pracy jest dla mnie bardzo ważna. Dla ciebie nie? – zdziwił się.

– No też, ale żeby zaraz kotek... – Misiek wzruszył ramionami.

– Zaznaczyłem Franiem, że to ten najlepszy, bo wszystkie wyglądają tak samo. A jednak jest między nimi pewna subtropikalna różnica.

– Dobra. Niech będzie Franio. – Zaczął przykręcać śrubkę i rozległo się ciche skrzypienie metalu. – A uczyli cię, Szwagier, w tym twoim wojsku, z czego składa się rondel?

– Z czego?

– Z ognioodpornej komory pokarmowej oraz trzonka przenoszącego.

– Ale, Michu, skąd ty wiesz takie rzeczy? Przecież nigdy nie byłeś w wojsku?

– No właśnie, Szwagier, dzięki temu znam się jeszcze trochę na żartach. – Misiek odłożył śrubokręt na parapet i pomachał rondlem we wszystkie strony. – Dobra, zrobione. Trzyma się fest. Będzie pichcone.

Nagle poczuł burczenie w brzuchu i uświadomił sobie, że jest głodny. Nie sądził, żeby to był efekt działania leku od Janeczki. Minęło zbyt mało czasu, już prędej całkowicie przestał działać specyfik dziada z Czerniawy i Misiek po prostu doszedł do siebie. Biorąc pod uwagę wydatek energetyczny dzisiejszego przedpołudnia, miał w końcu sporo do nadrobienia. Korzystając z okazji, usiadł przy stole i zaczął wsuwać. Najpierw zjadł ostatnie trzy udka, do których nie dorwał się Szwagier, i kotlet z ananasem. Zagryzł ogórkiem kiszonym, wykończył ziemniaczki i kukurydzę w majonezie, no i wreszcie dopadł szarlotkę i sernik. Kiedy skończył, rozsiadł się i na jego twarzy rozlał się błogi uśmiech. Wrócił do równowagi, również psychicznej, bo przecież wiadomo, że głodny facet to wściekły facet, i może w tym należało upatrywać przyczyny jego wybuchu. Po namyśle zdał sobie sprawę, że jednak nie chodzi o głód, a o Szwagra. Wyłącznie o niego.

Czując lekką ociężałość, wstał od stołu i jego wzrok padł na rondelek. Pójście nawet piętro niżej wydawało mu się wyprawą podobną do tej po choinkę, ale postanowił podejść do tego jak mężczyzna.

– Szwagier, nie będziesz szedł na dół? – zapytał Szwagra, który wylizywał sos malinowy z talerzyka po serniku.

– Będę.

– Zaniesiesz rondelek Janeczce?

– Zaniosę.

Sprawa był załatwiona niewielkim kosztem, za to sprytnie. Misiek postanowił więc, że zdrzemnie się odrobinę. W żadnym innym miejscu nie spał tak dobrze, jak tu i postanowił to wykorzystać, zwłaszcza że miał pewne plany, które obejmowały działanie w nocy. Poszedł do swojego pokoju, pokonując stopień za stopniem i z każdym czując coraz większy ciężar. Przystanął na półpiętrze i odpoczął, a kiedy wreszcie dotarł do swojego pokoju, był niemal tak wyczerpany, jak parę godzin temu po powrocie z polowania na jodłę. Bożeny znowu nie było. Nadrabiała chyba kontakty z kuzynkami. Był za to Młody, który jak zahipnotyzowany siedział w swoim stałym miejscu na polówce pod oknem, wpatrzony w telefon. Nagle zrobił wielkie oczy i z przerażeniem spojrzął na wchodzącego do pokoju ojca.

– Co się stało? – Misiek się zaniepokoił.

– Nie ma netu – wyszeptał Młody.

– Co?

– Netu nie ma! – Jacek prawie krzyknął.

– No i co z tego? – Teraz Misiek zrobił wielkie oczy.

– Zaraz umrę – oświadczył jego syn.

– Ty zgłupiałeś? Zaraz włączą.

– Nie. – Młody pomachał mu przed oczami telefonem. – Najprawdopodobniej śnieg obciążył przewody zasilające maszt BTS, które zerwały się pod jego ciężarem. Widzisz, co się dzieje na zewnątrz! Myślisz, że ktokolwiek jest w stanie wyjechać i sprawdzić linie energetyczne? Nie ma netu, nie ma zasięgu, głucho wszędzie. Jesteśmy odcięci od świata. Naprawdę odcięci, rozumiesz?! Nawet od wirtualnego!

Misiek poczuł nagle nieznośny ciężar w żołądku i uświadomił sobie, ile zjadł. Kręcąc głową ze zdziwienia nad własną głupotą, zostawił Młodego w pokoju i zszedł na dół. Miał większe zmartwienie niż brak netu.

Schodziło się dużo lepiej, niż wchodziło, co zauważył z ulgą, choć myśl o rychłym powrocie napawała go przerażeniem, bo przypomniła mu się wyprawa na Stóg Izerski kilka lat temu. Przyjechali kiedyś do babci wczesną wiosną i poszli na wycieczkę właśnie na ten szczyt, który widział z okien swojego pokoju. Pogoda była piękna, asfaltowa droga pięła się lekko pod górę, ale pozostawała w miarę równa. Kiedy weszli na szlak, na którym zalegało jeszcze mnóstwo śniegu, zaczęły się kłopoty. Nasypało go do kolan, był mokry i lepki, chwycił za nogi, a wyciągnięcie ich z niego było nadludzkim wysiłkiem. Po dotarciu do schroniska Misiek był pewien, że zjedzie z niego w czarnym worku, ewentualnie w śmigłowcu, wypluwając płuca i żebrząc o batony energetyczne.

Gdy dotarł do kuchni, ból stał się nieznośny, w dodatku Misiek miał wrażenie, że pochłonięty obiad chce się wydostać z niego każdą możliwą drogą. Desperacja sięgnęła zenitu i kiedy podszedł do Janeczki, niemal przed nią klęknął i poprosił błagalnie:

– Pani Janeczko kochana, nie ma pani czegoś na przejedzenie? Może być nawet od dziada z Czerniawy...





## 22 grudnia, godzina 19.30

Na dworze panował zmrok oraz oczywiście sypał śnieg, który objął świat w posiadanie w stopniu dużo większym niż ciemność. W saloniku na piętrze przebywało kilka osób i jedno zwierzę. Po kolacji, której Misiek nie tknął, aczkolwiek czuł się już zdecydowanie lepiej, część poszła do siebie, a pozostali, w tym Wilkońscy, zgromadzili się w tym przytulnym pomieszczeniu, gdzie dawnymi czasy przebywali kuracjusze nie mogący wyjść na zewnątrz z powodu opadów deszczu.

Albo śniegu.

Krakers spał na szczycie regału z książkami, Bożena z kuzynkami grały przy stole w makao, Robuś z Paulinką rozwiązywali testy na inteligencję w jakimś magazynie, Młody przeglądał zdjęcia w telefonie albo w coś grał, a Szwagier siedział na tej samej kanapie, na której odpoczywał Misiek, na szczęście na przeciwnym jej końcu. Błądził gdzieś myślami i Misiek podejrzewał, że po prostu się wyłączył, a jego mózg podtrzymuje tylko czynności życiowe. Ale nie chciał tego sprawdzać. Istotne było to, że Szwagier milczał i jeśli nie patrzyło się w tamtą stronę, można było nawet udawać, że go tu nie ma. I to było piękne.

Salonik rozświetlał ciepły blask świec, osadzonych w starym, cynowym lichtarzu stojącym na stole. Drugi świecznik stał na półce

nad kanapą. Misiek przeglądał jakiś przeterminowany magazyn dla pań, których cała sterta zalegała w gazetowniku koło kanapy, i wracał myślami do chwili, kiedy Młody ogłosił brak netu. Dziwił mu się wtedy, bo jego syn wyglądał, jakby dotknęła go jakaś osobista tragedia, ale teraz powoli zaczynał go rozumieć. Misiek po prostu straszliwie się nudził, choć był świadomy, że siedząc sam w ich pokoju, nudziłby się jeszcze bardziej. Zerknął na Szwagra, który rozwiązywał krzyżówkę w jakimś magazynie dla gospodyń domowych i diabeł zaczął go kusić.

– Co tam rzeźbisz? – zapytał go.

– Krzyżówkę.

– Jakiś problem masz z hasłem?

– Przeciwiństwo tezy. Wiesz, co to?

– Proteza.

– Nieee, na osiem liter. Pierwsza i ostatnia „a”, a po drodze jeszcze „t”, więcej nie mam. Wychodzi mi antylopa.

– To dobrze ci wychodzi. – Misiek pokiwał z przekonaniem głową.

– Wpisuj.

Szwagier zaczął z mozołem wpisywać litery w kratki.

– Czekaj, coś nie pasuje – stwierdził nagle. – Przedostatnia to „z”. Nie zauważyłem.

– Nie szkodzi, w takim razie to będzie antyloza. Teraz pasuje?

– Teraz tak.

– No i pięknie.

Tymczasem Młody obejrzał już chyba zawartość całego telefonu, bo schował go do kieszeni, podszedł do okna i wyjrzał przez nie. Śnieg odrobinę zelżał, ale nikt nie miał wątpliwości, że natura zbiera siły przed kolejnym atakiem i to ze zdwojoną siłą.

– Słuchajcie, w centrum jest światło, widzę łunę. – Jacek się obejrzał. – Latarnia na ulicy też się świeci, to o co tu chodzi?

Dlaczego w domu nie ma prądu, a na ulicy jest?

– To jest bardzo ciekawe – stwierdził Szwagier, uaktywniając się nagle, czym zasmucił Miśka okrutnie.

– Rozumiem, że chciałbyś się pochylić nad tym zagadnieniem? – zapytał go.

– Wiesz, Michu, ostatnio strasznie boli mnie kręgosłup, więc raczej tego unikam. Ale na pewno pomyślę, co się dzieje. Powiem więcej: ja coś z tym nawet zrobię!

– Wujku, to chyba nie jest dobry pomysł – stwierdził Młody. – Pamiętasz, co się stało na wakacjach?

Strona gazety, którą Misiek właśnie machinalnie przewracał, została mu w ręku. Odgłos dartego papieru zwrócił uwagę dziewczyn.

– Co ty robisz? – zapytała Bożena, odwracając się od kart.

– Nic – odparł beznamiętnie, choć w jego umyśle działały się teraz różne nie najlepsze rzeczy. – Artykuł jeden mnie zainteresował, chcę go sobie zachować.

Z trudem rozwarł palce i zaczął składać oderwaną stronę na cztery.

– Zainteresował cię artykuł z magazynu dla pań? – zdziwiła się Justyna.

– Tak. Jak być lepszym mężem dla swojej żony. – Spojrzał znacząco na Bożenę.

– Uuuu! – Alicja i Justyna odchyliły się i puściły do kuzynki oko.

– Mam zrobić skan dla Janusza? – zapytał niewinnie Justynę.

Bożena i Ala roześmiały się, a Justyna spochmurniała.

– Nie dokuczaj jej – powiedziała nagle Alicja do Miśka. – Janusz zrobił jej awanturę, że zbiła flakon z jego perfumami.

– Czemu go zbiłaś? – zapytał z ciekawością.

– To nie ja, bliźniaki też przysięgają, że nie one. Teraz cała łazienka pachnie Januszem. – Justyna pokręciła głową i dodała zgryźliwie: – Zapach do kibli za pięć stów.

Wszyscy się roześmiali, a Misiek, korzystając z chwili ogólnej wesołości, uniósł się lekko, schował złożoną stronę do kieszeni na tyłku, notując w pamięci, żeby wyrzucić ją przy najbliższej okazji, bo inaczej znów nasłucha się od żony, że nie sprawdza ciuchów, wrzucając je do kosza na pranie. Poza tym, o ile się zorientował, artykuł tak naprawdę dotyczył kobiecych problemów intymnych. Nie chciał sobie nawet wyobrażać, co pomyślałaby Bożena, gdyby znalazła w kieszeni jego spodni coś takiego. Śledztwo byłoby długie i bolesne.

Dziewczyny wciąż się z czegoś chichrały, więc chrząknął i skinął podbródkiem.

– Ej, laski, karty wam stygną.

Wróciły do gry, a Misiek odłożył magazyn do gazetownika i zerknął w bok. Szwagra nie było. Nawet nie zauważył, kiedy wyszedł. Na kanapie został tylko magazyn, otwarty na stronie z krzyżówką.

– Młody, gdzie twój wujek? – zapytał.

– Wyszedł, kiedy rozmawialiście.

– Nie wiesz, dokąd poszedł?

– Nie wiem. – Młody obojętnie wzruszył ramionami. – Nie mówił. Ale wyraźnie się czymś podeksycyował.

– To może oznaczać kłopoty. Mam nadzieję, że nie posz...

Przerwało mu nagłe otwarcie drzwi. Do saloniku zajrzał nie kto inny, jak Szwagier.

– Gdzie jest mój śrubokręt? – zapytał.

– Pewnie poszedł szukać twojego telefonu – odparł bez troski Misiek. – Może go zawołaj?

– Poważnie pytam, muszę coś zrobić z tym światłem, a ty ostatni go miałeś w rękach.

– Odłożyłem na parapet.

Szwagier spojrzał na niego podejrzliwie.

– Przyznaj się, Michu, zabrałeś go?

– Szwagier, po kiego grzyba mi twój śrubokręt? Co ja w domu śrubokrętów nie mam?

– W domu może masz, ale tu?

Misiek westchnął.

– Posłuchaj, śrubokręty nie są moimi maskotkami. Zrobiłem co trzeba i odłożyłem go na kaloryfer. Znaczy na parapet. I ile razy mnie jeszcze o to nie zapytasz, wciąż będę odpowiadał tak samo.

– To znaczy, że mogę cię jeszcze o to zapytać?

– A po co?

– Bo może za którymś razem odpowiesz inaczej? – zapytał chytrze Szwagier. – Sam widzisz, najpierw był parapet, potem nagle, niespodziewanie pojawia się kaloryfer. Coś kręcisz, Michu.

Misiek oblizwał usta, które podejrzenie szybko zrobiły się suche.

– Posłuchaj, najpierw chciałem go odłożyć na kaloryfer, ale zorientowałem się, że wpadłby między żeberka, więc wybrałem jednak parapet i teraz to mi się przypomniało. Dlatego wspomniałem o kaloryferze, ale koniec końców został na parapecie i to parapet jest istotny, rozumiesz? Parapet jest przystankiem końcowym podróży śrubokrętu przez moje ręce.

– Na pewno na parapecie?

– Nie, na twoim zakutym łbie! – wrzasnął, tracąc nad sobą kontrolę.

– A więc jednak...

Misiek chwycił się za głowę i zaczął masować skronie.

– Schwagier, błagam cię, zostaw już ten śrubokręt w spokoju. Odkupię ci go, cały zestaw ci kupię, nowiutki, tylko nie wspominaj więcej o nim, dobra?

Dziewczyny patrzyły na Miśka jak oniemiałe.

– Tata źle wspomina wakacje. – Grobowy głos Młodego przerwał ciszę.

– Co mają z tym wspólnego wakacje? – zapytała Justyna.

– To ciąg skojarzeń, ale tata prosił, żeby o tym nie mówić.

– Fakt, ciągle padało, ale żeby tak zaraz nerwowo reagować? – Schwagier był wyraźnie zasmucony. – Możemy w przyszłe wakacje polecieć razem do Grecji...

– Nie! – Misiek zaczął się histerycznie śmiać.

– Dobra, znajdę inny śrubokręt, Michu, spokojnie. Tylko ty znajdź ten, który zgubiłeś, bo Frania szkoda.

Zniknął za drzwiami i Misiek natychmiast się uspokoił. Dziewczyny udawały, że grają, ale zezowały w stronę Miśka albo współczująco zerkwały na Bożenę. Misiek zamknął oczy i oparł wygodnie głowę. Zrobiło mu się błogo i poczuł, że zaraz zacznie odlatywać do krainy snów.

– Wujek jest na zewnątrz. – Od strony okna dobiegł go głos Młodego.

Misiek niechętnie otworzył oczy. Nawet jak Schwagra nie było w pobliżu, to jednak był. Fenomen.

– Wyszedł przed dom – padł kolejny komunikat.

– Po co? – zapytał Misiek.

– Nie wiem. Jak zobaczę, to powiem.

– Dobra, raportuj.

– Brnie przez śnieg. Jeszcze brnie. Jeszcze. Jeszcze...

– Może powiedz, jak już dobrnie, dobra?

– Okej.

Zapadła chwila ciszy.

– Jak upada też mam zgłaszać? – zapytał Młody.

– Jak najbardziej!

– Upadł. Nie widać go, bo śniegu jest po pas, i teraz wygrzebuje się z tej dziury. Dobra, stoi... Już nieaktualne, znowu leży.

Misiek parsknął śmiechem.

– Naprawdę śmiesz cię upadający człowiek? – zapytała Bożena z niesmakiem.

Nagle dzieciaki zerwały się z kąta, w którym siedziały i podbiegły do okna.

– My też chcemy zobaczyć! – Zaczęły się przepychać, odsuwając łokciami Młodego, i obsiadły go jak kurczęta kwokę.

– Nie śmiesz mnie człowiek, tylko Szwagier – powiedział spokojnie Misiek, nie zmieniając pozycji. Napięcie zeszło z niego jak powietrze z przekłutego balonu. – Były komandos, jednoosobowa armia i zabójca z dżungli w jednym nie potrafi przejść przez ulicę.

– Był komandosem dwadzieścia lat temu. Poza tym miał wypadek!

– Słuchajcie... – powiedział niespodziewanie Młody, odwracając się od okna, ale nagle oklapł i zamilkł.

– Co? – zapytali równocześnie Misiek i Bożena.

– Nie, nic... – Młody machnął ręką i znów zapatrzył się w okno. – Z drugiej strony trzeba mu oddać, że jest chyba ponad metr śniegu. Pamiętacie Stóg Izerski dwa lata temu w kwietniu?

Miśkowi trochę zrzęda mina i pogłaskał się po brzuchu.

– No dobra, co teraz robi? – zapytał syna.

– Wyciąga coś z kieszeni, chyba śrubokręt i otwiera te drzwiczki w słupie.

– Dobiera się do elektryki. Może otwórz okno i zawołaj, żeby dał sobie spokój? – Misiek się zaniepokoił. – Powiedz mu, że nie będę



się z niego śmiał.

– Ale po co w ogóle on tam idzie?

– Jezu, nie wiem. – Misiek westchnął. – Nabrać trochę prądu do wiaderka?

– Nie ma wiaderka, ale ciągnie się za nim jakiś kabel.

– Co?

– Teraz widzę, że ciągnął za sobą kabel.

– To się nie może dobrze skończyć, słuchajcie. Nie może! – Dwa Miśki walczyły ze sobą: jeden, ten dobry i jasny, martwił się mimo wszystko o bliźniego swego, drugi, mroczny, zastanawiał się, jak się skończy grzebanie Szwagra we flakach ulicznej latarni i co gorsza, nie mógł się wręcz tego końca doczekać.

– Grzebie w środku. Dalej grzebie. Coś błysnęło!

– Kopnęło go?

– Nie, to chyba jakaś kontrolka w środku, bo błysnęło na czerwono. O, znowu błysnęło! Na niebiesko. Nie znam się, ale chyba się podłącza do tablicy rozdzielczej, która jest w środku.

Młody zamilkł z przylepionym do szyby czołem i dalej wypatrywał, co porabia Szwagier. Po kilkunastu sekundach Misiek nie wytrzymał.

– Co ro... – Nie dokończył, bo w saloniku nagle rozbłysło światło.

Dziewczyny aż pisnęły, a dzieciaki podskoczyły z radości.

– Wreszcie naładujemy tablet i komórki! – wrzasnął Robuś.

– Ale... Jak on to zrobił? – wyjąkał Misiek.

Młody odszedł od okna.

– Nie wiem, ale w momencie, kiedy tu zapaliło się światło, to zgasło w całym mieście. I ta latarnia, do której się podłączał, też.

– Co?

– Sam zobacz. – Wskazał okno. – Jest ciemno.

Misiek nie miał wyjścia. Zwlókł się z kanapy, podszedł do okna i przycisnął czoło do szyby, osłaniając twarz dłońmi, żeby lepiej

widzieć, lecz i tak nic nie zobaczył z powodu egipskich ciemności na zewnątrz. Tam, gdzie wcześniej widać było pomarańczową łunę bijącą z miasta, teraz nie było niczego. Odsunął się od okna, łapiąc jeszcze swoje zszokowane spojrzenie w odbiciu na szybie, odwrócił się i rozłożył szeroko ręce.

– Czasem lepiej nie wiedzieć. Cieszymy się tym, co mamy.

– Ktoś nie ma prądu, by mieć mógł go ktoś – stwierdził filozoficznie Młody.

– To może być zbieg okoliczności – zauważyła Alicja.

Całe towarzystwo dyskutowało jeszcze przez chwilę zawzięcie nad fenomenem Szwagra, choć Misiek nie brał w tym udziału. Nie chciał się denerwować. Nagle dyskusję przerwało nadejście jej przedmiotu. Na twarzy Szwagra malował się wyraz niewysłowionej dumy. Zewsząd posypały się gratulacje, dzieciaki obkoczyły wujka i Misiek, widząc to, stwierdził, że powinien odpuścić mu, przynajmniej na jakiś czas, czyli do momentu, w którym Szwagier znów zrobi coś koszmarnie głupiego.

– Zaraz wracam – powiedział z tajemniczym uśmiechem.

Zbiegł na dół, gdzie niestrudzona Janeczka krzątała się w kuchni. Teraz Misiek wiedział już niemal na pewno, co daje jej siły, motywację i napęd. Kiedy wszedł do środka, poczuł swąd spalenizny, ale czuć było wyraźnie, że to z knotów zgaszonych przed chwilą świec. Cała kuchnia była nimi obstawiona niczym salon kąpielowy Christiana Trevelyana Greya w oczekiwaniu na Anastasię Steel.

– Pani Janeczko, mogłaby pani poczęstować nas buteleczką nalewki? – zapytał Misiek. – Albo chociaż kieliszkiem? Dobra, dwoma kieliszkami.

– Oczywiście, a co to za okazja?

Misiek spojrzał w górę i pokazał palcem lampę.

– Przyzna pani, że zacna?  
– Włączyli prąd, zdarza się.  
– Tym razem to wyłączna zasługa Schwagra. Należy mu się nagroda, wyjątkowo.  
– Jak on to zrobił? – zdziwiła się Janeczka niepomiernie.  
– Nie wiadomo dokładnie. Niedokładnie też nie, ale nieważne. Ważne, że jest prąd.

– Zgadza się. To co, dwa kielonki?  
– Poproszę. Jedna porzeczką i jedna wisienką.  
Janeczka starannie odmierzyła porcje nalewek i podała kieliszki Miśkowi.

– Dałabym panu całą butelczynę, ale oszczędzam, żeby na Wigilię starczyło. – Popatrzyła na niego znacząco.

– Jasne. – Wyszczrzył się do niej i zabrał kieliszki. – Słusznie! A poczęstuje mnie pani jeszcze mentosem?

– A proszę... – Wyciągnęła z kieszeni fartucha paczkę miętowych dropsów.

Misiek ostrożnie odstawił na chwilę na blat jeden z kieliszków, podstawiał dłoń, a kiedy Janeczka wyłuskała mu na nią dwie pastylki, udał, że wkłada je sobie do ust. Kiedy sięgał po kieliszek, niepostrzeżenie włożył obie do kieszeni marynarki.

– Panie Michale! – Janeczka zawróciła go od drzwi.

– Tak? – Obejrzał się.

– Mam prośbę: Pella prosiła o kawę. Mógłby jej pan zanieść?

– Oczywiście, nie ma problemu.

Dostał tacę, na której stała filiżanka z kawą i mleczarka, więc dołożył kieliszki i opuścił kuchnię. Idąc schodami na górę, przystanął na chwilę i powąchał oba kieliszki, dokonując niełatwego wyboru. W końcu wychylił połowę wiśniówki, dolał do niej pozostałość nalewki porzeczkowej, a resztę wlał w siebie. Mijając niewielkie

okienko, którego parapet sięgał mu ponad głowę, postawił na nim puste szkło, odsuwając je w kierunku szyby najdalej, jak mógł. Zadowolony oblizał usta i ruszył do pokoju ciotki Pelagii, którą Janeczka zakwaterowała w pokoju jej siostry.

Zapukał grzecznie i kiedy usłyszał „proszę”, nacisnął klamkę i wszedł do środka. Pelagia siedziała w fotelu obok łóżka, w okularach na nosie i studiowała jakieś dokumenty.

– Przyniosłem cioci kawę – powiedział Misiek.

– Dziękuję, postaw na stoliku – odparła ciotka, nie odrywając wzroku od pliku papierów, które trzymała w ręku.

– Co ciocia robi? – zainteresował się Misiek, bo postanowił, że pokaże się z mniej potwornej strony i będzie uprzejmy jak nigdy.

– Przeglądam wyniki Malwiny.

– Jakie wyniki?

– Badań. No chyba nie sportowe? – Pelagia spojrzała na niego jak na półgłówka i Misiek pomyślał o dwóch rzeczach: że tak właśnie on sam musi patrzeć na Szwagra i że mimo wszystko on na takie spojrzenie nie zasłużył, a Szwagier owszem.

– A skąd ciocia je wzięła? – zapytał, a jakże, uprzejmie.

– Z szuflady. – Wzruszyła ramionami, jakby to była oczywista rzecz.

– Aha...

Pelagia przekładała karteluszek z tabelkami, przybliżała je do oczu i oddalała, a co jakiś czas z jej ust wydobywało się westchnięcie albo nawet cichy okrzyk. Misiek zastanawiał się, o co chodzi.

– Nic nie rozumiem. – Kręciła głową. – Skąd takie wyniki?

Miśka coś zakłuło w piersi i poczuł nagłe wyrzuty sumienia, że tak bagatelizował nieobecność teściowej i jej pobyt w szpitalu.

Nieczuły potwór. Tym w istocie był. Należały mu się wszystkie epitety od Bożeny. Zasłużył na nie, na każdy bez wyjątku.

– Bardzo źle? – zapytał zmartwiony.

– Źle? – Ciotka wciąż wpatrywała się w jedną z kartek. – Pytasz, czy źle? A ja się pytam, jak w tym wieku można mieć takie wyniki?

– To znaczy jakie? – Chciał dodać „do cholery”, ale się powstrzymał. Przeczuwał najgorsze.

– W normie! – Pelagia spojrzała na niego zdumiona. – Wszystko w normie! Krew, mocz, ciśnienie, hormony... Ona jest zdrowa jak koń!

Misiek stał z otwartymi ustami. Cieszył się oczywiście, że teściowej nic nie jest, ale bardziej cieszył się ze swojej niewinności. Z tego, że miał rację. To jednak dawało mu jakąś satysfakcję oraz rodziło podejrzenia, z jakiego powodu babcia trafiła do szpitala.

– To na pewno jej? – zapytał dla pewności.

– Coś sugerujesz?

– Nie, ale to takie małe literki...

– A strzelić cię w ucho, młodzieńcze?

– Nie trzeba – odparł odruchowo. – Do zobaczenia później...

– Dziękuję za kawę – mruknęła i spojrzała na niego bystrzej. –

A co tam masz?

– Gdzie?

– Na tacy. Czy to jest to, co myślę?

– A co ciocia myśli?

– Ciebie naprawdę swędzi ucho – stwierdziła. – Chciałeś mnie pozbawić dodatku do kawy? Mnie, umierającą, starą kobietę, której tak niewiele przyjemności w życiu zostało?

– Nie, bo to nagroda dla...

– Skoro nagroda, to poproszę. – Ciotka wyciągnęła dłoń, a bransoletki zabrzęczały chciwie. – To bardzo miłe z twojej strony,

że o mnie pomyślałeś.

Misiek nie miał wyjścia. Podał ciotce kieliszek, stojąc jak kelner z tacą w dłoni.

– Będziesz czekał, aż wypiję? – zapytała, obrzucając go zdziwionym spojrzeniem. – Chcesz, żeby mi w gardle stanęło?

– Nie, oczywiście, że nie. Do zobaczenia, ciociu.

Zostawił tacę na stole, wycofał się z pokoju tyłem i cicho zamknął drzwi, zostawiając ciotkę Pelagię wstrząśniętą stanem zdrowia swojej siostry i odrobinę pocieszoną dodatkiem do kawy. Zapewne zaraz zacznie szykować sobie dawkę pigułek na poprawę swojego. Może nawet popije je dodatkiem.

Wrócił do saloniku z pustymi rękami. Dziewczyny zerknęły na niego podejrzliwie, ale udał, że wszystko jest w porządku. Szwagier był już na miejscu, ciesząc się uznaniem gości, zresztą jak najbardziej zasłużonym. Wrócił do rozwiązywania krzyżówki, ale utknął na jednym z haseł i teraz wyraźnie biedził się nad odpowiedzią, bo na jego czole pojawiło się coś, co Misiek określał mianem bruzd myślowych. Pojawiały się dość często, rzadko kiedy jednak prowadziły u Szwagra do czegoś więcej niż mruknięcia „Aaa, dobra, najwyżej później”.

Oczywiście „później” nigdy nie następowało.

– Brawo, Szwagier. – Misiek poklepał go po ramieniu. – Jesteś naszym światłem w tunelu.

– Co tak pachnie? – Szwagier zmarszczył brwi.

Misiek przeklął siebie w myślach. Mentosy zostały oczywiście w kieszeni, zamiast znaleźć się w jego ustach, a Szwagrowi brak intelektu Bozia wynagrodziła widocznie zmysłem powonienia.

– Byłem u ciotki Pelagii – odparł wymijająco, żeby odwrócić jego uwagę. – Słuchaj, Szwagier, przemyślałem to hasło po drodze. To jednak będzie antyteza.

– Antyteza? – Szwagier mocniej ścisnął ołówek.

– Tak. – Misiek dosiadł się do niego i zajrzał mu przez ramię. – A co to jest sześć pionowo, takie długie? Na „kar”. Karabinek?

– Kamień szlachetny – przesyłabizował Szwagier. – Kar...  
Karbunku! Co za zbieg okoliczności!

Misiek, który właśnie otwierał usta, żeby podać hasło, został tak z opuszczoną żuchwą. Kiedy zaskoczenie minęło, z trudem je zamknął.

– Szwagier, nie byłeś ostatnio u Janeczki? – zapytał. – A jeśli byłeś, błagam, powiedz, co dostałeś.

– Nie, dlaczego miałbym u niej być?

– Okej, tak tylko pytam. Dobra, widzę, że sam sobie świetnie radzisz. Baw się, władco światłości. – Klepnął Szwagra w ramię i wstał z kanapy. – Gdzie Młody? – zapytał Bożenę.

Dziewczyny wciąż rznąły w karciochy.

– Nie wiem – odparła jego ślubna.

– Nie wiesz?

– A skąd mam wiedzieć?

– Bo to twój syn.

– Twój też – zripostowała, nie odrywając oczu od kart. – Więc dlaczego ty nie wiesz? Poza tym jest autonomicznym organizmem, jakbyś nie zauważył.

Pokiwał w zamyśleniu głową i ruszył do drzwi.

– Wujku, nie widziałeś mojego Zoobera? – zapytał lekko drżącym głosem Robuś. – Pułkownik zaginął w akcji...

– Przykro mi, chłopie. Ale nie martw się, pewnie w środku nocy z miejsca, w którym przebywa, dobiegnie nas jakiś rozkoszny dźwięk, który z siebie wyda, i dzięki temu go znajdziesz...

Robuś bez przekonania pokiwał głową, a Misiek poszedł do siebie. W pokoju walnął się na łóżko z książką, ale chwilę później

powieki mu opadły i zasnął tak, jak leżał: na wpół siedząc i w ubraniu. Gdy jakiś czas później się obudził, pierwszą rzeczą, jaką zobaczył była Bożena: leżała obok niego na łóżku i czytała coś.

– Babcia nie wróci ze szpitala na święta – obwieścił ponuro i ziewnął rozdzierająco.

– Co ty mówisz? – Oderwała wzrok od książki i spojrzała na niego zdumiona.

– Ona nie poszła tam z przyczyn zdrowotnych. Ona tam uciekła, rozumiesz? Zrobiła to, co coraz więcej ludzi robi na święta, wyjeżdżając na narty albo na południe Europy. Robi to, o czym zaczęliśmy rozmawiać w aucie, jak tu dojeżdżaliśmy. I ona też to zrobiła. Uciekła...

– Sugerujesz, że uciekła od nas? Czy ty coś brałeś, Wilkoński? Znowu poszedłeś do Janeczki?

Misiek spojrzał na żonę z udręką w oczach.

– Nie uciekła przed nami, kochanie. – Pokręcił głową i uśmiechnął się smutno. – Tylko przed twoim bratem... Zobacz, nie napisała w liście, co jej jest. Kiedy z nią rozmawiałaś przez telefon, nic ci nie powiedziała, własnej córce. Też nie potrafiła podać powodu, dla którego trafiła do szpitala, mimo że sugerowała, że zjawi się w Wigilię. A przed chwilą rozmawiałem z Pelagią, która poinformowała mnie, że babcia jest zdrowa jak rydz. Coś tu nie gra, nie widzisz? – Wzniósł oczy ku sufitowi i westchnął. – Jezu, on jest dokładnym przeciwieństwem sportowego mistrza świata w jakiegokolwiek dyscyplinie. Mistrz jest mistrzem dzięki inteligencji, uporowi, ćwiczeniom, sile ciała i umysłu oraz odrobinie szczęścia. A Szwagier ma z tego wyłącznie szczęście i nic poza tym.

– W sumie nie jest sportowcem, nie?

– Nie ma takiego sportu, który mógłby uprawiać, chyba że ekstremalne klikanie pilotem od telewizora albo wyczynowe



drzemanie na kanapie...

Nagle drzwi się otworzyły i pojawił się w nich Młody. Wszedł do pokoju bez słowa, położył na biurku telefon, usiadł na swoim łóżku i zaczął w milczeniu zdejmować buty.

– Witamy panicza serdecznie – zagaił Misiek.

Bożena dała mu kuksańca.

– No co? – spojrzał na nią zdziwiony.

Młody podniósł głowę.

– Coś się stało? – zapytał.

– Nie, nic, tylko od dwóch godzin zastanawiamy się z mamą, gdzie byłeś.

– U Janusza, bo miał problem z komputerem. Pogadaliśmy sobie trochę. Okazało się, że to jest całkiem do rzeczy facet. Kazał mi mówić do siebie po imieniu.

– Aha. Bo widzisz, można powiedzieć, że się martwiliśmy. – Misiek zerknął na Bożenę. – Trochę.

– O mnie?

– No tak się akurat składa, że o ciebie. – Zaczął oglądać swoje paznokcie. – W końcu, było nie było, jesteś naszym synem. I czekaj, niech policzę... Hm, jakbym nie liczył, wychodzi, że jedynym.

– Słuchajcie – sapnął Młody. – Jesteśmy zamknięci w tym samym domu. Nie ma możliwości wyjścia na zewnątrz. Nie ma netu, łączności, kablówki. Nie ma nic: ani jednego powodu, z którego mógłbym chcieć stąd zniknąć i zrobić coś głupiego, jeśli to macie na myśli. Aha, no i jeszcze jedno, skoro tak dobrze wychodzi ci liczenie, mam siedemnaście lat, tato. Siedemnaście, nie siedem. Nie możecie martwić się o bliźniaki, zamiast o mnie?

– Tata ma problem z akceptacją pewnych faktów, ale to jest jego problem, a nie twój. – Bożena odłożyła książkę na stolik nocny

i zdjęła okulary. – Dobranoc, panowie. Proszę uprzejmie się nie tłuc, dobrze?

– Jest dopiero dwudziesta pierwsza – zdziwił się Misiek.

– Nie szkodzi. Zamierzam się wreszcie wyspać.

Przykryła się kołdrą i odwróciła na bok. Młody wzruszył ramionami i powędrował do łazienki, a po chwili do uszu Miśka dobiegł szum wody spod prysznic. Wziął swoją książkę i zaczął czytać, ale opornie mu to szło, bo myślami był wciąż przy tym, co powiedziała Bożena.

Kiedy Młody wyszedł z łazienki w samych slipach, przyjrzał mu się. Teraz wyraźnie widział, że ma szersze niż kiedyś ramiona, jest smuklejszy, a mięśnie łydek prężą się przy każdym kroku. Misiek zaczął zastanawiać się, czy Jacek całował się już z dziewczyną, a może robił nawet coś więcej? Zorientował się, że tak naprawdę nie wie o swoim synu prawie nic. Zna jego kolegów, nauczycieli, wie, jak mu idzie w szkole i na treningach, ale tak naprawdę to tylko powierzchnia, pod którą może kryć się wszystko. Sam miał tajemnice przed ojcem, nie był ideałem, a teraz okazało się, że zapomniał wół, jak cielęciami był. W gonitwie życia stracił coś ważnego. Czy był jeszcze czas, żeby to odzyskać?

Młody tymczasem, nieświadomy myśli kotłujących się w głowie ojca, zrobił to samo, co matka, czyli położył się, odwrócił plecami do niego, mruknął „dobranoc” i niemal natychmiast zasnął. Misiek wbił wzrok w książkę i skupił się na tekście. Kiedy minęło kilkanaście minut, w ciszy przerywanej posapywaniem Bożeny i Młodego, wstał i podszedł do stolika, na którym leżał telefon Schwagra. Wziął swoją ładowarkę, wetknął wtyczkę do gniazda, a końcówkę włożył do telefonu. Kiedy ekran komórki zajaśniał i oświetlił twarz Miśka, ten westchnął tylko i szepnął do siebie:

– Światelko w tunelu, psia jego mać. Co za cholerny farciarz...

Wrócił do łóżka, na wszelki wypadek nastawił budzik w swoim telefonie i ściszył go, żeby sygnał nie był zbyt głośny. Miał jeszcze coś do zrobienia, ale nic nie stało na przeszkodzie, żeby przedtem chwilę się zdrzemnąć.



## 22 grudnia, godzina 23.30

W niemal całkowitej ciemności i ciszy jakaś postać skradała się korytarzem w kierunku schodów. Zeszła dwa piętra niżej, przeszła kolejnym korytarzykiem i złapała za klamkę drzwi do dolnej łazienki. Wstrzymując oddech, delikatnie nacisnęła ją i powoli uchyliła drzwi, zapuszczając żurawia do środka. Na ciemny korytarzyk spłynął wąski promyk światła, który wydostał się przez małą szparę między framugą a skrzydłem. Przymrużone oko otworzyło się nagle na całą szerokość, haust powietrza dostał się do płuc, a dłoń zasłoniła usta, powstrzymując niemy krzyk.

W łazience były dwie osoby. Jedna z nich stała tyłem do drzwi, pochylając się nad drugą, która leżała na posadzce i nie ruszała się.

– Ożeż, ja pierdziele... – stęknął zszokowany Misiek.

Postać stojąca odwróciła się nagle. Jej twarz była biała jak ściana. Twarz postaci leżącej również, ale zwłoki zwykle tak mają. Bo na posadzce ewidentnie leżały ludzkie zwłoki.

– To nie ja! – szepnął Młody. – Przysięgam!

Misiek oddychał spazmatycznie. Wszedł do łazienki i natychmiast zamknął za sobą drzwi.

– Przecież nie twierdzę, że ty. Uspokój się! – wrzasnął.

– Tato, to ty się uspokój, proszę cię.

– Ja?

– Tak, ty. Przestań krzyczeć, bo się wszyscy zlecą.

Misiek zgarbił się lekko.

– Krzyczałem? – wyszeptał.

– Tak.

– Dobra, to teraz cicho. – Popatrzył na ciało leżące u jego stóp.

Stefan leżał na plecach, z rękami wzdłuż ciała, wyprostowany jak struna, miał otwarte oczy i zaciśnięte zęby. Ściągnięte grymasem bólu wargi odsłaniały ubytki w uzębieniu, zwarte w pięści palce jakby wygrażały zabójcy, bo to, że do jego śmierci przyczyniła się tak zwana osoba trzecia, było aż nadto widoczne. Stefan wciąż ubrany był w świąteczny sweterek w renifery, lecz coś zaburzało obraz. Coś wystawało z jednego z nich i najprawdopodobniej właśnie ta rzecz była przyczyną tego, że Stefan leżał bez życia na łazienkowej posadzce.

– Nie mogę na to patrzeć. – Misiek odwrócił wzrok w stronę okna, czując, jak robi mu się lekko niedobrze. – Co temu reniferowi wystaje z zadu?

– Śrubokręt. Problem w tym, że on nie wystaje z zadu renifera, tylko ze Stefana. Zad jest przejściowy.

– Sprawdziłeś, czy jest martwy? Mam na myśli Stefana – doprecyzował na wszelki wypadek.

– A to trzeba sprawdzać? Nie widzisz, że się nie rusza i nie oddycha?

– No właśnie nie widzę, bo nie mogę na to patrzeć!

– Dobrze, tato, jest martwy. Sprawdziłem czubkiem buta.

– Czym? Chłopie, w klasie ratowniczej jesteś!

– Taa, wiesz, co grozi za nieumiejętne udzielenie pierwszej pomocy?

– Tego was uczą w pierwszej kolejności? Przepisów?

– O Jezu, żartuję. Na pierwszy rzut oka widać, że nie żyje. Jest sztywny jak manekin.

Misiek zmusił się, żeby spojrzeć na trupa chociaż na chwilę. W końcu nie wypadało panikować przy własnym synu, jeden popis już wystarczy. Nagle coś go tknęło.

– A co tu robiłeś, kolego? – zapytał podejrzliwie. – Przecież spałeś.

– Ale się obudziłem.

– Okej, zdarza się.

– Tobie też się zdarzyło, jak widzę.

– No tak. Ale co tu robiłeś?

– Nic. Co miałem robić, skoro go od razu znalazłem, a minutę później wszedłeś ty?

– Ale po co tu wszedłeś?

– No, bo...

– No bo?

– Przypiliło mnie.

– Tej łazienki mieliśmy nie używać. Mamy swoją w pokoju.

– Wiem, ale mnie przypiliło.

– Kłamiesz. – Misiek spojrzał na syna, mrużąc oczy.

– Nie kłamię. Naprawdę mnie przypiliło.

– Dobra, pogadajmy jak mężczyźni. Od kiedy?

– Co od kiedy?

– Od kiedy jarasz?

– Ja?

– W porządku, dajmy sobie spokój z wykładami. Masz szesnaście lat, prawie siedemnaście. Nie będę się wtrącał. Rób, co chcesz. Twoje zdrowie. – Pokiwał głową. – Daj mi jednego.

– S... słucham?

– Daj mi jedną fajkę.

– Co ty, tato?

– No co, ojca nie poczęstujesz?

– Ale...

– Dawaj, bo powiem matce.

– Ale, tato, nic nie rozumiesz... A ty w ogóle palisz?

– Nie, tylko jak się cholernie zdenerwuję, zwykle na budowie, ale chyba sam przyznasz, że śrubokręt wystający reniferowi z zada, to znaczy Stefanowi z brzucha jest powodem do zdenerwowania, prawda? Więc nie dyskutuj ze mną, tylko daj mi jednego!

– Dobra, już dobra! – Młody skapitulował. – Jeśli to ma cię uspokoić...

Wyciągnął z kieszeni bojówek pudełko i otworzył je powoli, jakby próbował jeszcze zyskać na czasie. Misiek zajrzał do środka i zdziwił się.

– Co ty, sam skręcasz?

– Noo...

– Ja tam podbierałem ojcu. – Wzruszył ramionami i wyjął z pudełka jednego skręta. – Carmeny palił, takie lepsze wtedy, z tych naszych polskich oczywiście. Cóż, każdy radzi sobie, jak umie, w końcu ty nie masz komu podbierać. Ogień masz?

– Mam. – Młody, wyraźnie zrezygnowany, podał ojcu zapalniczkę.

– No i pięknie. Zippo. – Misiek obejrzał ją z uznaniem i zerknął zdziwiony na syna. – A ty co, nie palisz?

– A mogę?

– Przecież cię przypiliło, nie? – zapytał. – Z ojcem nie zapalisz? Nie jesteś zdenerwowany jak ja?

– No, jestem. – Młody wyjrzał zza Miśka, zerknął na ciało Stefana, a potem przeniósł wzrok na usta ojca, z których zwisał skręt. – Jestem zdenerwowany jak cholera. Żebyś wiedział, tato. Może nawet bardziej niż ty...



Misiek podniósł kciukiem pokrywkę zapalniczki, potarł kółko i kiedy buchnął płomień, odpalił skręta. Zaciągnął się mocno i nagle oczy wyszły mu z orbit, a potem się rozkaszał. Przyłożył dłoń do ust.

– Młody... Co to jest?

– Noo...

– Znaczy, wiem, co to jest, ale skąd to masz?

– Od kolegi.

– Którego?

– Nie znasz. Zresztą co to za różnica? Chcesz mi powiedzieć, że nigdy nie paliłeś trawki?

– Paliłem, ale się nie zaciągałem – odparł automatycznie Misiek, kompletnie nie wiedząc, co dalej. – Kurwa, chłopie, jak cię z tym złapią...

– Spokojnie, nikt mnie nie złapie.

– Taki jesteś pewny?

Młody spojrzał na ojca z udręką.

– A co, wolałbyś, żebym powiedział, że tak, złapią mnie?

– Wolałbym, żebyś nie nosił tego przy sobie! – Misiek wstał i lekko uchylił okno.

Przez szparę powiało mrozem. Wydmuchał w nią dym z płuc i wrócił do Młodego.

– Mam to ukryte. Teraz wzięłem, bo mnie okropnie przypiliło – jęczał jego syn. – Nie ma netu, rozumiesz to? Nie mam kontaktu z nikim i cierpię! Poza tym nie wychodzimy z chaty, jesteśmy odcięci od świata, kto miałby to znaleźć?

– Gdzie je chowasz?

– Po co chcesz to wiedzieć? – Jacek spojrzał na ojca podejrzliwie.

– Bo jestem twoim starym. – Misiek przyjrzał się skrętowi.

– Zła odpowiedź, takich rzeczy nie mówi się starym. Ty byś swojemu powiedział?

– Ale twój stary jest lepszy niż mój. Dobra, cwaniaku, gdzie? – Dalej oglądał skręta, wręcz studiował go wzrokiem, przyznając w duchu, że Młody robi je bardzo starannie.

– U wujka w pokoju.

– Co?

– U wujka w pokoju...

Twarz Miśka rozjaśnił drapieżny uśmiech.

– Geniusz... – wyszeptał.

– Kto? – Młody nie zrozumiał. – Wujek?

– Facet, który w nocy szuka swojej komórki, przyświecając sobie latarką z komórki, ma być geniuszem? Nie, synu. Ty! – Misiek zachichotał, ale nagle mina mu zrzędła, kiedy sobie coś uświadomił. – A jak jesteś w domu?

– Mam skrytkę na podwórku. W krzakach za garażem, podziemną. Wodoszczelną.

Misiek znów spojrział na syna z podziwem.

– Moja krew! – szepnął lekko wzruszony. – Moja krew...

Przerwał mu nagły stukot dochodzący od strony drzwi. Obaj z przerażeniem zobaczyli, jak klamka opada w dół, a skrzydło rusza w ich stronę. Zdażyli na siebie popatrzeć, a potem obaj, w tej samej chwili rzucili się na drzwi.

– Zajęte! – wrzasnął Misiek, a Młody naparł na nie ramieniem.

Na pół spalone skręty wylądowały na posadzce.

– A długo jeszcze? – Dobiegł zza nich głos Szwagra.

– Długo!

– Czemu długo?

– Mam ci to wyjaśnić ze szczegółami, Szwagier? Poza tym ta łazienka jest wyłączona z użytku.

– To co ty tam robisz? – Intonacja świadczyła o tym, że jest dumny ze swojej bystrości.

– Mam ci to wyjaśnić ze szczegółami, Szwagier?

– Zaciąłeś się chyba, Michu.

Misiek popatrzył na Młodego, wyszczerzył zęby i wykonał gest podrzynania gardła.

– Ty też, czterdzieści kilka lat temu. Szwagier, daj mi w spokoju dokończyć, co? Idź na górę.

– W łazience na górze są bliźniaki.

– O tej porze?

– Co ci poradzę? Nie będę wychowywał cudzych dzieci i mówił im, o której mają iść spać.

– Oboje naraz?

– Tak. One ciągle są razem jak jakieś syjońskie. Wiesz, te takie...

– Wiem, Szwagier. Prosto z Izraela. A skoro są razem, to pewnie nie robią tego, co ja, tylko się bawią, więc chyba prościej wyprosić je stamtąd niż dyskutować ze mną, prawda?

Za drzwiami zapadła cisza, jakby Szwagier rozpoczął proces intelektualnego trawienia zagadnienia.

– Dobra... – rzucił w końcu zrezygnowany. – A te bliźnięta są z Syjamu, a nie z Izraela, przypomniało mi się. Syjamskie.

– Nie, syjamskie to są koty, Szwagier.

– Poważnie?

– Taak, wyglądają, jakby się przeczołgały pod twoim autem. Sprawdź w internecie. Jak już wygonisz bliźniaki z łazienki na górze. Na górze, rozumiesz? Na-gó-rze.

Szwagier umilkł. Odczekali jeszcze kilkanaście sekund w ciszy, wypuścili z płuc powietrze i rozluźnili się. Misiek opuścił deskę i usiadł na misce ustępowej, oparł się łokciami o kolana i ukrył twarz w dłoniach.

– Blisko było, co? – Spojrzał na Młodego, a potem podniósł z podłogi oba skręty i podał mu jednego.

Pociągał mocno, aż końcówka znów rozjarzyła się żarem i w powietrzu rozszedł się słodkawy zapach.

– Blisko – przyznał Jacek.

Misiek znów na niego spojrzał, tym razem poważnie, mimo stanu lekkiego haju.

– Wszystko fajnie, synu, tylko nie chciałbym, żeby to stało się sensem twojego życia – powiedział wolno. – Wszystko, prawie wszystko jest dla ludzi, ale po prostu nie przesadź z tym, dobra?

– Jasne, tato. Nie jestem dzieckiem. I nie palę za często. A na pewno nie w szkole.

– Nie jesteś dzieckiem, mówisz... No, nie jesteś. Trochę mi to umknęło. To nic, będę musiał pewne rzeczy przemyśleć. Na razie mamy inny problem. Dwa. Stefana i Szwagra, bo Szwagier jest problemem permanentnym.

– Czemu go tak nie lubisz? Na świecie jest wielu tępych ludzi, a wziąłeś się właśnie na niego.

Misiek spojrzał na Młodego z zaskoczeniem.

– Czemu? A to jest dobre pytanie, wiesz? – Zarżał nagle i zasłonił usta dłonią, sam zaskoczony tym odgłosem.

– To może odpowiedz sobie na nie teraz? – Jacek prawie parsknął śmiechem.

Wzrok Michała przesunął się na leżące na podłodze ciało. Gdyby ktoś jeszcze tydzień temu powiedział mu, że będzie nad trupem jakiegoś Stefana roztrząsał powody swojej antypatii do Szwagra, sądziłby, że ten ktoś przedawkował jakiś specyfik z apteczki pani Janki. Albo wypalił jednego papieroska od syna za dużo.

– No powiedz sam, czy on nie jest jak jakieś pieprzone nemezis?  
– Misiek zaciągnął się głęboko, zamknął oczy i przytrzymał dym

w płucach. – Pojawia się znienacka w najmniej oczekiwanym momencie i poraża swoją tępotą. Nie pomaga mi nawet świadomość, że to skutek wypadku. – Pokręcił w zadumie głową, przyglądając się ognikowi żaru, jakby trzymał w palcach Szwagra, a nie skręta. – Mógł zginąć, wtedy, w wojsku. Zamiast cieszyć się, że twój wuj w ogóle żyje, ja się z niego naśmiewam. Co ze mnie za ojciec, co? Jaki ja daję ci przykład, Młody?

Młody zaciągnął się, miał już pewniejszą minę, wyraźnie się wyluzował, co Miśka nawet cieszyło.

– Pamiętasz, co wyprawiał na wakacjach? – zapytał syna, parskając śmiechem.

– Jesteś pewien, że chcesz rozmawiać o wakacjach? – Młody odwrócił lekko głowę i wydmuchnął dym w stronę okna, nie spuszczając ojca z oczu.

Misiek ciężko odchorował wspólne wakacje z babcią i Szwagrem, choć winę za to jak zwykle ponosił wyłącznie Szwagier. Wina winą, ale to Misiek cierpiał teraz na syndrom „stresu poszwagrowego”. Wyprawa kamperem na Hel była katastrofą pod każdym względem, najbardziej finansowym. A także wizerunkowym, bo Misiek do dziś miał w pamięci wyraz twarzy pracownika wypożyczalni, kiedy zdawał kamper. Powinien był wysłać Szwagra, a nie wstydzić się za niego, ale bał się, że to tylko zwiększy rozmiary katastrofy, poza tym to jego podpis widniał na umowie. Kaucja przepadła, a niemała gotówka, którą miał ze sobą na pokrycie strat, nie wystarczyła, bo okazało się, że Szwagier był jak wilgoć w budynku: największe straty były tam, gdzie ich nie było widać. Oprócz zewnętrznej rolety, kibla, zamka do drzwi i gniazda zasilania zepsuł również łóżysko w obrotowym fotelu, który w związku z tym przestał być obrotowy, oraz parę innych rzeczy, których istnienie uświadomił Miśkowi facet z wypożyczalni. Kamper nadawał się do generalnego remontu, a może nawet zmiany

sposobu użytkowania, bo wypoczynek w nim był już niemożliwy. Można było nim wozić chyba tylko ekologiczne indyki, te, którym przez całe życie zapewnia się komfort, żeby umarły szczęśliwe i w związku z tym smakowały lepiej. Takie indyki nie potrzebują przecież rzeczy, które zepsuł Szwagier. No i pewnie świetnie by się dogadywali jako osobniki o zbliżonej inteligencji.

Ale tym razem było inaczej i dlatego Misiek uniósł rękę ze skrętem.

– W takiej chwili mogę. – Puścił do Młodego oko. – Pamiętasz, jak pomylił tabletki do zmywarki z tymi do toalety? Albo jak go prąd sieknął? Nie wspominając o tym cholernym wykrywaczu metali...

Młody wybuchnął śmiechem.

– Ćśśś... – Misiek sam miał ochotę zrobić to samo, ale był jeszcze na tyle sobą, żeby się powstrzymać.

– A jak wybił szybę w tym samochodzie, bo na tylnym siedzeniu było dziecko? Samo.

– No! Miało czternaście lat, a na zewnątrz było dziewiętnaście stopni i lało.

– A ten facet na wózku inwalidzkim, na plaży, ostatniego dnia? Uparł się, że pomoże mu się wykąpać. Wtedy też było dziewiętnaście stopni i lało, a wózek był elektryczny.

– Nie mógł zrozumieć, że facet chciał się tylko pogapić na morze...

Zarechotali obaj, kompletnie zapominając o Stefanie.

– Muszę ci coś powiedzieć, tato – powiedział nagle Jacek.

Michał popatrzył Młodemu w twarz i poczuł, że nadchodzi jakiś przełomowy moment w jego relacji z synem. Czuł to. Skręt był świetnym początkiem, teraz pozostawało iść za ciosem. Stefan wciąż przez zad renifera celował trzonkiem śrubokręta w sufit, więc Misiek wziął Jacka za ramię i lekko ścisnął.

– Chodź, pogapimy się na śnieg, zamiast na tego artystę. Napatrz się, w domu tego nie masz... Coś takiego zdarza się raz na... Trzydzieści pięć lat, jeśli dobrze liczę.

Podeszli do okna i oparli się łokciami o parapet, wyglądając znad matowej folii pokrywającej dolne szyby. Na twarzach czuli powiew mroźnego powietrza. Choć śnieżycą zelżała, wciąż padało dość intensywnie. Gęsto stłoczone płatki opadały powoli i z wdziękiem na białą pierzynę rozścieloną na ziemi, a jej powierzchnia skrzyła się w świetle lamp, otulając kamienie i ogrodowe sprzęty oraz tworząc obłe pagórki, z których wyrastały strzeliste pnie jodeł.

– Pięknie, co? – Misiek westchnął i pomyślał, że można by zawołać Bożenę i wspólnie, rodzinnie pooglądać spektakl natury.

Oczywiście było to wykluczone ze względu na Stefana i na to, co trzymali w palcach. A ponieważ Stefan dał już raz pokaz swoich możliwości, jeśli chodzi o zmartwychwstanie, Miśka coś tknęło. Z lekkim niepokojem podszedł do niego i kucnął, żeby sprawdzić, czy Stefan aby na pewno nie powtórzy tej sztuczki. Odwracając wzrok, z lekkim obrzydzeniem dotknął jego czoła. Było zimne.

Na szczęście czy na nieszczęście nie zanosilo się na cud, wrócił więc do syna, który przyglądał się temu z lekkim niepokojem.

– Strzeżonego Pan Bóg strzeże – wyjaśnił i znów zagapił się na śnieg. – Wiesz co, Młody? – Rozmarzył się nagle. – Wiem, że to dzielenie skóry na niedźwiedziu i tak dalej, ale może to nie byłoby takie głupie, żeby przenieść się tu i prowadzić ten interes po babci, kiedy już nadejdzie jej czas? Spłacić jakoś Szwagra, bo mam nadzieję, że babcia zostawiła jakiś testament i pozostali, mam na myśli ciotkę Pelagię i resztę, nie będą uwzględnieni w spadku... – Spojrzał synowi w twarz. – Co? Jestem jak sęp krążący nad zdychającym koniem? Ej, czekaj, przecież ty chciałeś mi coś powiedzieć.

– Noo.

Misiek roześmiał się z zakłopotaniem i delikatnie poklepał Młodego w policzek.

– Sorry, Młody. Wal.

Miał cichą nadzieję, że młodzieżową gadką przypodoba się trochę synowi. Żałosne, ale w dobie postępującej degradacji relacji międzypokoleniowych trzeba było brać, co dawali.

– Kiedy byliśmy na wakacjach, babcia w tajemnicy powiedziała mi coś o wujku.

– Nie jestem pewien, czy chcę wiedzieć – mruknął Misiek.

– To jest... Grube – powiedział ostrożnie Młody.

– Jeszcze mniej pewny jestem. Ale wal, wezmę to na klatę.

– Na pewno?

– Przecież mówię, że nie na pewno. Dawaj!

– Ten jego wypadek ze spadochronem, w wojsku...

– No?

– To fejk.

– Co?

– Ściema. Nie było żadnego wypadku, żadnej linki owiniętej wokół szyi, żadnego niedotlenienia.

– Pierdzielisz...

– To jeszcze nie wszystko. On nawet nie był w komandosach.

– Co ty gadasz?

– Był w artylerii. Kupił czerwony beret od kolegi, żeby szpanować. Laski wrywać, SLU i tak dalej.

– Eselu co?

– Szacunek Ludzi Ulicy.

– Kurwa... Czyli on jest taki tępą od urodzenia?

– Niekoniecznie. Miał wypadek w wojsku, tylko nie ze spadochronem.



– A z czym konkretnie? Z haubicą? Zajrzał do lufy, kiedy akurat strzelała? Czy wsadził do zamka swój łeb zamiast pocisku?

– Z wódką.

– Z czym? – Misiek spojrzał na syna tak, jak zwykle spoglądał na Szwagra i Młody nie poczuł się z tym dobrze, ale rozumiał ojca.

– Z wódką – wyjaśniał cierpliwie. – Z całej tej jego legendy prawdziwa jest tylko śmierć kliniczna. Wypił duszkiem butelkę wódki i prawie się przekręcił. To był jakiś zakład. Założył się z kolegą, rozumiesz? Tak powiedziała babcia.

Misiek odwrócił głowę w stronę okna powolnym, nieświadomym ruchem. Patrzył na śnieg, ale go nie widział. Nie widział nic.

W zasadzie nie dowiedział się niczego, co mogłoby zburzyć jego świat albo chociaż zmienić nastawienie względem Szwagra, a jednak to nim w jakiś sposób wstrząsnęło. Bo jeśli kiedykolwiek pojawił się w nim jakiś cień skrupułu w docinaniu Szwagrowi, to właśnie okazało się, że był bezpodstawny. Szwagrowi docinanie się po prostu należało jak koniowi obrok. Powoli odwrócił głowę w stronę Młodego.

– To teraz wiesz, czemu go tak nie lubię. I ja też to już wiem. – Jego usta rozciągnęły się w drapieźnym uśmiechu. – Podświadomie czułem, że coś jest z nim nie tak. Cholera, wyczułem gada!

– Tato – jęknął Młody. – Ale to miała być tajemnica, nie?

– Ależ oczywiście. To będzie nasza mała, słodka tajemnica. Mamy już dwie, co, synu? – Uniósł niedopałek i poklepał Młodego po ramieniu.

Ten obrzucił ojca uważnym spojrzeniem.

– Upaliłeś się – stwierdził. – Jesteś hiperaktywny i ręce ci latają. A jak już przy tym jesteśmy, to lubiłem, jak mnie poklepujesz albo czochrasz, kiedy miałem pięć lat, o ile dobrze pamiętam.

– Całkiem możliwe, że się upaliłem. – Misiek potwierdził niezbornym skinieniem ręki, konstatując, że faktycznie latają mu jak skrzydła wiatraka.

– To niedobrze, bo musimy wymyślić, co zrobić ze Stefanem.

Do Miśka dotarła nagle powaga sytuacji. A najgorsze było to, że nie istniało dobre rozwiązanie sprawy Stefana. Było nie było, Stefan Czuczwar spierdolił wszystkim święta. Misiek rozgrzeszał nawet mordercę, bo gdyby Stefan się nie pojawił w willi, nie byłoby sprawy.

– Nie możemy zepsuć sobie Wigilii – szepnął gorączkowo. – Nie psujmy jej babci, bo to może być jej ostatnia, rozumiesz? Przyjedzie z tego szpitala ze świadomością, że widzi nas ostatni raz. Będzie chciała się nami nacieszyć. Śpiewać kolędy. Nalewać barszczu. Siedzieć przy choince i rozpakowywać prezenty. A tu co? Policja, przesłuchania, prokurator... Po co nam to, Młody? Po co jej to robić? To nieludzkie! Nie mamy prawa tego robić. Facet i tak jest martwy, nic nie jest w stanie go wskrzesić.

– Podobno był martwy już wcześniej, i proszę, ożył. – Jacek wskazał ciało, a potem nagle cofnął rękę. – Mam na myśli, zanim zginął. Znaczy... Nie, no to jakieś chore jest...

– Nie ma cudów, Młody. Skoro żył teraz, mam na myśli przed godziną, to znaczy, że nie umarł. Wtedy. Umarł teraz. I już nie ożyje, zapewniam cię. Ktoś go zabił. Śrubokrętem... Co za jakiś zwyrodnialec.

– No, przed samymi świętami.

Misiek zerknął na syna.

– Nie do końca to miałem na myśli. Chodziło mi o narzędzie.

– Że tępe?

– Tak.

– Myślisz, że dla Stefana stanowiło to jakąś istotną różnicę?

– Nie wiem i on też już nam tego nie powie. Ale jakoś tak wydaje mi się, że coś ostrego byłoby bardziej humanitarne. Na przykład taki Szwagier: jest tępą i przebywanie z nim w jednym pomieszczeniu powinno się kwalifikować jako nieludzkie traktowanie.

– Tato, może zostawmy na razie wujka w spokoju, bo teraz trzeba odpowiedzieć sobie na ważne pytanie: kto zabił Stefana?

Misiek zacisnął usta.

– Musimy myśleć priorytetami, Młody, rozumiesz? Stefan nie był Matką Teresą z Kalkuty, a babcia jest nam bliska. Tak więc sprawa wykrycia mordercy schodzi na dalszy plan. Jeśli mamy poznać jego tożsamość, to tylko dzięki własnym szarym komórkom, a nie za pomocą policji i prokuratora. Ale nawet w tym przypadku niech to nie będzie priorytet. Skupmy się na świętach, a nie na trupach.

– A czy on nie będzie chciał zabić kogoś jeszcze? Tato, morderca jest wśród nas! I wychodzi na to, że jest członkiem naszej rodziny! – Młody zaczął żałować, że nie postawił się jednak ojcu i nie postarał się jakoś wybrnąć z sytuacji bez częstowania go skrętem.

– Chyba że to Janeczka – mruknął Misiek.

– Ta mikruska?

– No wiesz, Stefan Herkulesem też nie był.

– W sumie racja. Ciotka Pelagia powiedziała o nim raz „chudy piździelec”.

– Ciotka Paraplegia tak powiedziała?

– Para... co?

– Twoja mama nazywała ją tak w dzieciństwie. Nieważne.

– Słyszałem, jak wujek też tak o niej mówił. Myślałem, że znowu coś popierdzielił, a tu proszę!

– Widzisz, to akurat dziwne, że potrafił zapamiętać takie skomplikowane słowo. Ciągle mnie zaskakuje ten typ. No nic, musimy mieć oko na wszystkich. Chociaż nie sądzę, żeby mordercą

była kobieta, więc zostaje Janusz i... Neeee. – Misiek roześmiał się cicho. – Niemożliwe.

– Wujek...

– On by próbował wbić ten śrubokręt trzonkiem. Daj spokój, można go spokojnie wykluczyć.

– A dlaczego wykluczasz kobiety? Kobiety nie mordują?

– Noo... Mordują.

– Ciotka Pelagia? Zemściła się za porzucenie?

– Potrafisz to sobie wyobrazić?

– Nie, ale co to ma do rzeczy?

– Fakt. Jeszcze niedawno też nie potrafiłem sobie wyobrazić różnych rzeczy, potem one następowały i okazywało się, że to nie miało znaczenia, że były niewyobrażalne. Na przykład taki Szwagier. Albo ta śnieżycą stulecia. – Spojrzał na syna. – Dobra, ogarniamy się. Masz gumy do żucia?

– Pewnie. – Jacek wyjął z kieszeni opakowanie i poczęstował ojca.

Michał włożył ją do ust, rozgryzł i podrapał się w brew.

– Dobra, wiemy już, że wezwanie policji i ujawnienie zwłok jest wykluczone jeszcze przez co najmniej dwa dni – stwierdził. – A nawet cztery. Wigilia Wigilią, ale nie będziemy też przecież psuli sobie świąt. Ani babci.

– Ale, tato, on zacznie w końcu śmierdzieć.

– Skąd wiesz?

– Jak to skąd wiem?

– No bo ja na przykład nie wiem. Jestem budowlańcem i nie znam się na trupach, tylko na betonie i wytrzymałości materiałów budowlanych. A ty się znasz?

– O tyle, o ile. Ale to, że zacznie śmierdzieć akurat wiem. To normalne, że po śmierci z człowieka... No, wypływają płyny

eksploatacyjne i tak dalej. To nie jest przyjemne, ale tak po prostu jest.

– Masz rację, może być z tym problem. – Misiek przeczesał włosy. – Hm... Dobra, wiem! Czeka tu.

– Dokąd idziesz?

– Zobaczysz. Zamknij za mną i nie wpuszczaj nikogo. Tylko mnie. Na hasło. – Zerknął w bok, namyślając się przez chwilę, i jego wzrok padł na Stefana. – Renifery włączą do atmosfery.

– Słabe.

– Powinny być liczby i znaki specjalne?

– Nie o to chodzi. Miałem na myśli, że mało zabawne.

– Ważne, że skuteczne, bo Szwagier nie zna połowy użytych w nim słów. I pamiętaj, czym mnie poczęstowałeś. Zamknij drzwi na zasuwkę, a gdyby się znów dobijał, to po prostu się nie odzywaj.

Miśka nie było jakieś pięć minut. Kiedy zapukał do drzwi, Jacek otworzył je i wpuścił go do środka. Razem z Miśkiem w łazience pojawił się jakiś worek.

– Nawet o hasło nie zapytałeś – stwierdził z wyrzutem Misiek.

– Daj spokój, przecież wiedziałem, że to ty.

– Skąd?

– Bo byłeś cicho i nie otworzyłeś od razu drzwi, tylko się czałeś.

– Niech ci będzie.

– Rany, co to za smród? – Młody zmarszczył z obrzydzeniem nos.

– Nie smród, tylko zapach. Skumulowany i dlatego tak cię drażni.

– Co jest w tym worku?

– Żwirek dla kota. Bentonitowy o zapachu lawendy.

– Ale to nie jest zapach lawendy.

– Bo to nie żwirek tak capi.

– A co?

– To. – Misiek pokazał mu słoik, w którym były jakieś niebieskie kulki.

Wyglądały na miękkie i śliskie.

– Niebieski kawior? – zdziwił się Młody. – Taki wielki? Z wieloryba chyba.

– Sam jesteś kawior z wieloryba. Co ty masz w ogóle z biologii, co? Wieloryb to ssak.

– Ssak, ale ryba.

– Ssak, ale ssak! A to jest odświeżacz powietrza do toalet. – Misiek zerknął na etykietę. – Oceaniczna bryza. Wziąłem z górnej łazienki. Wiszę bliźniakom po dwie dychy.

– Jezu, dalej tam siedzą?

– Dalej.

– A za co dwie dychy?

– Po dwie dychy. Dwie dychy na łebka – doprecyzował Misiek. – Za to, że pozwoliły mi wejść tam podczas kąpieli.

– Dwie dychy? Nie chcesz wchodzić, kiedy ja się kąpię? Robiłbym to nawet trzy razy dziennie. Uzbierałbym na skuter.

– Młody, nie drażnij mnie.

Misiek zacisnął zęby, włożył rękę do słoika, nabrał trochę kulek i zaczął je upychać po kieszeniach ubrania Stefana. Dla pewności kilka dodatkowych wsunął pod sweterek: pod renifery i w rękawy. Potem rozwiązał supeł worka, rozsypał żwirek wokół Stefana i stopą przesunął go pod trupa. Kiedy skończył, odstawił worek pod ścianę, wyprostował się i otrzepał ręce, które nielicho śmierdziały i lekko się lepily. Niektóre z żelowych kulek musiały pęknąć i wylała się z nich owa mocno pachnąca substancja, która z oceaniczną bryzą miała tyle wspólnego, co Schwagier z rozumem.

– To pomoże na jakiś czas – stwierdził Misiek, podchodząc do umywalki.

– No i tu nie ma ogrzewania, więc Stefan nie zacznie się tak szybko rozkładać. A jak zostawimy otwarte okno, to będzie jak w chłodni.

– Skąd ty wiesz takie rzeczy?

– Jak to skąd? Z telewizji. Wszak telewizja uczy, bawi i wzrusza.

– Zobaczysz, Młody, jak będziesz taki hop do przodu, to cię z tyłu zabraknie. – Misiek odkręcił wodę i zaczął starannie myć dłonie. – Powinienem dać ci szlaban na telewizję.

– Tato...

– Albo włączyć jakąś kontrolę rodzicielską.

– Tato!

– No?

– Kłapa się podnosi.

– Jaka kłapa? – Misiek odwrócił głowę w bok i zobaczył, o czym mówi syn. – Kuźwa, zapomniałem, że tu wszystko pozatykane!

W panice zaczął zakręcać kran, ale było już za późno, bo woda przelała się przez miskę ustępową i kaskadą spłynęła na posadzkę.

– Barykaduj, żeby nie zamoczyło Stefana! – Misiek zerwał z haczyka ręcznik i rzucił go na podłogę obok ciała, żeby z materiału zrobić coś w rodzaju tamy.

Zdażył, bo woda zaczęła wsiąkać w ręcznik, nie docierając do zwłok. Misiek i Młody popatrzyli na siebie i nagle, w tej samej chwili zaczęli się opętańczo śmiać, równocześnie próbując nawzajem się powstrzymać. Po chwili uspokoili się nieco, szerokie uśmiechy zamieniły się w porozumiewawcze uśmieszki i Misiek pomyślał, że jakkolwiek dziwnie by to nie zabrzmiało, warto było przeżyć taką przygodę z synem.

Ale Młody spoważniał nagle.

– Czemu tak na mnie patrzysz? – zapytał lekko zaniepokojony Misiek.

- Możemy porozmawiać szczerze?
  - Oczywiście.
  - Na pewno?
  - O co ci chodzi? Paliliśmy przed chwilą razem maryskę. Razem knujemy, jak ukryć trupa. Znasz coś bardziej szczerzego?
  - Dobra, ale nie będziesz zły?
  - Ja?
  - No ty, ty.
  - Nie będę, obiecuję.
  - No dobra. Założmy teoretycznie, czysto teoretycznie, że przyszła mi do głowy jeszcze jedna osoba, której mogłoby zależeć na zejściu Stefana.
  - Kto taki?
  - Ty.
  - C... co?
  - Miałeś nie być zły.
  - Nie jestem. Skąd? Dlaczego miałbym być zły? Jestem tylko totalnie zaskoczony, ty mała żmijo wyhodowana we własnym łonie!
  - Jezus, tato... To tylko teoria, rozumiesz?
  - Kontrowersyjna.
  - Zdaję sobie sprawę, ale może teraz ty mi wyjaśnisz, po co tu przyszedłeś?
  - Ja?
  - Tak, ty. Dlaczego jestem tu ja, już wiesz. Ale ja nie wiem, skąd ty się tu wzięłaś.
- Misiek westchnął.
- Dobra... Śledziłem Stefana – wyznał w końcu.
  - No to ładnie go wyśledziłaś...
  - Okej, nie do końca śledziłem. Widzisz, kiedy dziś przed obiadem wróciłem na chwilę do naszego pokoju po okulary, okazało



się, że aby otworzyć drzwi, musiałem przekręcić klucz tylko raz. A wcześniej zamknąłem je na dwa razy, tego jestem pewien.

– Nikt nie przyszedł tam przed tobą? Mama? Może ja?

– Nie. Ani mama, ani ty. Zamknąłem drzwi, zeszliśmy i kilka minut później wróciłem. Przy okazji skorzystałem z łazienki. Kiedy tam wszedłem, z dolnołuka ciurkała woda.

– Chyba na tym to polega.

– Nie do końca. Jak wiesz, standard naszych pokoi nie jest najwyższy, a ich wyposażenie pamięta jeszcze czasy sprzed twojego urodzenia. Mechanizm spłuczki jest prosty, ale dość delikatny. Dźwigienki, zaworki, przelewy i inne takie. Czasem, kiedy się za mocno pociągnie za spłuczkę, coś tam wypada i trzeba poprawiać. Musiałem podnieść pokrywę i poprawić tam coś, dopiero wtedy przestało ciec.

– A co to ma wspólnego?

– Ktoś zrobił wcześniej to samo.

– To znaczy co?

– Podniósł pokrywę. Tylko niestarannie ją założył i potracił te dźwigienki, dlatego ciekło.

– Może tylko spuścił wodę i coś tam puściło?

– Wchodziłby do cudzego pokoju, żeby skorzystać z toalety?

– Przecież Stefan tłumaczył, jak to jest w jego wieku.

– Tam tłumaczył! – Misiek machnął ręką. – Chciałbym być teraz w takiej kondycji, w jakiej on jest... To znaczy był, zanim... No, wiesz...

– No, wiem. Tylko wciąż nie rozumiem, po co Stefan miałby to robić?

– Bo czegoś tam szukał.

– Czego? Rany boskie, czego można tam szukać? I co można w takim miejscu ukryć?

– Nie wiem, Młody. Mam tylko podejrzenia, że to był Stefan.

– Włamał się do nas?

– Nie włamał. Miał klucz. Zapasowy. To kolejna łazienka, którą odwiedził. Pierwsza była ta duża, gdzie spadł z drabiny. Potem w naszym pokoju, teraz ta. Czekał, czekał... – Zamyślił się nagle. – Ktoś stłukł perfumy Janusza w łazience ich pokoju. To też musiał być Stefan! I kto wie, może były inne łazienki? Alicji? W części babci i Szwagra? Dlatego chciałem sprawdzić, czy nie szperał też tutaj. I jak się okazało, szperał. Tylko nie powie nam już dlaczego. – Misiek spojrzał nieco krzywo na Młodego. – I co, przekonałem cię? Czy dalej myślisz, że to ja, żmijo jedna?

– Owszem, to, co powiedziałaś, jest dość przekonujące, choć nie do końca.

– Ożeż ty.

Młody westchnął.

– Dobra, zanim mnie wydziedziczysz, posłuchaj.

– Słucham.

– Sam mówiłeś, że Stefan cię wkurza.

– Ściśle rzecz biorąc, co innego mówiłem.

– Ściśle rzecz biorąc, że wkurwia.

– Dokładnie.

– No właśnie. To raz.

Misiek parsknął śmiechem.

– W świetle tej twojej teorii musiałbym zabić swojego szefa i kilka innych osób w pracy, a przede wszystkim twojego wujka. Jego następnie zreanimować i zabić jeszcze raz. A jednak wszyscy oni mają się dobrze, a temu głąbowi nawet raz uratowałem życie, zamiast wykorzystać okazję do pozbycia się go całkiem bezpiecznie i bez podejrzeń. Jest jakieś dwa?

– No jest.

– Dawaj. Zaczyna mi się podobać.

Młody zrobił coś dziwnego z ustami i zerknął niepewnie w bok.

– Dwa – bąknął. – Starasz się mnie przekonać, że wykrycie sprawcy jest drugorzędną sprawą.

– Bo w obecnej sytuacji jest, tłumaczyłem ci to chyba, nie? Babcia, prezenty, choinka, kolędy... Kojarzysz? – Młody pokiwał z powątpiewaniem głową, ale Misiek nie przejął się tym. – No. Masz trzy?

– Mam – jęknął Młody.

– Jedziesz! – Misiek wyszczerzył się radośnie.

– Ten śrubokręt... To właśnie nim naprawiałeś rondelek Janeczki, a potem on zniknął i wujek go wszędzie szukał.

Uśmiech zastygł Miśkowi na ustach, przyjmując formę grymasu uczestnika Familiady, którego wybrano do reprezentowania rodziny w finale. Podszedł do Stefana, kucnął przy nim, a właściwie przy jego cielesnej powłoce, i przyjrzał się ręczce śrubokręta. Na jej końcu wisiał maleńki kotek. Nie było wątpliwości. Przedostatnią rzeczą, jaką widział Franio był faktycznie rondel, zaś ostatnią – morderca Stefana. I jeśli morderca był ostrożny, a zapewne był, to na ręczce były tylko odciski palców Miśka. Misiek złapał się za głowę i ścisnął ją sobie mocno.

Cholerny śrubokręt wrócił jak koszmar. Cokolwiek się z nim stało po odłożeniu na parapet, to w końcu Misiek był ostatnią osobą, która miała go w rękach. Przynajmniej on był z nim widziany jako ostatni. A teraz miał go Stefan, niekoniecznie z własnej woli, a najgorsze było to, że ktoś użył narzędzia niezgodnie z instrukcją producenta.

Głupia sprawa zagubienia śrubokręta zrobiła się nagle śmiertelnie poważna.

– Dobra, zamykamy łazienkę, zmywamy się i siedzimy cicho – zdecydował w końcu Misiek.

– Jak chcesz ją zamknąć od zewnątrz?

– No... Fakt, nie ma klucza, a do zasuwki nie dostaniemy się od tamtej strony.

– Może wykręcić klamkę?

– O, widzisz, jak chcesz, to pomyślisz. Tylko potrzebny jest śru...

– urwał i chrząknął znacząco, a potem zerknął na Stefana. – Cholera. Jest tylko jeden. Przecież go nie wyjmę i nie włożę z powrotem tam, gdzie był?

– Na szczęście są dwa.

– Dwa?

Młody sięgnął do kieszeni spodni.

– Strażak jest przygotowany na wszystko. – Pomachał ojcu przed nosem małym niezbędnikiem Victorinoya.

– Mcgyverze ty mój! – Miśkowi zaświeciły się oczy, ale chwilę później dopadło go przygnębienie. – Cholera, gdybym wcześniej wiedział, że masz taki sprzęt przy sobie, nie musiałbym prosić Szwagra o śrubokręt i nie byłbym teraz głównym podejrzanym.

– Jakby człowiek wiedział, że się przewróci, to przedtem by się położył – rzucił filozoficznie Młody. – Kto to jest ten Mcktośtam?

– Nieważne. Wy, młodzi, tylko pierdoły o smokach teraz oglądacie, a nie porządne seriale. Dawaj. Wychodzimy.

Wyszli na korytarzyk i Misiek wyłonił z niezbędnika śrubokręcik, a następnie zdjął zaślepkę z szyldu i odkręcił go razem z klamką.

– Nie było nas tu, gdyby ktoś pytał – szepnął do Młodego, chowając żelastwo pod sweter, a potem zrobił balon z gumy, dmuchając w niego, aż pękł z cichym trzaskiem. – Nie mamy pojęcia, co się stało z klamką. Całą noc spaliśmy jak zabici.

– Zabici to nie jest dobre słowo, tato.

– Racja. W takim razie całą noc spaliśmy jak ośeski... – Misiek popatrzył na Młodego i błysnęło mu wspomnienie sprzed szesnastu

lat. – Nie, to też nie jest dobre słowo. Dobra, spaliśmy smacznie i nic nie słyszeliśmy. I tej wersji się trzymamy, choćby nie wiem co.



## 23 grudnia, godzina 09.00

– Stefan wyjechał – oznajmił uroczyście Misiek podczas śniadania.

Śniadanie było skromne. Stawili się na nim wszyscy z jednym wyjątkiem, który spoczywał w pozycji horyzontalnej piętro niżej.

– Jak to wyjechał? – Ciotka Pelagia spojrzała w okno, za którym oczywiście sypało aż niemiło.

– No chyba wyjechał. W każdym razie opuścił nas. Najprawdopodobniej. Nie ma go w pokoju, nie zszedł na śniadanie, a przecież zawsze był pierwszy i jadł za dwóch. – Michał zerknął na syna, który ze wzrokiem wbitym w kromkę chleba smarował ją serkiem śmietankowym.

Jacek wykonywał tę czynność z namaszczeniem, poświęcając jej maksimum uwagi, jakby od tego, czy kanapka jest nim równo posmarowana, zależały losy świata. Odkąd wstali, tylko raz obrzucili się porozumiewawczym wzrokiem i od tamtej pory unikali krzyżowania spojrzeń jak ognia.

– To prawda, nie widziałam go dziś – mruknęła Janeczka. – A wy?

Wszyscy pokręcili przecząco głowami.

– Wróci – stwierdziła Pelagia. – Jest jak chiński bumerang. Zawsze wraca, tylko z opóźnieniem. Czasem zajmuje mu to

czterdzieści lat.

Misiek chrząknął.

– Być może zrozumiał, że jego obecność w tym domu jest, ekhm, niepożądana i sam doszedł do wniosku, że będzie lepiej, jeśli się ulotni. W każdym razie nie ma go ani w jego pokoju, ani nigdzie indziej. Proponuję sprawdzić torebki i portfele.

– Kto powiedział, że jest niepożądana? – zapytała Bożena. – Co najwyżej ktoś dawał mu to do zrozumienia.

– Może tkwi gdzieś w zaspie koło domu? – zapytała Justyna. – Żeby biedak nie zamarznął...

– Złego diabli nie biorą – prychnęła ciotka i na te słowa Jacek rozkaszał się nagle.

– Przeziębilesz się? – zapytała Bożena, pochylając się nad nim i przykładając dłoń do jego czoła, a potem spojrzała na męża. – Musiałeś go ciągnąć po tę choinkę?

– A co, sam miałem ją przytargać?

– Nie mogłeś wziąć Janusza? – szepnęła.

– Żeby się złamał? – odszepnął. – Przecież to chuchro. Ledwo się trzyma pod ciężarem łańcucha, co będę mu dokładał.

– Dobra, zostawcie w spokoju i Januszkę, i Jacka. Ja się pytam, gdzie jest Stefan? – zapytała Pelagia.

– Co tak cioci nagle na nim zależy? – zdziwił się Misiek.

– Mnie zależy? – Zaperzyła się, bijąc się dłonią w wątlą pierś w nieszczerym geście oburzenia. – Kto cię tak okłamał, dziecko? Niech robi, co chce.

– Bardzo dobry makowiec, świetny! – oznajmił nagle Szwagier, łapiąc okruszki sypiące mu się z ust. – A czy będzie mazurek?

– Tak, Dąbrowskiego, Szwagier. Prosto z Mazur.

– Ale ja serio pytam.



– Będzie. Ale dopiero za cztery miesiące. Razem z zającem, którego tak lubisz.

– Kto wymontował klamkę w łazience na dole? – zapytała nagle Janeczka.

– Pewnie ten sam ktoś, kto latał poprzedniej nocy w zasłonce od prysznicza – stwierdził Misiek, pieprząc swoją jajecznicę.

– Przecież sam powiedziałaś przed chwilą, że Stefan wyjechał – powiedziała Bożena.

– Nie sądzę, żeby kradzież klamki była powodem jego wyjazdu czy też, powiedzmy sobie wprost, ucieczki – stwierdził. – Ale to faktycznie może się ze sobą łączyć. I nie powiedziałem, że to był Stefan.

– Ale dałeś do zrozumienia.

– Nagle wierzysz, że to był on? – Nie omieszkał wbić jej szpili.

– Skoro uciekł... – bąknęła.

– Czyli to jednak możliwe?

– Jest to zastanawiające – przyznała po chwili milczenia.

– Usłyszę jakieś przepraszam?

– A możemy porozmawiać o tym w pokoju, bez świadków? – Spojrzała na niego krzywo.

– Oczywiście – odparł wspaniałomyślnie i wrócił do jedzenia.

Temat Stefana stopniowo rozmywał się pośród innych podejmowanych przy stole. Kiedy śniadanie miało się ku końcowi, Paulinka zapytała nagle:

– Robuś pyta, czy dałoby się coś zrobić, żeby telewizor działał.

– Nieprawda, to ty pytasz! – Robuś się oburzył.

– Pytałam ciebie, a ty powiedziałaś, że trzeba zapytać dorosłych, ale się wstydzisz. To pytam w twoim imieniu – zaszczębiotała niewinnie.

– Przecież jest prąd dzięki Zdzichowi. – Ciotka się zdziwiła. – Ktoś zepsuł telewizor?

Zgodnie z koncepcją babci Malwiny w pokojach nie było telewizorów. Po pierwsze dlatego, że ściany między pokojami były dość cienkie, przez co jedni goście mogli przeszkadzać innym. Po drugie babcia wychodziła z założenia, że nie przyjeżdża się do Świeradowa-Zdroju oglądać telewizji, tylko chłonąć przyrodę. Ta koncepcja słabo sprawdzała się w czasie deszczu, więc tytułem kompromisu do dyspozycji gości przeznaczono jeden odbiornik w saloniku. I właśnie ten, zdaniem bliźniaków, był obecnie zepsuty.

– Skoro jest prąd, to powinien działać – stwierdził Janusz.

– Antena jest przysypana śniegiem – powiedział Misiek.

– To możliwe – przyznał Schwagier. – Zdarzały się już takie przypadki.

– I co wtedy robiliście?

– Czekaliśmy, aż śnieg trochę stopnieje albo go zwieje.

– To poczekamy pewnie do maja. – Misiek wzruszył ramionami, bo nie pozostawało mu nic innego.

– Można spróbować ją odśnieżyć – zaproponował Schwagier.

– Jeśli faktycznie dałbyś radę... – W oczach Justyny błysnęła wdzięczność. – Bliźniaki już wariują z nudów. Gdyby chociaż dało się wyjść na dwór.

– Dam radę – powiedział Schwagier z głębokim przekonaniem.

Misiek był raczej sceptyczny.

– Dach ma spory spadek. Jak chcesz tam wejść?

– Przez strych. Tam jest wyłaz dla kominiarzy.

– Jest mały problem, Schwagier. O ile mi wiadomo, ty nie jesteś kominiarzem.

– Nie szkodzi. W czerwonych beretach mieliśmy przeszkolenie wspinaczkowe.

– Naprawdę? – zawołał zachwycony Robuś. – Słyszałaś, Paulinka? Tego jeszcze nie robiliśmy!

Justyna wyglądała, jakby żałowała nie tylko chwili, w której zagadnęła o telewizor, ale nawet tej, w której podjęła decyzję o przyjeździe do Świeradowa-Zdroju.

– A na co się wspinaliście, Szwagier, w tych czerwonych beretach? – zapytał Misiek, mrużąc oczy.

– Tato, podasz mi sól? – wtrącił się nagle Młody.

Lekko poczerwieniały patrzył na ojca nieruchomym wzrokiem. Misiek z kamienną twarzą podał mu solniczkę.

– Rozmyśliłem się. – Młody, patrząc mu w oczy, odsunął jego rękę.

Z Miśka zeszło ciśnienie.

– Sorry, Młody. – Pochylił się i szepnął mu do ucha. – Jeszcze jestem w szoku.

– Rozumiem, ale opanuj się – odszepnął Jacek.

– Szwagier, ze wspinaczką jest jak z jazdą na rowerze, wiesz? – rzucił Misiek beztrąsco.

– Że się nie zapomina?

– Nie, że można się sp... spaść.

– A tam zaraz! Za godzinę telewizor będzie działał, zakład? – zawołał Szwagier.

– Ja się z tobą założę, Szwagier. – Teraz wzrok Miśka był lodowaty.

– O co? – Szwagier wyraźnie się rozochocił.

– Tato... – Tym razem Młody nie bawił się w subtelności i spojrzał na niego znacząco.

– O przekonanie – wycodził Misiek.

– Stoi! – Szwagier zatarł ręce. – To co, operację T jak Tele...

– Szwagier, błagam, ty nie operuj, ty po prostu to zrób, dobra?

Pelagia od jakiegoś czasu siedziała cicho wpatrzona w jeden, nieokreślony punkt na stole i nieistotne co to by nie było – i tak tego nie widziała. Zwykle wyprostowana, teraz zgrabiona i lekko osowiała nie brała udziału w dyskusji.

– Czy to naprawdę konieczne? – zapytała nagle. – A bo nam źle? Mamy co jeść i pić, mamy siebie, nie ma Stefana, po co nam telewizja?

– Dowiemy się przynajmniej, co się dzieje na świecie – powiedział Janusz. – Albo chociażby w Świeradowie. Podejrzewam, że cała Polska śledzi tę katastrofę.

– Katastrofę? Mówisz o śniegu?

– Zdaje się, że całe miasto nie ma prądu, mamó. A w mieście nie mają generatorów, tak jak my tutaj, wyżej. Ich piekarniki nie zrobią makowców, elektryczne kuchenki nie ugotują barszczu ani uszek, piece nie odpalą się, żeby ogrzać wodę na kąpiel. To jest właśnie katastrofa. Klimatyczna i nie tylko. Społeczna też.

– To co, idziemy? – Bliźniaki kręciły się na krzesłach, jakby je coś oblaźło.

– Kapkę odsapnę. – Szwagier obdarzył je dobrotliwym uśmiechem. – Nie mogę się wspinać z pełnym brzuchem, nie?

Miśka oczywiście korciło, żeby powiedzieć, że brzuch Szwagra wygląda, jakby zawsze był pełny, ale dał sobie spokój. Zauważył, że nikt nie reaguje rozbawieniem na jego docinki, a już najmniej sam Szwagier.

– Patrzcie! – teatralny szept Młodego przebił się przez ogólny szum rozmów.

Wszyscy popatrzyli w jego stronę. Stał koło okna i pokazywał coś, co było za nim.

A właściwie to, czego nie było.

– Przestało sypać! – oznajmił, gdyby ktoś nie zauważył.

Faktycznie. Chmury wciąż stanowiły szczelną pokrywę, przez którą nie przebijał się ani jeden promyk słońca, nie wspominając o choćby maleńkiej plamce błękitu, ale przynajmniej śnieg przestał padać. Widok zapierał dech w piersiach.

– Idziemy na dwór! – wrzasnęły bliźniaki i wszyscy rzucili się w kierunku schodów, żeby się przebrać w swoich pokojach.

W Willi Malwie pojawiła się nadzieja. Janeczka ze wzruszeniem patrzyła na stadko, które traktowała przecież jak swoją rodzinę.

– Tylko nie wypuście, proszę, Krakersa, bo jeszcze biedactwo zamarznie – powiedziała odruchowo i wróciła do kuchni.



## 23 grudnia, godzina 10.30

– To co, będzie jakieś przepraszam? – zapytał Misiek, zerkając na Bożenę.

Przebierali się po śniadaniu, żeby wyjść na zewnątrz. Misiek miał asekurować Szwagra podczas wyprawy na dach, bo jako budowlaniec skaczący po rusztowaniach miał wprawę i nie miał lęku wysokości, a Janusz właśnie na odwrót. Młody był za młody, w związku z czym nie było innego wyjścia: kandydat został tylko jeden.

– Dopominanie się o przeprosiny jest takie niemęskie – stwierdziła z niesmakiem Bożena.

– Wycofujesz się. Przeszły ci wyrzuty sumienia, co?

– Co mi przeszło?

– Wyrzuty sumienia. A co to było przy śniadaniu?

– Przyznałam się do błędu. I to też nie do końca, bo przecież tak naprawdę nie ma pewności, czy Stefan rzeczywiście uciekł.

Miśka lekko zmroziło.

– Co sugerujesz? – zapytał trochę zbyt wysokim głosem.

– Nic. – Bożena wydeła lekceważąco usta. – Nie spotkało go tu zbyt miłe przyjęcie, mówiłam ci. A wykręcenie klamki z drzwi nie musi być jeszcze powodem do oskarżania Stefana o najcięższe zbrodnie.

– Nikt go nie oskarża o żadne zbrodnie. – Miśkowi dopiero teraz przyszło do głowy, co będzie, jeśli w końcu ktoś wpadnie na to, że do dolnej łazienki można wejść, używając innej klamki albo nawet zwykłego śrubokrętu. – A tym bardziej najcięższe. Dobrze, dajmy spokój tej dyskusji, to niczego dobrego nie przyniesie. Stefan zniknął i już.

Skończyli się przebierać już w milczeniu i zeszli na dół, gdzie założyli kurtki. Oczywiście kiedy tylko otworzyły się drzwi, Krakers niecierpliwie skorzystał z okazji i czmychnął między nogami Miśka na dwór.

– Wypuściłeś kota – stwierdziła Bożena. – A Janeczka prosiła.

– Sam się wypuścił. Miałem go łapać? – Misiek pokazał jej dłoń z lekko zaczerwienionym skaleczeniem. – Spokojnie, jak mu dupsko zmarznie, to wróci.

Na zewnątrz było pięknie. Szwagier, Waliszowie z bliźniakami i Alicja oraz Młody stali przed domem i podziwiali panoramę gór i Świeradowa-Zdroju. Ciotka i Janeczka zostały w domu. Janeczka miała takie widoki na co dzień, choć może nie aż tak białe, natomiast Pelagia wyraźnie straciła werwę. Zresztą w jej wieku wyjście na zewnątrz w takich warunkach mogło się skończyć niewesoło.

– Takiego widoku nie zobaczymy przez następne trzydzieści lat – stwierdził nie bez racji Janusz.

– I dobrze – mruknął Misiek. – Co za dużo, to niezdrowo. Są pewne granice, no nie, Szwagier? – Pociągnął nosem i do środka dostało się mroźne powietrze.

– Mówisz o tej z Czechami? – Szwagier zmarszczył brwi.

Granica z Czechami była jakieś piętnaście kilometrów od Świeradowa-Zdroju.

– Też. Dobra, co z tą anteną? – Misiek odwrócił się, zadarł głowę i spojrzał na dach, który pokrywała gruba warstwa śniegu.



Gdyby willa była o kondygnację niższa, to wyglądałaby jak monstrualne igloo.

– Jest gdzieś tam, koło komina. – Szwagier wskazał nieokreślone miejsce na białej, obłej czapie.

– Świetnie, ale komina też nie widać. Chyba że to ten mały wzgórek po prawej. Tam musi być dziura, skoro spaliny wylatują. A wylatują, bo piec nie sygnalizuje awarii.

– To sprawdźcie przy okazji porządnie ten komin – poprosiła Bożena. – Janeczka obiecała, że w Wigilię rozpali w kominku.

Misiek pokiwał głową. Był skupiony i miał złe przeczucia. Wyjście na dach ze Szwagrem było jak pływanie w basenie z piraniami albo wejście do klatki dla lwów. Było pewne, że coś się stanie. Kwestią niejasną było tylko, czy wyjdzie się z tej przygody żywy czy tylko poturbowany.

Jakiś czas trwało znalezienie ekwipunku. W końcu wyposażeni w dwie długie liny członkowie wyprawy ruszyli na strych, by zdobyć może nie tyle szczyt, co uznanie w oczach bliźniaków. Na strychu było ciemno, bo świetliki umieszczone w skośnej połaci dachu były przysypane grubą warstwą śniegu. Szwagier podszedł do jednego z nich, wyraźnie większego od pozostałych, i spróbował go otworzyć. Ponieważ otwierał się do góry, wystąpiły pewne trudności, pierwsze z wielu, których Misiek się spodziewał. Mimo to bez słowa podszedł do niego, zaparł się mocno nogami i naparł ramieniem.

– Dawaj, Szwagier, użyj tej swojej legendarnej siły.

– To moja siła jest legendarna? – stęknął Szwagier.

– Nie tylko siła...

– A co jeszcze?

– Ciśnij, Szwagier, ciśnij.

Świetlik poddał się w końcu i uniósł, co skończyło się małą lawiną. Niestety większość śniegu znalazła się za kołnierzem kurtki

Miśka, który akurat stanął na drodze jej zejścia. Zaciskając zęby, zdejmował z siebie odzież, walcząc z czasem, bo śnieg topił się na skórze pleców, a strużka lodowatej wody spływała wzdłuż kręgosłupa coraz niżej i niżej. Zdążył. Oddychając ciężko, wycierał się polarową bluzą, a Szwagier przyglądał się temu z rozbawieniem.

*Śmieję się, śmieję – pomyślał Misiek. – To ty zaraz będziesz mroził tyłek na dachu, a nie ja...*

Kiedy ubrał się z powrotem, wyjrzał przez okienko i zlustrował dach, który wyglądał jak narciarski stok – i to czarna trasa. Nachylenie połaci było spore, choć nieco niżej wypłaszczały się trochę, jednak sytuację utrudniały dodatkowo liczne wykusze i lukarny, które trzeba było ominąć, by dostać się do celu. Szwagier miał ciężkie zadanie.

– Zawiążuję ci w pasie dwie liny. Komin jest jakieś dziesięć metrów stąd. Wychodzisz na dach, a ja cię asekurowę pierwszą liną. Kiedy już będziesz przy kominie, przywiążesz do niego drugą linę i dopiero wtedy odwiążujesz tę, którą cię asekurowę, jasne? Nie na odwrót. – Misiek patrzył na Szwagra, czy ogarnął, ale jak zwykle z jego twarzy nie dało się wyczytać niczego.

Taka procedura stanowiła konieczność, gdyż liny były za krótkie, zresztą antena była za kalenicą, zbyt daleko, aby sprawę dało się bezpiecznie załatwić jedną liną. Powrót do wyłazu miał być procedurą dokładnie odwrotną do tej wyjściowej, którą pod okiem Miśka już dwie minuty później realizował Szwagier. I, o dziwo, nie pomylił kolejności, choć musiał wcześniej odkopać komin ze śniegu, a takie nieoczekiwane zaburzenia planu zwykle powodowały u niego spadek koncentracji.

– Przywiązałeś się? – Misiek nie omieszkał się upewnić, na wszelki wypadek.

– Tak.

– Na pewno?

– Na pewno.

– Zrobiłeś porządny węzeł?

– Oczywiście, Michu, za kogo ty mnie masz?

– Nie chcesz wiedzieć, Szwagier – mruknął do siebie Misiek, patrząc, jak Szwagier ostrożnie brnie przez śnieg. I nagle rozległo się jakieś chrupnięcie, a część pokrywy śnieżnej jakby się zapadła, i to razem ze Szwagrem. Wystawał z zapadliska od pasa w górę, machając rękami.

– Spokojnie, Szwagier, nie szarp się, bo pogorszysz sytuację! – ostrzegł go i Szwagier znieruchomiał.

– Co się stało? – Bożena zaniepokoiła się, wołając z dołu. – Coś tam brzęczy z domu!

Misiek obserwował beznamiętnie, jak Szwagier wyciąga nogę z dziury. On już wiedział, co się stało.

– Później! – zawołał do niej uspokajająco. – To pewnie pani Janeczka stuka garami w kuchni!

Nie było sensu denerwować teraz dziewczyn, choć i tak w każdej chwili spodziewał się, że z willi wyleci z krzykiem Janeczka. Jeśli wciąż była w kuchni, mieli jeszcze trochę czasu, ale i tak prawda była nie do ukrycia, bo szczątki świetlika leżały teraz zapewne rozrzucone po całej sali jadalnej. Odkrycie katastrofy było kwestią czasu i to zapewne niedługiego, choć były i jasne strony sytuacji. Bo Szwagier mógł przecież wpaść do środka razem ze świetlikiem, na który nadepnął, a jednak ustał niczym Stoch na zeskoku w Planicy.

A teraz wygrzebywał się z dziury z taką samą miną, jaką miał Misiek, kiedy zaskoczył go duch puszczy – Świtała. Kiedy już się wygrzebał, stanął nad nią i popatrzył zmartwiony na stół osiem metrów niżej.

– Zostaw to teraz, Szwagier. – Misiek westchnął. – Odśnież antenę i spadamy stąd.

Dopiero po chwili zorientował się, że użył niezbyt szczęśliwego sformułowania.

Szwagier obejrzał się, spojrzął na niego i pokiwał smętnie głową.

– Ale się narobiło...

Misiek chętnie ukryłby twarz w dłoniach, ale potrzebował ich do przytrzymywania liny. Na jej końcu była przyczyna wszelakich klęsk i katastrof, a puszczenie jej było kuszącą perspektywą, ale przecież na pewno nigdy by tego nie zrobił.

Prawie na pewno.

– Dobra, idź, szkoda czasu, pewnie zaraz znowu zaczniesz sypać.

Szwagier uniósł w górę kciuk i po chwili zniknął za kalenicą, a wtedy Misiek uświadomił sobie słaby punkt planu.

Komunikacja.

– Szwagier!!! – wydarł się.

Z drugiej strony dachu dobiegła go odpowiedź, ale nie był w stanie jej zrozumieć.

– Co mówi? – krzyknął do Bożeny.

– Że nie słyszy, co do niego mówisz!

– A widzisz go?

– Nie, z tej pozycji nie! Tylko słyszę!

Misiek zmełł pod nosem przekleństwo. Nie pomyślał o wszystkim, bo skupiał się również na tym, co miał zrobić Szwagier, ale było za późno na żale i wyrzuty. Czekał w milczeniu, bo co innego miał robić, podziwiając przy okazji panoramę Izerów i Świeradowa-Zdroju. Panowała cudowna cisza, bo wszelkie dźwięki tłumiał śnieg, ponadto prawie nie było dźwięków, bo nic nie poruszało się po drogach. Nagle usłyszał jakieś wołanie.

– Co on tam wrzeszczy? – zapytał głośno Bożeny.

- Że jak odśnieżał antenę, to ją przekrzywił!
- Nie wierzę – sapnął. – To się nie dzieje naprawdę.

Ale zaklinalenie rzeczywistości zdało się na nic. To się działo i Misiek musiał stanąć z tym twarzą w twarz. Nie było innego sposobu na załatwienie sprawy, poza wyjściem na ten cholerny dach. Musiał dotrzeć do Szwagra, zadzwonić do Młodego i poprosić go, żeby usiadł przed telewizorem z telefonem, a potem na bieżąco korygować ustawienie anteny na podstawie jego wytycznych. Zacisnął zęby i wyszedł na zewnątrz. Bardzo uważał, na szczęście nie miał lęku wysokości ani przestrzeni, za to bardzo rozwinięty zmysł równowagi. Jednak świadomość, że na nieznanym gruncie czyhają pułapki, sprawiała, że czuł uderzenia gorąca.

– Co ty robisz? – wrzasnęła Bożena, widząc go balansującego na kalenicy.

– A jak myślisz? – odwrzasnął.

– Zabijesz się, człowieku! Złaż stamtąd zaraz, słyszysz?

– Nie pomagasz mi! – zawołał. – Jak nie przestaniesz krzyczeć, to się zdekoncentruję i spadnę!

Zobaczył kątem oka, że Bożena zasłania sobie usta dłonią, a Justyna podchodzi do niej i obejmuje ją. Jedno było pewne: kiedy już zejdzie z tego dachu, będzie miał przerąbane jak w ruskim czołgu. Skupił się mocniej, ominął dziurę w świetliku, do której wsypano się całkiem sporo śniegu, potem pokonał kalenicę łączącą dwie połacie dachu i wreszcie dotarł do Szwagra.

– Powiedz mu, że wracam po instrukcje! – wrzasnął Szwagier do Bożeny.

– Nie drzyj się, instrukcje przysły do ciebie – warknął Misiek, kucając obok niego.

– Michu, jak tu dotarłeś?

– Zostawiłeś trop, wiesz?

– Nie masz zabezpieczenia – zauważył Szwagier.

– Co ty nie powiesz? – Oczy Miśka zwęziły się niebezpiecznie. – Dobra, cicho teraz.

Wyciągnął telefon i wybrał numer Młodego. Kiedy wstał, okazało się, że może widzieć wszystkich zgromadzonych na dole.

– Młody, misja specjalna jest. Idź do saloniku i włącz telewizor. My będziemy ustawiać antenę, a ty będziesz mówił jak z obrazem, jasne?

– Jasne, tato. – Misiek zobaczył go, jak z telefonem przy uchu macha mu ręką. – Aleś nas wystraszył. Mama się prawie popłakała.

– Potem z nią porozmawiam. Idź, bo mi dupsko przymarza do dachu.

Młody parsknął śmiechem, odsunął telefon od ucha i po chwili zniknął Miśkowi z pola widzenia. Została tylko Bożena. Kiedy zorientowała się, że na nią patrzy, zaczęła wygrażać mu pięścią, więc kucnął szybko, znikając jej z oczu. Patrząc na plecy Szwagra, który chyba zasnął, bo przestał się ruszać, Misiek czekał z przyłożonym do ucha telefonem, aż Młody zasiądzie przed telewizorem.

– Już jestem. – Usłyszał nagle jego głos, więc klepnął Szwagra w plecy.

Szwagier drgnął lekko i znowu stężał.

– Obecny – szczechnął.

– To do roboty – zakomenderował Misiek. – Daję na głośnomówiący. Nawijaj, Młody.

– Nie ma obrazu, w ogóle.

Ramiona Szwagra zaczęły się lekko ruszać.

– Dobra, coś jest, ale to tylko śnieg. Znaczy obraz śnieży.

– Jasne – mruknął Misiek.

Szwagier pracowicie nastawiał antenę.

– Nie poruszyłem jej bardzo mocno, więc zaraz powinno być okej – stęknął.

– Śnieży, śnieży, śnieży – meldował obojętnie Młody.

– Nie możesz używać innego sformułowania? – zapytał Misiek.

– Nie znam innego, które w równie adekwatny sposób oddawałoby to, co się dzieje na ekranie – zripostował Młody. – Śnieży, śnieży, o!

– Jest?

– Przez sekundę. Niech wujek cofnie antenę do tej pozycji, w której była przed chwilą.

– Przed jaką chwilą? – zapytał Szwagier.

– Zapomnienia – odpowiedział Misiek, wzdychając. – Obróć talerz lekko w lewo... W lewo!

– Moje lewo czy twoje?

– Szwagier, rany boskie, jesteśmy w tej samej pozycji względem stron świata.

– Ale ja cię nie widzę, Michu, bo jesteś z tyłu.

– Ale ja widzę ciebie, bo jestem tuż za twoimi plecami. Więc twoje lewo mam na myśli, tak?

– Dobra, dobra, nie denerwuj się już... – Szwagier szarpnął talerz i ten został mu nagle w rękach.

Ale najgorsze dopiero miało nastąpić. Bo kiedy obejrzał się na Miśka, jakby przywoływał go na świadka swojego pecha, któremu wszak wybitnie pomagał, stracił równowagę i runął jak długi. Ponieważ talerz anteny trzymał niczym tarczę przed sobą, ona upadła pierwsza, a Szwagier prosto na nią, po czym nastąpiło to, co musiało nastąpić, bo praw fizyki nie da się oszukać. Misiek zobaczył tylko jego rozszerzone strachem oczy i Szwagier zaczął się zsuwać z dachu, zostawiając za sobą coś na kształt toru bobslejowego, prowadzącego ku krawędzi dachu.

– Spokojnie! – Misiek zdążył krzyknąć. – Lina zaraz cię zatrzyma! Ledwo skończył to mówić, lina napięła się i nagle jej koniec, ten, który powinien być przywiązany do komina, śmignął tuż koło Miśka i podążył za resztą, niknąc po chwili za okapem. Oniemiały ze zdziwienia nawet nie próbował jej chwytać i może to dobrze, bo najprawdopodobniej powiększyłby tym nieprzemyślanym ruchem liczbę ofiar. Po Szwagrze, antenie i linie została tylko rynna, a z dołu rozległ się krzyk kilku osób.

Najgłośniej krzyczała Bożena.

– Kurwa... – szepnął ze zgrozą Misiek.

Przebiegł po kalenicy w stronę wyłazu, wpadł do środka głową w dół, lądując na rękach i robiąc idealny przewrót w przód, za który w trzeciej klasie na wuefie dostałby ocenę celującą, a po chwili rozległo się dudnienie butów, kiedy w panice zbiegał po drewnianych schodach na dół. Przed domem znalazł się chyba szybciej, niż gdyby wybrał tę samą drogę, co Szwagier.

W śniegu były dwie dziury. Jedna miała kształt idealnego koła i wystawał z niej konwerter, z drugiej zaś, dużo głębszej i o kształcie człowieka spadającego z dachu, nie wystawało nic, za to wydobywał się jakiś dźwięk.

– Wszystko w porządku! Nic mi nie jest! Chyba! – Głos Szwagra brzmiał głucho, jakby dochodził z dużej głębokości.

I tak było. Pryzma śniegu nawianego pod ścianę przez wiatr była naprawdę wielka, a gdzieś w jej środku tkwił Szwagier.

– Trzeba go wykopać i wyciągnąć z tej jamy – stwierdził Janusz to, co wszyscy i tak wiedzieli.

Misiek popatrzył łakomie na jego łańcuch, widoczny spod rozpiętej pod szyją kurtki. Przydałby się.

– Trzeba zrobić dojście, korytarz ratunkowy! – Alicja się gorączkowała.



– Zanim zamarznie – dodała Justyna.

– Nie zamarznie. – Misiek pokręcił głową.

– A co ty specjalista nagle taki się zrobiłeś? – zapytała Bożena. – Nauki pobierałeś medyczne, wszelakie, że znasz się na zamarzaniu?

– To nie nauki. To doświadczenie empiryczne. – Misiek spojrzał na nią zmęczonym wzrokiem. – Bliźniaki, zamiast robić wujka, odkopujemy bałwana... Przepraszam, na odwrót. – Zerknął na Bożenę. – To nie specjalnie, samo mi się...

– Kop, doktorze Wilkoński – wycedziła zimno. – Kop albo ja cię kopnę.

Rad nie rad, Misiek schylił się i razem z bliźniakami zaczął wkopywać się w zbocze.

– Wujku, jak tam? – zawołała Paulinka, pracowicie przebierając rączkami, aż różowe rękawiczki rozmazywały się w oczach.

– A całkiem miło, nawet wygodnie tu mam – zahuczał Szwagier. – Trochę tylko mnie boli noga, chyba na niej leżę. Widzę swój but, jest koło mojego prawego ucha! O, razem z całą nogą!

– Zaraz będziemy, Szwagier, trzymaj się!

– Nigdzie się nie wybieram! Przepraszam, pomyłka, lewego!

Ekipa poszukiwawcza dotarła do Szwagra minutę później. Misiek był zgrzany, dzieciaki też, ale za to szczęśliwe. Przynajmniej one. Misiek wyłuskał oblepionego śniegiem Szwagra z jamy i przeciągnął go w stronę dziewczyn i Janusza.

– Obejrzyj go – wysapał do Justyny. – Bo chyba nastąpił cud i nic mu nie jest. – Spojrzał na Szwagra leżącego u jego stóp i zapytał: – Jak tyś zawiązał tę linę, Szwagier? Zdradzisz mi tę tajemnicę?

– Jak to jak? Na kokardkę.

– Takich węzłów uczą instruktorzy wspinaczki wysokogórskiej? Bo myślałem, że przedszkolanki.

Młody chrząknął w zwiniętą dłoń i Misiek zamilkł, pozwalając Justynie zająć się Szwagrem. Obmacała mu nogę, na którą narzekał, potem podwinęła nogawkę i zaczęła ją uważnie oglądać.

– Nie mogłeś sprawdzić tego węzła, Michu? – zapytała cicho Bożena.

– Nie mam lunet w oczach. Widziałem tylko, jak zmienia liny i wyglądało na to, że nawet wie, co robi. Wpadłabyś na to, że można zawiązać linę, od której zależy twoje życie na kokardkę?

– Facet ma pecha do lin. Najpierw linka od spadochronu, teraz ta... – Bożena pokręciła głową, a Misiek spojrzał na Młodego, który stał obok, wszystko słyszał i teraz tylko lekko zmarszczył nos w porozumiewawczym zapewne grymasie.

– Straszego pecha ma – przyznał po chwili.

– Jest spuchnięta w kostce, ale to nie wygląda na złamanie – oznajmiła Justyna. – Na wszelki wypadek musisz się oszczędzać, Szwagier. Zanieście go do domu, chłopaki. – Spojrzała na Miśka i Janusza.

– Co? – Janusz struchlał lekko. – We dwóch?

– Trzech – powiedział Młody grubym głosem i wypiął klatę.

– Może niech sam pokica na jednej nodze, a my go będziemy podtrzymywać? – zaproponował Misiek.

– Tak, dojdę sam – stwierdził Szwagier ku niewysłowionej uldze Janusza i Miśka. – Tylko sprawdźcie, co z anteną. Trzeba po nią pójść, chyba leży gdzieś obok, bo się rozdzieliliśmy podczas lotu.

– Tak było – potwierdził Robuś, wskazując dziurę dalej.

Sytuacja z anteną była o wiele łatwiejsza niż w przypadku Szwagra, bo wystarczyło pójść po nią korytarzem ratunkowym wykopanym wcześniej i po prostu sięgnąć, co też uczynił Misiek. Specjalnie robił to powoli, widząc, że Janusz z Justyną

odprowadzają Schwagra do domu. Kiedy zniknęli w środku, przyniósł ją, otrzepał ze śniegu i położył, też na śniegu, ale już udeptanym.

– No i po telewizji. – Westchnął.

Młody pochylił się nad anteną. Wyglądał trochę jak naukowiec sprawdzający miejsce katastrofy latającego spodka. Oglądając każdą część, mrucał coś do siebie, a Misiek patrzył na niego z podziwem i czuł ojcowską dumę.

– Kabel chyba się tylko wysunął, a nie zerwał – powiedział w końcu Młody. – Czasza nie jest skrzywiona, nie ma żadnych wgnieceń, wysięgnik też nie, konwerter nie wygląda na uszkodzony. Jego nachylenie ustawisz na podstawie skali, która jest na nim. Kąt od południa sprawdzisz, korzystając z kompasu w telefonie. Instrukcja montażu z wartościami tych kątów jest w internecie. Przez telefon będę ci mówił, czy jest okej. Skoro nie uczestniczy już w tym wujek, to powinno pójść szybko.

– Cieszę się, że was mam. – Misiek poczuł, że w gardle rośnie mu miękka kula i ciężko mu przełknąć ślinę. – Jesteście moim lekarstwem, antidotum, opoką...

– No już, tato, ludzie patrzą, daj spokój – bąknął Młody, strzelając oczami na boki.

– Tu sami swoi, Młody. – Pociągnął nosem. – No nic, do roboty. Idziemy.

Podniósł antenę i ruszył szybko w kierunku domu. W drzwiach wykonał trudną operację przeniesienia jej przez nie: skoro już udało się uniknąć zniszczenia przy upadku, szkoda by było zrobić to głupim uderzeniem o framugę. Starannie omijając wszelkie przeszkody, Misiek dotarł wreszcie na strych, prosząc wcześniej Młodego, żeby zasiadł przed telewizorem i był w pogotowiu. Światlik został otwarty, bo zamknięcie go było ostatnią rzeczą, o jakiej myślał Misiek, biegnąc do Schwagra. Teraz pogratulował sobie w myślach

tego ruchu. Podszedł do niego, ostrożnie włożył w okienko talerz anteny i nagle usłyszał stuk oraz poczuł, że coś go blokuje. Spróbował pod innym kątem i znowu wydarzyło się to samo. Misiek odłożył talerz na podłogę, spojrzął na niego, potem na okienko i dotarła do niego straszna, bezlitosna prawda. Przygryzając wargi, wyciągnął telefon i wybrał numer Bożeny.

– Co tam? – Usłyszał, kiedy odebrała.

– Masz tam może tego geniusza gdzieś koło siebie?

– Mam, a co? – Zaniepokoiła się lekko.

– Daj mi go, proszę, do telefonu.

– Co tam, Michu? – Usłyszał po chwili przerwy głos Szwagra. – Słuchaj, noga w porządku, trochę spu...

Misiek był bezlitosny.

– Byłeś przy tym, jak montowali antenę? – warknął, przerywając mu.

– No pewnie! Pomagałem im, jak umiałem, dopóki nie poprosili, żebym poszedł po piwo. Chcieli takie ciemne, irlandzkie i musiałem jechać aż do centrum, bo mówili, że tylko tam jest, a o fachowca trzeba przecież dbać. I wyobraź sobie, nie mogłem odpalić bumy, więc pojechałem rowerem i z półtorej godziny mnie nie było. Jak wróciłem, to ich już też nie było. Mama mówiła, że chwilę wcześniej skończyli, no i musiałem sam to piwo wypić. A wiesz, co było najdziwniejsze? W warsztacie, w rurze wydechowej znaleźli mi potem kłęb kabla, takiego samego, jaki jest przy antenie. Ktoś go tam wcisnął i zapchał dokumentnie wydech, wyobrażasz to sobie?

– Skończyłeś już? – Misiek otworzył oczy.

– No. Ale niesamowita historia, co?

– W tej całej historii interesuje mnie tylko to, czy wiesz, jak oni wynieśli to cholerstwo na dach?

– Wiem.

– Jak?

– Wciągnęli z zewnątrz, bo talerz nie mieścił się w wylazie.

Miśkowi zaczęła drgać prawa powieka.

– Nie mogłeś mi tego powiedzieć? – Ostatkiem sił trzymał nerwy na wodzy.

– Przecież właśnie mówię! – Szwagier się zdziwił.

– Wcześniej!

– Przecież nie pytałeś.

– Daj mi Bożenę – warknął.

– Halo? – Kiedy usłyszał w telefonie jej głos, prawie się rozkleił.

– Powiedz, że on mi się śni – poprosił. – Błagam, niech ja się obudzę!

– Znieś to na dół i zostaw przed domem, wejdź na dach i spuść z niego linę. Zwiążemy ją wokół talerza i zrobisz to, co tamta ekipa – powiedziała spokojnie. – Wciągniesz na dach, zamontujesz, ustawisz z pomocą Jacka i już. Chyba nie chcesz zawieść bliźniaków?

Jej opanowanie podziało na Miśka trzeźwiąco. Rozłączył się, schował telefon, wziął antenę i zszedł z nią na dół. Minął w drzwiach Bożenę, która mu je otworzyła, wyszedł przed dom i położył całe ustrojstwo w jamie, w której wcześniej był Szwagier, tuż pod okapem. Młody był już na miejscu.

– Wiesz, co robić – stwierdził Misiek.

– Wiem.

– Nawet nie masz pojęcia, jak się cieszę. – Westchnął i wrócił na strych.

Cała impreza zaczynała się niepokojąco przeciągać w czasie. Na strychu związał ze sobą dwie liny, którymi wcześniej na raty ubezpieczał się Szwagier, wylazł ostrożnie na dach, ciesząc się, że żony nie ma na dole i spuścił koniec liny śnieżną rynną, którą

Szwagier wyrył swoją osobą. Misiek modlił się przy tym gorąco, żeby ich długość była wystarczająca. Głośne „Mam!” Młodego, dobiegające z dołu, było dla jego uszu jak najcudowniejsza muzyka.

– Przywiązuj! – zawołał.

– Już! – krzyknął Młody po chwili. – Tylko uważaj, żeby nie zahaczyć konwerterem o okap! Będę ci mówił, kiedy ciągnąć!

Podziw i szacunek do syna rósł w Miśku z każdą minutą. Z tym facetem można było konie kraść, nie mówiąc o znajdowaniu trupów w łazience. Wzruszony ciągnął powoli linę, aż usłyszał jego głos:

– Chwila... Teraz!

Pociągnął i talerz anteny wychynął zza krawędzi okapu. Był w domu. Teraz pozostało tylko zamontować antenę, ustawić ją z pomocą Młodego i napić się naleweczki od dziada z Czerniawy. A potem zapomnieć chociaż na chwilę o antenie, Szwagrze, martwym Stefanie w łazience i całych tych nieszczęsnych świętach.

– Idę do saloniku! – Usłyszał z dołu i przystąpił do montażu.

Osadzenie anteny na sztycy było proste, bo Szwagier po prostu wysunął ją jakoś i nie trzeba było niczego przykręcać. Problem był tylko z ponownym nakierowaniem na satelitę. Misiek zdjął rękawicę, wyciągnął telefon i przycupnąwszy na kalenicy, zaczął szukać danych w internecie. Po minucie opuszka wskazującego palca zlodowaciała mu na amen i Misiek nie był w stanie dotykać nią wyświetlacza, który po prostu nie reagował. Ssanie palca pomagało tylko na chwilę, bo wilgoć zamarzała niemal od razu, a chuchanie przynosiło tylko nieco lepsze efekty. Misiek stracił rachubę czasu, który stanął w miejscu. Kilka minut później nadludzkim wysiłkiem ustawił kąty i czując się jak Kukuczka na szczycie Everestu, zadzwonił do Młodego.

– I jak? – zapytał z duszą na ramieniu.

– Co mam ci powiedzieć... – Misiek zamknął oczy, szykując się na kolejną godzinę spędzoną na dachu. – Jesteś mistrzem świata, tato!

Misiek wstał gwałtownie i wydał z siebie straszliwy wrzask, którym uwolnił wszystkie emocje skumulowane od kilku, a może nawet kilkunastu godzin. Tylko zdrowy rozsądek nie pozwolił mu na dziki taniec radości. Coś wreszcie poszło dobrze.

– Tato, tato! – Z telefonu, który wciąż ścisnął w ręku dobiegł go głos Młodego.

– Co? – wydyszał uchachany.

– Co się stało?

– Nic, co miało się stać? Cieszę się, po prostu.

– Aha. – Misiek usłyszał, że Młody mówi coś do kogoś w pokoju, a potem znów się odezwał: – Mama powiedziała, że masz przerąbane, jak już zejdziesz z tego dachu.

Misiek oklapł. Rozłączył się, pokręcił głową w zadumie nad istotą różnic między kobietą a mężczyzną, a potem spojrzął przed siebie i przez kilka minut w zachwycie kontemplował widok, jakiego nie mógł zobaczyć nikt w tym domu, może z wyjątkiem Szwagra. Patrzył na ośnieżone lasy na stokach gór, na przysypane śniegiem domy, pola i drogi oraz na dolinę, w której panował sielski spokój. Toczył wzrokiem po tej cudownej panoramie i nagle jego wzrok padł na dach po prawej stronie, na małe zagłębienie w zaścielającej go śnieżnej pokrywie.

Przełknął ślinę i zamknął oczy.

Została jeszcze kwestia świetlika.





## 23 grudnia, godzina 14.00

Misiek siedział owinięty w koc na kanapie w saloniku i dochodził do siebie. Z jednej strony usadowiła się Bożena, gotowa w każdej chwili podać mu kubek z gorącym kakao albo kieliszek z nalewką, z drugiej Justyna, która suszarką do włosów ogrzewała go, wdmuchując strumień gorącego powietrza pod koc. Była to alternatywa dla propozycji Robusia, żeby wsadzić Miśkowi pod koc Krakersa.

Misiek absolutnie nie wymagał takich zabiegów. Owszem, dupsko mu zmarzło, ale niczego sobie nie odmroził. Uznał jednak, widząc entuzjazm dziewczyn, że poudaje trochę, i nawet mu się to opłaciło. Kakao, naleweczka, troska, wdzięczność, kocyk i ciepłko. Czegóż chcieć więcej?

Wbrew obawom świetlik załatał w trymiga materiałami dostępnymi na strychu: rolką folii malarskiej, płytą paździerzową, pianką poliuretanową i silikonem łazienkowym. Wszystko to było zapewne pozostałością naprawczo-niszczycielskiej działalności Schwagra, a teraz udało się to wykorzystać, choć efekt prac nie wyglądał zbyt estetycznie, szczególnie z dołu. Sprzątanie zajęło dziewczynom trochę czasu. Janeczka też już się trochę uspokoiła, choć z niepokojem myślała o tym, jak to przyjmie biedna Malwina, dla której witraż był ulubioną częścią domu.

– Rozgrzałeś się? – zapytała Justyna z troską, wyłączając suszarkę.

– Już lepiej, ale jeszcze trochę mnie pogrzejcie. – Misiek zadrżał lekko, choć nie ukrywajmy, trochę przesadnie.

– Jesteś moim bohaterem. – Bożena pocałowała Miśka w same usta, aż pokraśniał.

– Przepraszam, że na mojej twarzy nie ma uśmiechu szczęścia, ale mi zamarzała – powiedział, wczuwając się chyba za bardzo w rolę.

– To nawet dobrze, bo zaraz i tak by ci z niej zszedł. To za to, że wystraszyłeś mnie na śmierć, Wilkoński – powiedziała i mocno walnęła go w ramię, prosto w szczepionkę.

– Eeeej! Nie bije się bohaterów!

– Bohaterów nie, ale kretynów już tak! Co ci do głowy w ogóle przyszło?!

Misiek zdjął z siebie koc, sięgnął po kieliszek i jednym haustem wypił resztę nalewki, w której wcześniej moczył dzióbek. Odstawił szkło na stół z dźwięcznym stuknięciem i popatrzył na żonę.

– Gdyby nie ja, kochanie, nie byłoby telewizji, a w Wigilię na nasze głowy padałby śnieg. Pomyślałem sobie, że zrobię wam taki prezent na święta i naprawię to wszystko, ale do głowy mi nie przyszło, że zamiast wdzięczności spotkają mnie za to wyzwiska i bicie.

– Trochę przesadziłaś, Bożena – stwierdziła ciotka.

– Noo... – Alicja spojrzała na nią krytycznie.

Bożena wyjrzała zza Miśka na siedzącą po drugiej stronie kanapy Justynę, która tylko zrobiła zbolaną minę i spuściła wzrok.

Janusz udawał, że jest zajęty łańcuchem i miał minę, jakby właśnie odkrył, że zaśniedział.

– Sorry, ciociu, ale wujek jest bohaterem i wymaga specjalnego traktowania – powiedziała z powagą w głosie Paulinka, a Robuś tylko pokiwał głową.

– Miał już specjalne traktowanie – powiedziała Bożena, wskazując koc i kubek z kakao. – A teraz witamy w prawdziwym świecie. Wystarczy.

– Dobra, faktycznie wystarczy. – Misiek westchnął.

Miał nadzieję, że teraz jego żona wie już, jak to jest być osamotnionym w nierównej walce, kiedy nikt nie jest po twojej stronie, mimo przekonania, że ma się rację. Z jej punktu widzenia, z punktu widzenia niewątpliwie kochającej żony, Misiek był kretynem wychodzącym bez zabezpieczenia na ośnieżony dach, a z punktu widzenia pozostałych bohaterem, któremu zawdzięczają nie tylko głupią telewizję, ale i święta bez śniegu, oczywiście w środku domu.

Przez jakiś czas w saloniku panowała cisza, przerywana dzikimi odgłosami z telewizora. Tom naparzał Jerry'ego wszystkim, co wpadło mu w ręce, mysz mściła się równie okrutnie ku uciesze bliźniaków, a myśli dorosłych leniwie kręciły się wokół ich własnych spraw.

– Cholera, narobił tylko mamie nadziei ten Stefan. – Justyna westchnęła w pewnej chwili.

Pelagii nie było z nimi. Siedziała u siebie, stwierdzając, że przyjdzie, kiedy będzie miała ochotę.

– Na co? – zapytała Bożena.

– No, na co... – Justyna wzruszyła ramionami. – Już nawet pożyczyła maszynkę od Janusza, żeby zrobić porządek z tym czymś, co miał na głowie.

– To chyba kosiarkę – mruknęła Alicja.

– Szlifierkę kątową – dodał swoje trzy grosze Janusz.

– Opalarkę – przebił go Misiek. – Albo laskę dynamitu.

– Laska dynamitu już tam była – zarżał Janusz, a łańcuch na szyi zawtórował dźwięcznym brzęczeniem w takt podrygiwania klatki piersiowej.

– Przestaniecie? – Justyna była wyraźnie zła. – Mama naprawdę się przejęła.

Miśkowi natychmiast przestało być do śmiechu, kiedy przed oczami stanął mu widok Stefana wyciągniętego na posadzce łazienki oraz kotka Frania dyndającego na końcu trzonka śrubokrętu i wpatrującego się w niego oczami, które stanowiły jakieś czterdzieści procent jego ciała. Misiek niemal czuł, jak wrzynają się spojrzeniem w jego umysł.

– Dobra, dzieciaki, koniec kreskówek, teraz my – powiedział nagle Janusz, zerkając na zegarek, i Stefan wyleciał Miśkowi z głowy. – Przełączcie na jakieś wiadomości.

– Ja tam bym wolał kreskówki – mruknął Szwagier.

Siedział na fotelu z wyciągniętą przed siebie zabandażowaną nogą. Justyna nie sądziła, żeby to było złamanie, choć kostka lekko spuchła, ale Janeczka dała maść, którą ją wysmarowały. Misiek nie chciał wiedzieć, co to za maść, choć miał podejrzenia co do jej pochodzenia. Co jakiś czas zerkał na nogę Szwagra, czy nie wyrasta z niej na przykład skrzydło nietoperza, ale jak na razie wszystko było w porządku.

– Obejrzyj sobie na telefonie – poradziła mu Alicja.

– Żebym ja miał telefon, to sobie bym obejrzał. – Szwagier nagle posmutniał. – Zresztą i tak nie ma netu.

Młody spojrzał na ojca, ale Misiek udał, że tego nie widzi. Miał swój plan. Janusz przejął po krótkiej i nierównej walce z synem pilota i przełączył na kanał informacyjny. Przez jakiś czas oglądali gadające głowy, aż nagle Misiek stwierdził:

– Wiecie co, nawet fajnie z tym oflajnem. Nie jest wam lepiej, kiedy nie wiecie, o co znowu ci debile się żrą? – Wskazał na ekran. – Kiedy nie wiecie, ile osób zginęło na drogach? Nie wiecie o zamachach, klęskach żywiołowych...

– Wiemy o klęskach. – Młody skinął brodą w stronę okna.

– Innych klęskach żywiołowych – doprecyzował Misiek.

– Coś w tym jest, Michu. – Szwagier rozparty na fotelu z założonymi ramionami wpatrywał się z odrazą w telewizor. – Dlatego wolę kreskówki. W kreskówkach są miłe zwierzątka i one dobrze się kończą.

– Przed chwilą oglądaliśmy, jak kot usmażył mysz na patelni, a ona go potem popieściła prądem – zwrócił uwagę Misiek. – Czy coś źle widziałem?

– Dobrze mama mówiła. Po co nam telewizor? – wtrąciła się Alicja. – Teraz my się żremy z jego powodu, nie widzicie?

Szwagier machnął ręką.

– To co innego. Kiedyś to były kreskówki. – Westchnął. – Reksio, Bolek i Lolek, Żwirek i ten drugi...

– Właśnie, Zdzichu, zmieniłeś Krakersowi żwirek? – zapytała Janeczka.

– Nie, bo nie mogę znaleźć worka.

Misiek ledwie się opanował, żeby nie zerknąć na Młodego. Poczł tylko swędzenie na karku.

– Jak to nie możesz? – zdziwiła się Janeczka.

– No nie ma go. Zawsze był w składziku, a teraz zniknął.

– Skończył się?

– Nie, ostatnio był prawie pełny.

– To gdzie się podział? Dziwne rzeczy się dzieją w tym domu. Przecież nikt nie zjadł dwudziestu kilo żwirku dla kota, na litość boską! – Janeczka załamała ręce. – Tragedia. Przecież kupić się

teraz nie da. Ani piasku nakopać, ani nawet kota na dwór wysadzić...

– Trzeba go nauczyć załatwiać się do kibelka – zasugerował Szwagier. – Widziałem coś takiego na Tinderze.

Zapadła chwila ciszy.

– Przepraszam, gdzie to widziałeś, Szwagier? – Misiek odważył się zapytać.

– Chyba na TikToku – podpowiedział Robuś.

– O, to, to! Tak mi się kojarzyło właśnie z zegarem.

– A co to jest to pierwsze, co powiedziałeś? – zapytał z rozbawieniem Misiek.

– Michał – warknęła Justyna.

– Wilkoński – warknęła Bożena.

– Dwanaście – powiedział Robuś grobowym tonem. – Wy nas naprawdę macie za idiotów.

– O, patrzcie, patrzcie! – zawołał nagle Szwagier. – Świeradów! Mówią o nas!

Na ekranie widać było reportera trzymającego w dłoni mikrofon, a za nim panoramę Świeradowa. Facet wyglądał jak Eskimos w samym środku polarnej zimy, a sporą część obrazu wypełniało futro, którym wykończony był jego szczelnie owijający głowę kaptur, oraz końcówka mikrofonu, którą przytykał sobie do ust, jakby również je chciał sobie ogrzać. Kolor futra na mikrofonie wzbudził niepokój Miśka.

– Ktoś wie, gdzie jest Krakery? – zapytał, ale nikt go nie słuchał, bo wszyscy wpatrywali się w ekran jak zaczarowani.

Cholera, na śmierć zapomniał o tym wrednym szczurze udającym kota.

– Daj głośniej, Janusz! – zawołała Alicja.

Janusz podniósł pilot i nacisnął odpowiedni przycisk. Reporter przestał przypominać wyciągniętą na brzeg rybę walczącą o tlen i do wizji dołączyła fonia.

*– Na wniosek wojewody Rada Ministrów wprowadziła stan klęski żywiołowej w części województwa dolnośląskiego obejmującej obszary południowego skraju Pogórza Izerskiego oraz Gór Izerskich. – donosił rozemocjonowany. – W gminach Mirsk, Świeradów-Zdrój i Szklarska Poręba trwające wiele dni opady śniegu spowodowały lokalnie przerwy w dostawie prądu. Niewytłumaczalny blackout Świeradowa-Zdroju spędza sen z powiek władzom miasta, a ekipy przedsiębiorstw energetycznych gorączkowo poszukują źródła awarii, która dosłownie na kilkanaście godzin przed Wigilią spowodowała brak prądu na obszarze niemal całej gminy, paraliżując życie mieszkańców. Tysiące ludzi utknęło w domach i pensjonatach, w których nie ma ciepłej wody ani ogrzewania. Synoptycy przewidują poprawę pogody w dniu jutrzejszym, a może nawet już dziś, jednak skutki ataku zimy mieszkańcy odczuwać będą zapewne aż w nowym roku. Z odciętego od świata Świeradowa-Zdroju, do którego specjalnie dla państwa ekipa „Informacji” dotarła dzięki uprzejmości dowództwa 23. Pułku Artylerii w Bolesławcu, mówił Paweł Moliński.*

– No to wszystko wiemy – stwierdził Misiek i zerknął w kierunku okna, za którym było źródło ich radości i przyczyna nieszczęścia tysięcy ludzi.

Oraz Krakers.

A jeśli chodzi o źródło, to miało ono bardzo nietypową formę metalowego słupa z żarówką na szczycie i jakimś niepojętym cudem, przy wydatnej pomocy Szwagra i być może projektantów lub wykonawców sieci elektroenergetycznej spowodowało zamęt, chaos i dezorganizację w świeradowskich domach.

Wszystkich, oprócz jednego.

Tam za zamęt, chaos i dezorganizację odpowiadał wyłącznie Szwagier.





## 23 grudnia, godzina 23.00

### *18 godzin do Wigilii*

Dwie postacie pochylały się koło drzwi łazienki i szeptały gorączkowo do siebie. Było ciemno i bardzo dobrze, bo gdyby ktoś zobaczył, że tu są, a przede wszystkim, gdyby dowiedział się, po co tu przyszły, prokurator z pewnością odwołałby święta w Willi Malwie.

- Masz klamkę? – zapytał Misiek.
- Mam. – Młody sięgnął pod bluzę.
- Zuch. Dawaj. I poświeć mi komórką.

Jacek włączył latarkę w telefonie i osłonił ją dłonią, a Misiek włożył trzpień klamki w otwór i delikatnie nacisnął. Najpierw lekko uchylił drzwi i zajrzał za nie ostrożnie.

– Spodziewasz się tam kogoś żywego? – Młody błysnął czarnym humorem.

Misiek nie zareagował. Wyciągnął klamkę, otworzył szerzej drzwi i wślizgnął się do środka.

– Właż, szybko – szepnął do Młodego, a kiedy ten również znalazł się w łazience, powtórzył operację z klamką i cicho zamknął drzwi.

Nabrał głęboko powietrza i zapalił światło. Obaj z Młodym spojrzeli na posadzkę. Zgodnie z przewidywaniami Stefan wciąż na niej był. Śrubokręt również był tam, gdzie wcześniej, czyli tkwił w Stefanie. Misiek przyjrzał się zwłokom i zmarszczył brwi.

– Słuchaj, jak dla mnie to on wygląda dokładnie tak samo jak wczoraj – powiedział do syna.

– A jak ma wyglądać? – Młody się zdziwił.

– Noo, powinien wyglądać dużo gorzej.

– Ale on nigdy nie wyglądał dobrze. Rzekłbym wręcz, że wyglądał fatalnie. Zwłaszcza od czoła w górę.

– Nie szkodzi. Powinien wyglądać dużo gorzej niż fatalnie, jakkolwiek to wygląda. A tu nie ma zmian. Chociaż dalej nie żyje.

– Spodziewałeś się, że znowu zmartwychwstanie?

– Nie, spodziewałem się, że mimo tych kulek zacznie się rozkładać. Jak to zwykle ze zwłokami bywa.

– Bo tu jest zimno jak w psiarni. Przecież po to zostawiliśmy uchylone okno. Zrobiliśmy z tej łazienki kostnicę. – Młody wzdrygnął się nagle. – I w dodatku mam dziwne wrażenie, że ktoś mnie obserwuje.

– Mimo wszystko coś już powinno się dziać. I kto tu ma cię obserwować? – Misiek rozejrzał się odruchowo.

– To może on jednak żyje? I nie wiem kto. To tylko wrażenie.

– Jakie żyje, no coś ty, przecież to widać na pierwszy rzut oka, że jest martwy. Kiedy mówiłem, że nic się nie zmieniło, miałem na myśli również pozycję. Coś go usztywniło i zakonserwowało, rozumiesz?

– To się nazywa stężenie pośmiertne.

– Dobra, mówię o braku śladów rozkładu.

– Ale co miałyby go zakonserwować? Śrubokręt?

– Jak śrubokręt może coś albo kogoś zakonserwować? Pomyśl, Młody. To musiała być jakaś substancja...

– Te kulki z odświeżaczem?

– Od środka, chłopie, od środka. – Misiek podrapał się w czoło. – Cholera... A może coś go ukąsiło?

– Co?

– Zobacz, szukał czegoś po łazienkach. Skoro przedwczoraj spadł z drabiny, to znaczy, że szukał tego czegoś również w lampie, a może w sufitach podwieszanych. Tu nie ma co prawda sufitu podwieszanego, ale jest gipsowy plafon i o ile dobrze widzę, jest w nim jakaś dziura. Być może od śrubokrętu, rozumiesz?

– A jak tam się dostał, skoro nie było drabiny? Wyniósł ją morderca?

– Niekoniecznie. Do tego plafonu spokojnie da się sięgnąć z parapetu. I być może on sam sobie wbił śrubokręt, kiedy z niego spadał. A to oznaczałoby, że nie było żadnego mordercy!

– A dlaczego spadł?

– Bo coś go ukąsiło?

– Znaczy, pytasz mnie teraz o to?

– Dywaguję, Młody. Dywaguję...

– Przepraszam, ale w Polsce jadowite są tylko żmije, kilka gatunków pajaków i ropucha szara. Pomijając, że ich jad jest za słaby, żeby zabić człowieka, to wszystkie aktualnie śpią snem zimowym.

– Może spało tu gdzieś i Stefan to obudził? Wskoczyło na przykład z kratki wentylacyjnej? Albo jest w tym pawlaczu?

– Stefan spokojnie doszedłby przynajmniej do kuchni, nawet gdyby był uczulony na jad żmii.

– Tylko że to nie musiało być coś, co żyje w Polsce.

– A niby skąd by się tu wzięło?

– Włochata, ośmionożna niespodzianka z kiści bananów kupionych przez Janeczkę w supermarkecie? Syczący uciekinier z jakiejś nielegalnej hodowli? Tarantula, wałęsak brazylijski, żmija gabońska. Kandydatów jest całkiem sporo. Takie rzeczy się już zdarzały.

Młody był raczej sceptyczny.

– Tato, jeśli mogę coś zasugerować, to lepiej nie mów nikomu o twoich podejrzeniach, nawet pomijając kontekst Stefana. Uwierz mi, to nie jest dobry pomysł. Nie z kobietami. Ani z dziećmi – dodał po namyśle.

Misiek spojrzał na syna z zaskoczeniem.

– Coś takiego, jak ty dużo już o życiu wiesz, Młody.

– Może już nie taki młody?

Misiek roześmiał się i zmierzwił Młodemu czuprynę.

– Ech, chłopie, jak ja bym chciał mieć znów tyle lat, co ty.

– A ja bym chciał mieć tyle, ile ty. Mógłbym robić legalnie różne rzeczy.

– Jeszcze tyle będziesz miał, spokojnie. I zobaczysz, przyjdzie taki czas, że też będziesz chciał mieć znów siedemnaście. – Westchnął. – Dobra, wracamy na górę.

– Mamy jakiś plan?

– Plan?

– Co zrobimy w końcu ze Stefanem? Przecież nie może tak leżeć w nieskończoność.

Misiek popatrzył na Stefana, ale niezbyt długo.

– Po świętach przypadkiem go tu odkryję i zawiadomimy policję.

– Będziesz głównym podejrzanym – stwierdził Młody i Misiek wiedział, że ma rację.

– A co, mam go ukryć? Gdzie? Jak?

– W nocy. Wyniesiemy go na zewnątrz i ukryjemy w śniegu.

– Śnieg ma to do siebie, że doskonale widać na nim wszystkie ślady. Jak myślisz, dokąd będą prowadziły te od Stefana?

– Ciągłe pada, przysypie go w końcu. Nasze ślady też!

– Nasze?

– Pomogę ci!

– O, nie, synu, co to, to nie. – Misiek pokręcił głową. – To będzie jak samonakręcająca się spirala. Coraz większe ryzyko, coraz więcej śladów. Jak znam życie, ktoś nas zobaczy i będzie po sprawie. On tu zostaje. Wierzę, że jeśli spadł sam i nadział się na śrubokręt, to ekspertyza to wykaże. Jak również potencjalną truciznę w jego organizmie.

– Tato, naprawdę wierzysz w tego pająka?

– Wierzę w sprawiedliwość.

– Wiesz co? – Młody zacisnął pięści. – Ja już prędzej uwierzę w tego pająka. Nie pozwolę, żeby cię zwinęli, słyszysz?

Misiek podszedł do syna i przytulił go. Po raz pierwszy od dobrych dziesięciu lat. Uświadomił sobie to właśnie i nie tylko to. Pamiętał jego zapach, kiedy wyciągał go z wanienki i suszył mu włosy, ale to było piętnaście lat temu. Pamiętał miękkość jego skóry, kiedy kremował odparzenia, ale to też było piętnaście lat temu. I rączki obejmujące jego szyję, też dawno, dawno temu. Teraz nie znał jego zapachu, z wyjątkiem chwil, kiedy Młody wracał z treningów. Nie znał uścisku jego ramion. Do tej chwili. A teraz ścisnął się z facetem, prawie dorosłym mężczyzną, w którego zmienił się jego syn i zastanawiał się, gdzie i kiedy umknęło te piętnaście lat.

– A ja nie pozwolę, żebyś został współnikiem – wyszeptał mu do ucha. – I nie martw się tym teraz. Teraz są święta i cieszymy się nimi. A ja... – urwał na chwilę. – A ja już coś wymyślę, zobaczysz. Tak wymyślę, że nikt nie pójdzie siedzieć. Nie na mojej zmianie, Młody. Nie na mojej zmianie.

Poczuł, że w oczach wzbierają mu się łzy wzruszenia. Wytał je ukradkiem i żeby jakoś odwrócić uwagę Młodego od siebie, zerknął w górę i spytał.

– Swoją drogą, ciekawe, co może być w tym pawlaczu?

– Pewnie to, co w każdej łazience. – Młody wzruszył ramionami.

– Właśnie. I może trzeba było najpierw sprawdzić tam, zamiast bulić bliźniakom grubą kasę?

– Co robisz?

– Naprawiam błąd i sprawdzam. – Misiek podniósł nogę, postawił ją na parapecie, chwycił klamkę okna i podciągnął się.

Oczywiście z racji tego, że był wybitnym sportowcem, ale wyłącznie telewizyjnym, nie dał rady i musiał go podsadzić Młody.

– Korci cię igranie z losem – stwierdził, a Misiek tylko wyszczerzył zęby i sięgnął do lekko uchylonych drzwiczek pawlacza.

– Co my tu ma...

Przeraźliwy wrzask rozdarł ciszę nocy. W zasadzie nie było wiadomo, kto drze się bardziej: Misiek, Młody, czy Krakers, który wyskoczył z pawlacza prosto na głowę Miśka. Przez chwilę lecący na posadzkę Misiek przypominał Stefana, ale tylko do momentu, w którym oszalały z wściekłości Krakers nie zeskoczył z niej prosto na powalane kocim żwirkiem zwłoki. Młody odruchowo otworzył drzwi i kot czmychnął w ciemność, a Misiek wyciągnął ręce i chwycił się za głowę.

– Ogole sierściucha. Oskóruję. Wypcham. Ugotuję i zeżrę! – mamrotał. – Przysięgam, niech go tylko dorwę, tę torbę na pchły.

– Tato, to tylko kot – jęknął Młody.

– Kot? To ma być kot? To jakaś chupacabra, a nie kot! Skąd ta cholera się tu wzięła?

– Jak to skąd? Wlazł przez uchylone okno. Sam je otwierałeś.

Misiek rozcierał zadrapania na głowie i rękach.

– Co robisz? – zapytał, kiedy zobaczył, że Młody coś kombinuje.

– Zaglądam. – Młody stał na parapecie i świecił komórką do środka. – Tu są tylko ręczniki. Ale sobie gniazdo zrobił... Myślisz, że to on wyskoczył na Stefana i zrobił mu to, co tobie? Włochata

niespodzianka nie miała ośmiu nóg, tylko cztery i ogon. I dobrze, że ty nie miałeś śrubokręta.

Misiek popatrzył smutno na Stefana. Swoją drogą dla Miśka przygoda skończyła się lepiej niż dla niego. Nagle jego oczy otworzyły się szeroko.

– Rany boskie, spadamy stąd, ale już! – rzucił zdławionym szeptem.

– Co się stało? – Młody struchlał.

– Jak to co? Ten wrzask słychać było chyba nawet w mieście! – Misiek podniósł się z podłogi i lekko zatoczył. – Dzida do pokoju i jak kogoś po drodze spotkamy, to wiesz, co mówić?

– Obudził nas jakiś wrzask.

– Dokładnie. – Misiek zaczął ssać skałeczenie i dłubać przy kłamce. – Dokładnie tak...





## 24 grudnia, godzina 12.00

### *5 godzin do Wigilii*

Wszyscy zebrali się w sali jadalnej. Panował lekki półmrok, świetlik wciąż przysypany był śniegiem, a ten znów sypał i sypał, jakby nad Świeradów zleciały się wszystkie chmury świata i postanowiły wypluć z siebie miliony niepowtarzalnych, sześciokątnych potworków, atakujących miasto z zajadłością szarańczy. Podobno Eskimosi mają w swoim języku kilkadziesiąt określeń na śnieg, a w Willi Malwie funkcjonowało obecnie tylko jedno, które absolutnie nie nadaje się do powtórzenia w świątecznej opowieści.

O dziwo, nikt nie zareagował na nocne wrzaski. Nikt nie wstał, nie nakrył Miśka i Młodego w sali ani na korytarzyku. Zamiast dyskusji, podobnej do tej przedwczorajszej, padło tylko kilka uwag i parę znaczących spojrzeń, rzuconych w stronę bliźniaków. I tyle. Nikt nawet nie zapytał, co Misiek ma na czole, choć już przygotował sobie na tę okoliczność zgrabną bajeczkę o poślizgnięciu się pod prysznicem.

Jodła leżała pod ścianą, na ociosanym końcu pnia nasadzona była już żeliwna, solidna podstawa i dla pewności Misiek osadził ją osobiście. Jako specjalista od konstrukcji budowlanych był świadomy, że ze względu na gabaryty drzewsko nie ustoi bez wspomagania, zatem konieczne było dokonanie kotwień za pomocą

sznurków. Choć łańcuch na szyi Janusza wciąż Miśka kusił, zdecydował, że odpowiedniej grubości linki wystarczą. Jodła miała stać w kącie pomieszczenia, obok wielkich dwuskrzydłowych drzwi prowadzących do holu i dalej w kierunku wyjścia. Podobno stała tam zawsze i zawsze też Szwagier dbał o jej stabilność za pomocą mocowanych do specjalnych haczyków linek, czym Misiek był zadziwiony, bo taka dbałość o detale była u Szwagra raczej niespotykana. W związku z tym, że jeszcze nigdy drzewko świąteczne nie było aż tak wielkie, Janeczka miała poważne obawy, czy wystarczy lampek i ozdób. A w zasadzie samych ozdób, bo w obecnej sytuacji lampki były zbędne. Jak to ujął Szwagier: potrzebne jak znicz na pogrzebie.

– Bliźniaki zrobią łańcuch z kolorowego papieru i to pokryje ewentualne puste połączenia – pocieszył Janeczkę Misiek.

– Jaki łańcuch? – zapytały bliźniaki.

– Nie robiliście nigdy łańcucha z papieru? – zdziwił się. – To czego was uczyli w przedszkolu?

– Czytania, liczenia pieniędzy i obsługi tabletu. Po co komu łańcuch?

Misiek chciał zaproponować, żeby pogadały o tym ze swoim tatą, ale dał spokój.

– Chodziły do prywatnego przedszkola – poinformowała Justyna, jak gdyby to cokolwiek wyjaśniało.

A może właśnie wyjaśniało. Dla świętego spokoju Misiek nie zapytał, czy w szafkach obok kapciuszków mieli różdżki.

– W wakacje przyjedziecie do cioci Ali na korepetycje z zajęć praktyczno-technicznych – stwierdziła Alicja.

– Jak nauczysz mnie robić petardy, to przyjadę – obiecał Robuś.

– A jak nie?

– To jadę na obóz survivalowy! Tata obiecał.

– Survivalu to ja cię nauczę, chłopie. – Szwagier uśmiechnął się szeroko.

– Nieee! – Nawet bracia Gibb nie byliby w stanie wydać tak harmonicznego, zgranego i pełnego ekspresji dźwięku, jaki wydały kobiety.

– Nie rozumiem, o co chodzi. – Uśmiech Szwagra zgasł.

– Chodzi o to, że jedyną osobą, która przeżyłaby prowadzony przez ciebie obóz byłbyś ty – stwierdził Misiek.

– Dobrze, koniec dyskusji, jest godzina dwunasta, a nawet już po, więc zgodnie z tradycją zaczynamy ubieranie choinki. – Janeczka klasnęła w dłonie i pokazała dwa wielkie pudła z ozdobami, leżące pod stołem. – Michał albo Janusz, niech któryś z was przyniesie z dołu drabinę. Postawimy naszą choinkę, ubierzemy i wtedy zdecydujemy, czy trzeba dorabiać łańcuchy, czy nie. Do roboty. Tylko uważajcie na stół, bo już wszystko nakryte do wieczery wigilijnej.

– No to jedziemy z koksem. – Misiek zatarł ręce, czując, jak powoli udziela mu się świąteczna atmosfera.

– Michu. – Szwagier uśmiechnął się pobłaźliwie. – Ale my tu mamy ogrzewanie gazowe.

– Dobra, jedziemy z gazem, jeśli tak wolisz, Szwagier.

We dwóch postawili jodłę i przesunęli ją w kąt niedaleko przesuwanych drzwi, gdzie docelowo miała stać. Szwagier, kuśtykając, teatralnie przyniósł linki, którymi miała być przywiązana do specjalnych haczyków w ścianie i Misiek osobiście spróbował, czy ich grubość i wytrzymałość będą wystarczające. Oceniał, że jak najbardziej. Przywiązał obie do pnia: jedną na wysokości pasa, drugą na jakichś dwóch metrach, czyli mniej więcej w połowie. Jako że Szwagier był wyższy, czy raczej dłuższy, Misiek dał mu tę linę, która była wyżej, żeby przywiązał do swojego haczyka.

– Tylko żadnych kokardek, Szwagier, rozumiesz? – wycedził, patrząc mu w oczy. – Masz zrobić węzeł gordyjski.

– To znaczy jaki?

– Żeby go nikt nie dał rady rozwiązać.

– To jak po świętach wyniesiemy choinkę, skoro...

– Przetniemy go.

– Sprytneeee! – Szwagier z uznaniem uniósł brwi.

– Prawda? Wiąż – rozkazał mu Misiek, a sam klęknął, i przeciskając się przez gąszcz gałęzi, zaczął starannie przywiązywać linkę do haczyka przy podłodze.

Kiedy skończyli, wszyscy stanęli przed drzewkiem i zaczęli się w nie z zachwytem wpatrywać.

– No, ładna – przyznał Janusz, który właśnie dotarł z drabiną.

– Idealna – zachwyciła się Justyna.

– Cudo! – zawołały bliźniaki.

– I taka zielona. – Bożena spojrzała na męża kątem oka. – Soczyście zielona.

– Dzieciaki, bierzcie bombki i do roboty – zakomenderował Misiek. – Ja stoję na drabinie, wy mi je podajecie i pokazujecie, gdzie zawiesić.

Rozstawił drabinę, a Robuś z Paulinką natychmiast zjawili się pod nią z naręczem ozdób. Misiek schylał się i brał po jednej, a potem zawieszał zgodnie z wytycznymi Paulinki, która mianowała się naczelnym plastykiem willi. Alicja uśmiechała się tylko pod nosem, patrząc, jak ze zmarszczonymi brwiami i podpartą bródką ocenia rozkład bombek i lukrowanych pierników, które Misiek wieszał na gałęziach. Kiedy stanął już tak wysoko, że schodzenie po pojedyncze ozdoby stało się nieopłacalną stratą kalorii, dzieciaki zaczęły mu je podawać na miotle. Wszyscy się świetnie bawili, a Misiek najbardziej. Myśli o Teneryfie uleciały gdzieś daleko, a on

stał wśród pachnących lasem gałęzi i wdychał ten zapach jak woń najlepszych perfum.

Nagle w sali zjawiała się Janeczka, która przerwała ostatnie czynności kulinarne, żeby zobaczyć drzewko. Stała przed nim i jej twarz pojaśniała od uśmiechu.

– Coś pięknego! – Splotła palce i złożyła ręce. – Najwspanialsza choinka, jaka kiedykolwiek stała w tym domu, odkąd pamiętam.

– To jest jodła – mruknął Szwagier.

– Nieważne. – Odwróciła się w jego stronę. – To symbol, Zdzisiu. Najpiękniejszy symbol świąt. Jesteście cudowni!

Bliźniaki i Misiek skromnie spuścili wzrok.

– Ja przyniosłem drabinę – powiedział Janusz i Szwagier zaczął mu bić brawo.

– Straszny przeciąg – stwierdziła nagle Janeczka, obejmując się wpół i rozcierając sobie ramiona. – To chyba przez tę dziurę w świetliku.

– Przykro mi, pani Janeczko, robiłem, co mogłem. – Misiek westchnął, patrząc na wspólne dzieło swoje i dzieciaków.

Nie mógł się napatrzeć. Niby zwyczajna choinka, czy też jodła, a jednak. Czuł się niemal tak, jak przy zdejmowaniu szalunków z wyjątkowo skomplikowanej konstrukcji, kiedy oczom wszystkich ukazuje się gładka powierzchnia żelbetowej płyty i ogarnia go wtedy poczucie dobrze wykonanej roboty.

– Wiem, panie Michale, absolutnie pana nie winię – powiedziała Janeczka. – Trudno, będziemy musieli zamykać drzwi. – Mówiąc to, zacisnęła palce na uchwycie i pociągnęła lewe skrzydło, które z piskiem zaczęło sunąć w prowadnicach.

I wtedy nastąpiła kolejna katastrofa, bo w tej samej chwili jodła drgnęła, zaszumiała, zaczęła powoli się pochylać, po czym nabrała

rozpędu i wyrznęła o podłogę z brzękiem pękających ozdób. Zapadła śmiertelna cisza, którą przerwał nagle płacz Paulinki.

– Nie rozumiem, jak to się mogło stać? – wyjąkała Janeczka, szeroko rozkładając ręce i wpatrując się zszokowanym spojrzeniem w najwspanialszą choinkę, jaka kiedykolwiek leżała w tym domu.

Justyna zaczęła uspokajać córkę, Janusz nie wiedział, co ze sobą zrobić, więc gapił się w rozbity świetlik, a Pelagia z Alicją i Bożeną patrzyły w milczeniu na Miśka, jakby to on był sprawcą nieszczęścia. A Misiek tymczasem miał pewne podejrzenia, jak to się mogło stać. Winą mógł obarczać siebie o tyle, o ile powinien był sprawdzić wszystko, co zrobił Szwagier. Dosłownie wszystko.

Lecz nie sprawdził.

– Szwagier. – Misiek zakrył twarz dłońmi, nie mogąc znieść widoku swojej wybranki leżącej na podłodze pośród szczątków ozdób. – Czy ty znowu zawiązałeś to na kokardę?

– A skąd! Tak jak chciałeś, zrobiłem węzeł gwardyjski.

– Dobrze... W takim razie mogę wiedzieć, do czego przywiązałeś ten sznurek?

– Jak to do czego?

– No pytam do czego?

– Do tego, co zwykle.

– Czyli?

– Tam jest taki haczyk...

– A sprawdziłeś, czy ten haczyk się nie obluzował?

– On nie mógł się obluzować, Michu.

– A jednak się obluzował! – Misiek wskazał jodłę.

– Nie, bo go tam nie było.

– Słucham? Jak to go nie było?

– No bo wypadł ze ściany dwa albo trzy lata temu. Nie pamiętam dokładnie.

Misiek zamknął oczy. Wakacje w kamperze stanęły mu przed nimi jako żywy, tragiczny obraz.

– Mówiłeś, że tam jest taki haczyk – powiedział powoli i pozornie spokojnie. – Jest. Użyłeś czasu terazniejszego.

– Bo nie dałeś mi dokończyć, Michu.

– Dobrze więc, dokończ teraz. Słucham.

– On jest, ale go nie ma, rozumiesz?

– Tak, ale nie. – Misiek użył retoryki Szwagra, sam ciekaw, co z tego wyniknie.

– Zwykle tam jest, to znaczy powinien być. Zawsze był.

– Nie ma go tam od dwóch lat, sam to powiedziałeś przed chwilą. Więc jakie zawsze?

– Nie wiem, czy dokładnie od dwóch. – Szwagier potarł czoło, które zaczęło rosić się potem.

– Dobrze, to teraz nieistotne. Przyjmijmy, że od dwóch. Od dwóch cholernych lat nie ma tam haczyka, który zawsze tam był. W takim razie do czego przywiązałeś tę cholerną choinkę?

– Jodłę, Michu.

– Do czego? – wyszeptał Misiek.

– No do klamki. Jak zwykle.

– Zwykle to był haczyk...

– Jak zwykle od dwóch lat, no. Około dwóch lat. Skąd miałem wiedzieć, że ktoś będzie chciał zamknąć te drzwi?

Wszyscy patrzyli wyczekująco na Miśka. Dostał trudną piłeczkę i teraz musiał ją jakoś odbić.

– Pewnie, z drzwiami robi się zwykle wszystko, tylko nie zamyka, prawda? – Misiek spojrzał na zielony busz, jaki za sprawą Szwagra zakwitł na parkiecie. – Kurwa, a taka piękna była. – Westchnął. – Panna zielona...

– Michał, tu są dzieci – fuknęła Justyna.



– Może dzieci są, ale choinki nie ma.

– Co nie ma, co nie ma? – Szwagier sztucznym entuzjazmem w głosie wyraźnie starał się zatrzeć fatalne wrażenie. – Wystarczy podnieść!

Schylił się, wsunął ramiona między gałęzie, chwycił pień, napiął się i stęknął. Powoli stawiał choinkę do pionu, a wszyscy patrzyli na to, słuchając brzęczenia ocalałych ozdób. Kiedy wreszcie stanęła prosto, zebrani przenieśli spojrzenie na parkiet, który wyglądał jak pobojuwisko. Wszędzie dookoła leżały kupki szklanego pyłu mieniącego się wszystkimi kolorami tęczy. Na drzewku przetrwała mniej niż połowa ozdób, co Misiek i tak uznał za niezły wynik, zważywszy na ciężar i rozmiary jodły. Szacowanie strat przyniosło zaskakująco i nadszpiewanie korzystny w tej sytuacji rezultat.

Głupi miał znowu szczęście.

– Trzeba tylko pozamiatać – stwierdził Szwagier z niezbyt mądrym uśmiechem. – Nawet czubek się nie zbił, zobaczcie, tam leży. Młody, podasz? – Pokazał w kąt sali, ale zrobił to tą samą ręką, która przytrzymała choinkę.

Efekt był natychmiastowy, choć przebieg zdarzeń był jednak nieco inny, a to dlatego, że tym razem drzewo, omijając Szwagra od tyłu, runęło w drugą stronę. Tym samym wszyscy mieli szansę oraz wyjątkową okazję usłyszeć na własne uszy, że delikatne bombki, tłukąc się, wydają zupełnie inny dźwięk niż zastawa stołowa, kiedy przytrafia się jej to samo. Wszystko, podobnie jak poprzednio, rozegrało się w ciągu sekund. Domownicy i goście mogli tylko patrzeć na tę katastrofę, niezdolni do najmniejszego ruchu, z wybałuszonymi oczami i otwartymi ustami, zastygli jak jeden mąż niczym w kadrze slapstickowej komedii.

Misiek wpadł w jakiś dziwny nastrój, stan umysłu, który przypominał stan jego ciała po zażyciu specyfiku zboczonego dziada

z Czerniawy. Stoicki spokój połączony z nicniechceniem.

– Może po prostu ją zjemy, skoro już tam leży? – zaproponował.

– Poza tym, teraz możemy używać papierowych talerzyków, nie trzeba będzie zmywać, co nie, Szwagier? I wiesz co? Nie wiem, jak inni, ale ja się chyba przeproszę z twoją zieloną panną. Nie ma szans na wyjście do lasu, bo utkniemy przy pierwszych drzewach. I nie mam ochoty spotykać pana Światały. Postawimy suchara i będziemy udawać, że jest śliczna i że ją bardzo kochamy, jak ten zajac z piosenki. Żyje jeszcze?

– Dlaczego miałyby nie żyć?

– Bo wszystko, co znajduje się w promieniu kilku metrów od ciebie ulega unicestwieniu.

Szwagier nie wiedział, co ma odpowiedzieć, bo nie znał tego trudnego, ostatniego słowa. To znaczy słyszał je kiedyś, ale nie pamiętał, w jakich okolicznościach, choć niewykluczone, że użył go również Misiek.

– Ma się świetnie – burknął.

Waliszowie i Alicja patrzyli na nich nic nie rozumiejącym wzrokiem.

– Oszczędzę wam szczegółów, ale tak się składa, że do domu trafiły dwie choinki – oznajmił beztrąsko. – W zasadzie półtorej. Ta, która stoi w pokoju Szwagra, niedomaga. Galopujące suchoty, że tak powiem.

– A kto to jest Światała? – zapytał Janusz.

– Duch puszczy.

– Kto?

– Pojawia się jak duch i mówi takie rzeczy, że puszczają zwieracze. Nieważne.

– Michu, ale co ty chcesz od tej choinki? – zapytał zdziwiony Szwagier, wskazując nietypowe jarskie danie leżące na ledwo

widocznym spod niego stole.

– To jest jodła, Szwagier. Patrz mi na usta: jod-ła.

– Przecież zasadniczo nic jej nie jest.

– Możliwe, że tak – odparł obojętnie Misiek. – Ale nawet jeśli ją postawimy z powrotem i jakimś cudem nie upadnie po raz kolejny, to będzie mi się źle kojarzyć za każdym razem, kiedy na nią spojrzę. Zupełnie jak z tobą.

– Ja ci się kojarzę z choinką, Michu? Znaczy z jodłą?

– Eee, tak, trochę. Zwłaszcza z tą. Duzi, przeważnie przyjmujący pozycję horyzontalną i niezbyt lotni. Macie ze sobą dużo wspólnego.

– Dobra, nie ma co dramatyzować – odezwał się Janusz. – Trzeba ją postawić i porządnie przywiązać. Posprzątać bajzel, powiesić nowe ozdoby i położyć na stole nową zastawę. Mamy niecałe pięć godzin do godziny „W”. Jak się wszyscy weźmiemy do roboty, to zdążymy ogarnąć. Zanim wróci Malwina.

– Jakim cudem miałyby wrócić? – zapytał zniechęcony Misiek.

– Obiecała w liście – upierał się Janusz.

Powrót babci Malwiny był przedmiotem dyskusji niemal od początku. Rodzina podzieliła się na dwie frakcje: wątpiących, której wyraźnie przewodził Misiek, i tych mających nadzieję, w której był właśnie Janusz. Ponieważ z Malwiną nie było żadnego kontaktu, kwestia ta wciąż pozostawała nierozstrzygnięta i stanowiła przedmiot sporu.

– Ale jeśli zdoła tu jakimś cudem dotrzeć, to lepiej, żeby ten bajzel zniknął. Inaczej znów trafi do szpitala. – Janusz zadarł głowę i spojrzał na połatany świetlik.

– Zniknięcie bajzlu to jeszcze nie wszystko – mruknął Misiek. – Skąd nowa zastawa?

– Jest jeszcze kilka kompletów, przecież to pensjonat na trzydziestu gości, panie Michale – zaszczebotała Janeczka.

– Skąd ozdoby? – Wskazał na smętną kupkę kolorowych szkiełek.

– Będą łańcuchy, sam mówiłeś! – Alicja klasnęła w dłonie. – Bliźniaki, na górę. Ciąć i sklejać!

– Skąd aż tyle kolorowego papieru?

– Z gazet, Michał, z gazet! Pełno starych magazynów dla pań leży na półce w saloniku!

– Siejesz defetyzizm, Michu – stwierdził z niesmakiem Szwagier. – Chcieć to móc!

– A ja bym chciał, żebyś zniknął. Możesz?

– Ja spełnię twoje życzenie, Michał – powiedziała Alicja. – Chodź, Szwagier, nasz komandosie, zabieram cię. Pokażesz nam, jak się posługiwać ostrzami.

– Jakimi ostrzami? – Miśkowi wydawało się, że Szwagier raczej struchlał, niż się ucieszył.

– Nożyczek – wyjaśniła Ala. – Chyba że wolisz sklejać.

– A w ogóle muszę robić te łańcuchy?

– Chcieć to móc, Szwagier, sam powiedziałeś. Poza tym, jesteś sprawcą zniszczenia normalnych ozdób, więc z łaski swojej spróbuj chociaż trochę się zrehabilitować.

– Ale oprócz tego, że czasem bolą mnie plecy, jestem absolutnie zdrowy!

– Tak, tak, wiemy. – Misiek potarł powiekę. – I bardzo się wszyscy z tego powodu cieszymy, naprawdę bardzo.

– Idziemy – zakomenderowała Alicja, chwytając Szwagra za łokieć, a Misiek pomyślał, że gdyby nie Bożena, dałby jej kuzynce soczystego, ociekającego wdzięcznością buziaka.

– To ja się jeszcze zastanowię, czy wolę ciąć, czy sklejać – stwierdził Szwagier.

– Ale to po drodze na górę, dobra? – zaproponował Misiek. – Szkoda czasu. I tak minie go sporo, zanim tam dokuśtykasz.

Kiedy zniknęli na schodach, Misiek kucnął i schował twarz w dłoniach. Siedział tak bez ruchu, starając się nie myśleć o niczym. Huśtawka emocjonalna, jaką tu przeżywał, była wyczerpująca jak wycieczka na Stóg Izerski w kwietniu. Wstał nagle i ruszył w kierunku drzwi.

– A ty nie sprzątasz? – zdziwiła się Bożena, zmiatając na szufelkę resztki bombek i połamanych pierników.

– Muszę na chwilę wyjść. – Pociągnął nosem. – Uspokoić się. Mogę?

Ślubna Miśka wyprostowała się i spojrzała na niego ostrzegawczo.

– Obiecuj, że nie weźmiesz niczego od Janeczki.

– Obiecuję. Nawet nie zamierzam zaglądać do kuchni. Muszę po prostu odetchnąć świeżym powietrzem. W samotności – dodał po chwili.

Ubrał kurtkę, porządnie zawiązał buty, założył kaptur, szczelnie zaciągając sznurki, a kiedy otworzył drzwi, biel śniegu niemal go poraziła. Znowu sypało, choć nieco lżej, i wyglądało na to, że synoptycy, o których wspominał reporter wiadomości, dali ciała, zawodząc na całej linii. Najwyraźniej śnieg nie zamierzał iść im na rękę, a białej pokrywie przybывało centymetrów i ciężaru. Opady szły chyba na rekord stulecia, jeśli go jeszcze nie przekroczyły. Chcąc nie chcąc, Misiek wyszedł spod daszku przed gankiem i wystawił się na rozszalały żywioł.

Zanim dotarł do latarni, wyglądał jak nieszczęsny Stefan w momencie, w którym pierwszy raz pojawił się w willi. Przecierając okulary, klęknął przy niej i poświecił komórką, żeby zobaczyć, co wykombinował Szwagier. Nie znał się na elektryce, trochę dłużej

przy kablach jak każdy facet, ale coś więcej ponad podłączenie lampy czy telewizora było dla niego czarną magią i przerastało jego skromne możliwości. Wyglądało jednak na to, że Szwagier nie zastosował jakichś wybitnie skomplikowanych rozwiązań, co byłoby oczywiście bardzo dziwne. Po prostu połączył kable o takich samych kolorach i tyle, z jednym wyjątkiem. Tym wyjątkiem był pułkownik Zooper. Tkwił we wnętrzu latarni ze zdjętym pancerzem, przez co ukazał w pełnej krasie swe elektroniczne wnętrze. Wyglądało, jakby Szwagier włączył go w jakiś sposób w obieg prądu, choć Miśkowi wydawało się niepojęte, żeby to mogło przynieść efekt w postaci zaciemnienia terenu niemal całej gminy. Z drugiej strony wiedział – o, jak dobrze to wiedział – że Szwagra stać niemal na wszystko, jeśli chodzi o psucie, opacznie pojmowane przez niego jako naprawę. Ale Misiek nie mógł go zapytać, bo tajemnica wydałaby się i w związku z tym wyglądało na to, że jego ciekawość pozostanie niezaspokojona na wieki.

Ostrożnie ujął kable za izolację i pociągnął. Zgodnie z przewidywaniami Szwagier nie zrobił tego porządnie, dlatego też zwyczajnie wysunęły się z pułkownika. Misiek popatrzył na kable, na Zoobera i na panoramę miasteczka. Nie miał pewności, czy jego plan wypalił, bo o tym mógł się przekonać w pełni dopiero po zmroku, ale liczył na to, że odwrotność działania Szwagra da również odwrotny efekt końcowy.

– Wesółych Świąt, Świeradowie-Zdroju – mruknął.

Schował figurkę za pazuchę, schylił się po leżący na śniegu kabel i zaczął nawijać go sobie na przedramię. Podchodząc do ogrodzenia, coś przykuło jego uwagę. Kiedy przyjrzał się temu czemuś uważnie, poczuł, że zalewa go krew. O tym też nie mógł powiedzieć Szwagrowi, bo inaczej domyśliłby się wszystkiego, nawet on. Misiek zdjął kabel z haczyka identycznego jak ten, do którego

przykręcił swoją linkę przy jodle i jak ten, którego od dwóch lat nie było w ścianie obok i, zgrzytając zębami, wykręcił go z deski parkanu. Kabel rzucił za płot, haczyk schował do kieszeni spodni i wrócił do domu, choć zanim tam wszedł, minęło sporo czasu. Otrzepywanie się ze śniegu trwało dosyć długo. Ale przynajmniej Misiek nie zdążył zmarznąć.

– Prądu znowu nie ma – poinformowała go Bożena, nadstawiając ucha, kiedy wszedł do sali. – Generator chyba się włączył.

– Co zrobić. – Wzruszył ramionami i zaczął się rozbierać, patrząc obojętnie, jak jego żona podchodzi do włącznika, klepie go dłonią i z rezygnacją patrzy na wiszące na ścianach kinkiety, które pozostały ciemne.

Justyna z Januszem jęknęli, a Misiek postarał się wyglądać na zdziwionego. Wyglądało też na to, że nikt nie skojarzył jego wyjścia z nagłym zniknięciem zasilania.

I bardzo dobrze.





## 24 grudnia, godzina 15.00

### *2 godziny do Wigilii*

Na dworze szarzało. To znaczy przez cały dzień było szaro i buro, ale gdzieś nad pierzyną z chmur słońce, które podobno tam było, powoli zaczynało zachodzić za górskie szczyty.

Kiedy Alicja zeszła na dół, niemal wszystko było już posprzątane i gotowe. Jodła stała starannie przywiązana do nowego haczyka. Tym razem Misiek zrobił wszystko sam, z drobną pomocą Młodego i Janusza przy przywracaniu jodle prawidłowej pozycji. Podłoga była czysta, co stanowiło zasługę dziewczyn, a nowa zastawa stołu cieszyła oko. Białe jak śnieg talerze flankowały starannie poukładane sztucce, porozstawiane lichtarze pyszniły się pośrodku i na końcach stołu i ten widok był jak obietnica wspaniałej, wigilijnej wieczerzy. Z dołu dochodziły zapachy potraw, które powodowały wzmożoną pracę ślinianek i burczenie w brzuchu, pod choinką leżały już prezenty oraz Krakery. Na wszelki wypadek to Misiek z Januszem przynieśli je z kryjówki, natomiast Krakery przyszedł sam, wzbudzając w Miśku agresję, której poziom lokował się w górnej granicy skali.

– Gdzie łańcuchy? – zapytał zdziwiony Misiek, widząc Alicję na schodach.

– Mamy małe opóźnienie – poinformowała sucho.

– Słucham? Jakim cudem można mieć opóźnienie w robieniu łańcuchów z papieru?

– Wiesz, kto z nami był? – Alicja spojrzała na Michała złowieszczo.

– Ala. – Misiek popatrzył na nią tępo. – Choćbym rok myślał, nie wymyślę co można spieprzyć w papierowym łańcuchu, którego budowa jest prosta jak konstrukcja cepa i uczą jej w każdym przedszkolu.

– Nie w każdym – zauważyła. – U bliźniaków nie uczyli.

– Nieważne. To nie jest przestrzenny model helisy DNA, tylko głupie kółka połączone ze sobą. Bliźniaki ogarnęły?

– Jak najbardziej – przytaknęła. – Czemu miałyby nie ogarnąć?

– Dobra, oświeć mnie. – Misiek zamknął oczy i wypiął lekko pierś, jakby szykował się na przyjęcie ciosu.

– Robuś ciął papier na paski, a Paulinka i Szwagier mieli je sklejać w łańcuch.

– No i?

– Szwagier posklejał je osobno, rozumiesz? Zrobił sześćset trzydzieści dwa kółka, zanim się zorientowałam.

– Po co to liczyłaś?

– On liczył. Też nie wie, po co. Myślał, że trzeba.

– No dobra, to teraz trzeba wziąć te kółka i posklejać ze sobą paskami.

– Wyobraź sobie, też na to wpadłam. – Alicja spojrzała na niego krzywo. – Kazałam mu robić odcinki po dziesięć kółek, które potem mieliśmy połączyć. I znowu popełniłam błąd.

– Ty?

– Zagadałam się z dziećmi i straciłam go z oczu.

– Co tym razem spieprzył?

– Do jednego kółka wklejał dziewięć. I stąd właśnie to opóźnienie. Robuś to teraz rozcina, a Paulinka skleja na nowo, już normalnie, jak ogniwa w łańcuchu, a Szwagier...

– Nie chcę wiedzieć.

– Śpi. Zasnął przy stole. Siedział, patrzył na blat, ja coś do niego powiedziałam, a on opuścił głowę i zaczął chrapać. Co on ma narkolepsję?

– Nie wiem, ale nawet jeśli, to zwykle atak następuje przy silnych emocjach. Widziałaś kiedyś u niego silne emocje?

– On zwykle je wywołuje, a nie przeżywa.

– Właśnie. Dlatego nie budź go pod żadnym pozorem! Może prześpi Wigilię!

– Nie ma szans. On ma w tym swoim brzuszysku budzik. Budzi go na jedzenie.

– Można by mu czegoś dosypać...

– Czego?

– Czegoś z zapasów Janeczki.

– Specyfiki dziada z Czerniawy?

– Tak.

– Chcesz go zabić?

– Dziewczyno, nic nie jest w stanie go zabić! Ani prąd, ani spadające drzewo, ani linka od spadochronu.

Alicja tylko pokręciła głową.

– Nic, wracam tam. – Westchnęła. – Pomogę dzieciakom dokończyć łańcuchy i założymy je na choinkę.

– Jodłę – odparł odruchowo Misiek, wpatrując się w śpiącego pod nią Krakersa. Coś mu nagle zaświtało. Kiedy Alicja poszła na górę, zbliżył się cicho do drzewka i wyciągnął rękę.

– Kici, kici – powiedział cicho i kot się obudził.

– Ja bym go na twoim miejscu nie prowokował – poradził Janusz.  
– Wczoraj znalazłem go zakopanego w moją kołdrę. Kiedy go z niej spędzałem, chciał mi odgryźć głowę.

– Wszystko zależy od odpowiedniego podejścia, prawda, sierściuchu? – Misiek spojrzał Krakersowi w bursztynowe oczy. Żrenice przypominały te u węża. – Dobry kotek, chodź do wujka Miśka...

Wrzask i prychnie skalały ciszę domu, a po chwili ruda błyskawica przemknęła przez salę i zniknęła za drzwiami.

– A nie mówiłem? – Janusz wznosił oczy do góry.

– Mówiłeś – przyznał Misiek, ssąc kciuk.

Uśmiechał się. Z jednej strony plan się powiódł, straty były znikome, Krakers dostał nauczkę. Misiek nie miał pojęcia, jak długo ją zapamięta, w końcu był tylko sierściuchem. Z drugiej jednak strony istniało ryzyko zemsty, więc będzie musiał uważać. Wciąż się uśmiechając, niepostrzeżenie schował do kieszeni kłębek rudej sierści i poszedł do składziku na dole.

Kiedy wrócił, niemal wszyscy byli w sali jadalnej. Janusz stał na drabinie i ubierał choinkę w łańcuchy. Bliźniaki się sprawiły: narobiły ich tyle, że zieleń prawie zniknęła pod kolorowymi girlandami. Misiek podszedł, by ocenić robotę fachowym okiem, a potem zajrzał za jodłę, żeby sprawdzić, czy linki dobrze trzymają.

– Noo – powiedział z uznaniem, zwracając się do bliźniaków, które stały pod drabiną i pokazywały ojcu, gdzie wieszać kolejne metry łańcucha. – Nadrobiłyście braki w edukacji przedszkolnej i to celująco.

– Dzięki, wujku. – Paulince zabłyśły oczy.

Robuś za to był smutny.

– Co jest, chłopaku? – zapytał Misiek.

– Tęskni za pułkownikiem – wyjaśniła Paulinka poważnie.

– Nie tęsknię! – zawołał Robuś. – Przeżywam stratę doskonałego żołnierza zaginionego w akcji!

– Czy zastanawiasz się po prostu, gdzie go posiałeś? – Paulinka spojrzała na niego krzywo.

Robuś nawet się nie odciął, ani ripostą, ani kuksańcem.

– Może wyruszymy na misję poszukiwawczą? – zaproponował Misiek.

– Myśli wujek? – Bliźniak męski spojrzał na niego z powątpiewaniem.

– Rzeczy nie znikają ot, tak. Zostają skradzione, ale ta opcja jest już nieaktualna... – Misiek zerknął szybko i odruchowo na Młodego.

– Albo pożyczone w jakimś celu. A skoro tak, to muszą gdzieś być.

– Szukałem wszędzie!

– A pod choinką?

– Tam są tylko prezenty.

– A sprawdzałeś?

– Po co?

– Czyli nie?

– Noo nie.

– Więc może sprawdź? – zaproponował Misiek. – Świat jest w gruncie rzeczy prosty, to my sobie go komplikujemy, a przeważnie twój drugi wujek. Jeśli szukałeś w miejscach, gdzie pułkownika nie było, to znaczy, że jest tam, gdzie nie szukałeś, prawda?

– Niby tak.

– To wskakuj pod choinkę.

Robuś, patrząc na Miśka podejrzliwie, zanurkował pod gałęzie i po chwili wszystkich dobiegł dochodzący stamtąd wrzask.

– Pułkowniku Zooper, znalazłem cię!

Janusz wyraźnie się ucieszył.

– Wiesz, ile kosztowała ta lalka? – szepnął do Miśka. – Japońska, nie jakiś tam chiński szmelc. Wodoodporna. Oglądał ją znajomy elektronik i powiedział, że stopień skomplikowania sterowania jest niewspółmierny do funkcji.

– Może potrafi zrobić dwudaniowy obiad, inny na każdy dzień tygodnia, tylko jeszcze tego nie rozkminiliście?

– Nie, no bez przesady. – Janusz chyba nie zaskoczył, że to był żart: słaby, ale jednak żart. – Ale jest warta swojej ceny. Szwagier jak Zoobera zobaczył, to oczy mu się zaświeciły bardziej niż jemu, przysięgam.

Misiek pomyślał w tym momencie, jak różni się cena tej samej rzeczy w zależności od tego, kto jaki ma do niej stosunek. Dla jednego jest warta sporo pieniędzy, dla innego po prostu mnóstwo uczuć, a jeszcze dla innych oznacza Wigilię przy świetle i w cieple. Wszystko zależy od tego, jak na to spojrzeć.

Robuś wyskoczył spod choinki, ściskając Zoobera jak najdroższy skarb, którym w tym jednym, krótkim momencie życia chłopca w istocie był.

– Zabiorę cię na rekonwalescencję, pułkowniku. Zrobię ci order! – Nagle zatrzymał się niespodziewanie i spojrzał na Miśka. – Skąd, wujek, wiedziałeś?

– Mówiłem ci: żelazna logika. – Misiek popukał się opuszką w głowę.

– A nie ty go tam włożyłeś?

– Ja? – Na jego twarzy wykwitło święte oburzenie.

– Pokaż no tego colonela – powiedział nagle Janusz i sięgnął po Zoobera, wrywając go niemal z rąk Robusia. – Daj, nie zabiorę ci przecież! Chcę coś zobaczyć.

Podstawił go sobie pod nos, potem zaczął dłubać paznokciem w pancerzu i po chwili pokazał efekt. Na dłoni leżało kilkanaście

rudych włosów.

– Krakers...– Misiek pokiwał głową. – Kot upolował ci pułkownika, Robuś.

– Dlatego się na ciebie rzucił, kiedy chciałeś go pogłaskać, jak spał pod choinką – stwierdził Janusz, patrząc znacząco na Miśka. – Pilnował zdobyczy.

– I wszystko jasne – mruknął Misiek.

Robuś porwał pułkownika Zoobera z rąk ojca.

– Idź, opatrz mu rany zadane przez rudą bestię i przedstaw do odznaczenia – poradził mu Misiek. – I nie zapomnij zabrać go na wieczerzę wigilijną!

– No, rejczel – parsknął Robuś. – Dzięki, wujek! – krzyknął jeszcze i już go nie było.

– Dzieciaki. – Janusz westchnął, odprowadzając Robusia wzrokiem, a Misiek spojrzał na swojego dzieciaka i zamyślił się.

Chwilę później na dół zszedł twórca nowego systemu łańcuchowego, czyli Szwagier. Przetarł zaspane oczy, rozejrzał się po sali i stwierdził:

– Czyli wigilia jednak bez prądu?

– Taka wigilia *unplugged* – zażartował Misiek, ale Szwagier nie załapał.

– Pewnie coś tam się rozłączyło – stwierdził. – Trzeba by sprawdzić, co?

Misiek struchlał.

– Do tej latarni jest ze trzydzieści metrów – powiedział nieco za szybko i zbyt nerwowo, ale nikt nie zwrócił na to uwagi. – I metr śniegu. Jeszcze się wywrócisz i zrobisz sobie coś gorszego. Wiesz, otwarte złamanie, przebicie tętnicy, wykrwawienie, śmierć. Po co robić kłopot sobie i nam? Zwłaszcza na święta.

Ta tyrada przypomniła mu o Stefanie. Misiek zerknął na Młodego i kiedy spojrzeli się wzrokiem, zobaczył w jego oczach, że Jacek pomyślał dokładnie o tym samym. Z jednej strony Miśkowi było przykro, że jego syn, formalnie jeszcze dziecko, musi nosić na barkach brzemień takiej odpowiedzialności. Z drugiej strony, gdyby nie szukał kryjówki, żeby zająć blanta, nie miałby pojęcia, że Stefan w ogóle tam jest.

Nikt by nie miał i byłby święty spokój do czasu, aż nie pojawiłby się niezbyt miły zapaszek.

– Fakt, nie dokuśtykam tam w takim stanie. – Szwagier się zmartwił.

– Nikt nie podejmie się przywrócenia zasilania – powiedział smutno Misiek, w razie gdyby komuś jednak przyszło to do głowy, na przykład Januszowi. – Prawda jest taka, że tylko dzięki geniuszowi Szwagra mieliśmy to szczęście mieć go przez chwilę.

– Nie szkodzi. – Janeczka machnęła ręką. – Wszystko jest już przygotowane. Piekarniki, kuchenki i lodówki działają dzięki agregatowi, a zamiast przy zapalonych lampach, będziemy siedzieć przy świecach i kominku. Bez telewizora. I bardzo dobrze.

Misiek odetchnął. Bycie zbawcą ludzkości, a przynajmniej tej jej części zamieszkującej Świeradów-Zdrój, nie jest łatwą sprawą. Niebezpieczeństwo zostało zażegnane.

Szwagier na szczęście natychmiast zapomniał o temacie. Podszedł do jodły i zaczął się jej przypatrywać.

– Tylko nie patrz rękami, dobra? – poprosił Misiek.

– Spokojnie, Michu, podziwiam tylko swoje dzieło.

– Tak, słyszałem, że byłeś bardzo kreatywny.

Misiek już chciał powiedzieć coś mądrego, kiedy wszyscy usłyszeli trzask drzwi wyjściowych i poczuli na twarzach powiew mroźnego powietrza.



– Kto nie domknął drzwi? – Janeczka zmarszczyła brwi i ruszyła w kierunku wyjścia.

Nagle zatrzymała się jak wryta, kiedy w przedsionku zderzyła się z kolejnym bałwanem, który w ciągu ostatnich kilku dni nawiedził ten szalony dom.

– Jesteś... – Załamała ręce, ale wyraźnie szczęśliwa.

– Przecież mówiłam, że wrócę – powiedziała Malwina, otrzepując płaszcz ze śniegu.

Powiedziała to takim tonem, jak gdyby godzinę temu wyszła na przykład na zakupy albo na spacer.

Wszyscy zgromadzeni na sali zbili się w mały tłumek i, przepychając się nawzajem, ruszyli ku babci.

– Jak mama tu dotarła? – zapytał zdumiony Szwagier, który pierwszy odzyskał głos.

– To tak się cieszyacie, że babci się udało? – Malwina spojrzała na wszystkich z rozbawieniem.

– Nie, no coś ty, mammo! – Bożena rzuciła się jej na szyję. – Tylko prędzej ducha bym się spodziewała zobaczyć niż ciebie! – Obejrzała się ponad ramieniem Malwiny i spojrzała znacząco na męża.

– Ducha?

– A wiesz, różne rzeczy się tu działy, jak cię nie było. – Bożena odsunęła się od matki i spojrzała jej badawczo w twarz. – Jak się czujesz?

– Świetnie, jak mam się czuć?

– No w końcu była mama w szpitalu – zauważył Misiek.

– Ale skoro z niego wyszłam, to znaczy, że wyzdrowiałam, czyż nie? – Spojrzała na zięcia łobuzersko.

– No i o to chodzi. – Misiek uśmiechnął się szeroko. – A wracając do kwestii technicznych... – Wskazał na ciemne okno. – To jak mama się tu dostała z Lubania?

– Jak to jak? – Malwina spojrzała na niego zdumiona, jak gdyby dotarcie do odciętej od świata willi było najzwyklejszą rzeczą pod słońcem. – Wojskowym transporterem...



## 24 grudnia, godzina 16.00

### *Godzina do Wigilii*

Wszyscy usiedli przy prawie przystrojonym stole w sali jadalnej. Były już na nim nawet sianko, talerzyk z opłatkiem i oczywiście kilka lichtarzy z zapalonymi świecami. Brakowało tylko potraw, które czekały w kuchni na dole, a ich zapach dolatywał aż tutaj, powodując wzmożoną pracę ślinianek. Z dołu dobiegał też cichy terkot generatora. Choć wigilia planowo miała zacząć się dopiero za godzinę, trzeba było pewne rzeczy wyjaśnić.

– Opowiesz nam wreszcie ze szczegółami, jak się tu dostałaś? – zapytała Pelagia, kiedy wszyscy zajęli już miejsca.

– W szpitalu, w sali obok, leżał szef sztabu pułku artylerii z Bolesławca. Przesympatyczny człowiek. Miał operację ślepej кишки. Chodziliśmy razem na papieroska. – Babcia zachichotała. – Jak już mogliśmy wstać z łóżka... I to on zaproponował, że jeśli faktycznie mnie wypuszczą na święta, to załatwi mi transport. A wiadomości w telewizji były okropne, już nawet pogodziłam się, że nie dam rady dojechać do was, ani nawet zadzwonić z życzeniami, bo sieć komórkowa też padła.

– Ciociu, papierosy przy nowotworze to nie jest dobry pomysł – powiedziała cicho Alicja.

Babcia spojrzała na nią jak na zjawę. Misiek również. Podobnie Pelagia i Janeczka.

– Jezus Maria, kto ci powiedział, że mam raka? – zapytała wyraźnie wstrząśnięta.

– A... A nie masz?

– Skąd w ogóle taki pomysł? – Babcia spojrzała na ciotkę Pelagię, ale mina ciotki ewidentnie wskazywała na to, że jest tą wiadomością równie wstrząśnięta jak Malwina.

– Justyna mi mówiła. – Alicja spojrzała na siostrę.

– To prawda – przyznała Justyna.

Spuściła lekko wzrok, a potem popatrzyła na Janusza, który skinął głową tak niedostrzegalnie, że łańcuch nawet nie brzęknął. – Ale ja to wiem od Bożeny.

– Bożena?

Bożena bez słowa wyciągnęła rękę i wskazała kolejną osobę.

Tak oto łańcuszek doprowadził do ostatniego ogniwa, a ponieważ ogniwo mieszkało z babcią Malwiną, oczywiście było, że posiada informacje z pierwszej ręki. Tylko jak właśnie się okazało, nie pierwszy raz zresztą, w przypadku owego najwyraźniej najślabszego ogniwa nic nie było oczywiście. Najprawdopodobniej Szwagier pomylił jednak ręce i powziął informację nie z pierwszej, a z drugiej.

Swojej.

Wszystkie oczy zwróciły się w stronę sprawcy zamieszania, który korzystając z okazji, że jeszcze chwilę wcześniej nikt na niego nie patrzył, sięgnął po śledzia, którego zdążyła już przynieść Janeczka. Zgarbił się z pełnymi ustami, potem szybko pogryzł rybę, przełknął ją głośno i wyprostował się, przyjmując swobodną pozycję.

– To prawda, to ja powiedziałem Bożenie, że babcia ma raka. – Rozejrzał się po wszystkich. – W tajemnicy. Ale... – Zawiesił znacząco głos. – Ale to przecież mama sama mi powiedziała, że idzie do szpitala, bo ma najprawdopodobniej raka.

– Ja tak powiedziałam? Chryste Panie, co ty opowiadasz?

Szwagier zamknął oczy, a na jego twarzy pojawił się wyraz skupienia. Najwyraźniej grzebał w mrokach pamięci.

– „Zdych, idę do szpitala, bo mam karbunkuła albo raka i to w bardzo nieeleganckim miejscu, więc raczej nie dziel się tą wiedzą z innymi” – wyrecytował. – Tak mama powiedziała. Dobrze to pamiętam.

Babcia westchnęła ciężko. Pelagia również.

– Karbunkuł, czyli furunkuł mnogi to właśnie czyrak – wyjaśniła Malwina. – Mnogi. Dlatego musiałam zostać w szpitalu, bo to dość rozległy zabieg i wdało się już zakażenie. Nie powiedziałam „albo raka”, tylko „czyraka”...

– Skąd miałem wiedzieć, przecież „albo” i „czy” to to samo – zaprotestował Szwagier, albowiem nie docierała jeszcze do niego subtelna różnica.

– A czemu mnie nikt nie zapytał? – zapytała nagle Janeczka.

– Nie chciała nam pani niczego powiedzieć. Była pani bardzo tajemnicza i od samego początku podsyciała atmosferę podejrzliwości – rzucił oskarżycielsko Misiek.

– Ja?

– Tak! – poparły Miśka Ala i Justyna.

Ciotka, lekko skołowana, tylko kręciła głową.

– Wybaczcie, kochani, ale po pierwsze Malwina prosiła o dyskrecję, a po drugie wyraźnie mówiłam, że nie ma się czym martwić! – Janeczka rozłożyła ręce. – No tak czy nie?

– Zawsze się tak mówi, kiedy dzieje się coś złego...

– Nie rozumiem, czyli miałam powiedzieć „martwcie się”, żebyście się nie martwili?

– No nie, ale...

– No właśnie! Powiedziałam wyraźnie: wszystko jest w porządku. I było. To tylko drobny zabieg chirurgiczny, tyle że w miejscu... –

Janeczka utknęła i bezradnie spojrzała na Malwinę.

– Gdzie plecy tracą swą szlachetną nazwę – dokończyła babcia.  
– I nie wracajmy do tego. Są święta i wreszcie jesteśmy razem. –  
Rozejrzała się po stole z zadowoleniem, a potem spojrzała na swoją  
przyjaciółkę. – Janeczka, jak zwykle się spisałaś i jesteś absolutnie  
niezastąpiona.

– Och, Malwina, daj spokój. – Janeczka skromnie machnęła ręką.

– Co daj spokój? Prawdę mówię. To co? Już chyba czas.  
Ubierzcie się elegancko i niedługo zaczynamy.

Towarzystwo zaszemrało i zaszurało krzesłami, ale zamiast  
rozejść się do pokoi, zbiło się w małe grupki. Dziewczyny i Pelagia  
podeszły do babci Malwiny, Janusz strofował bliźniaki, które znów  
kopały się pod stołem, a Schwagier sprawdzał, czy kolejny kawałek  
śledzia smakuje tak samo dobrze jak poprzedni.

– Młody, chodź na chwilę na stronę, jeśli mogę cię prosić –  
szepnął Misiek do syna.

Odeszli kawałek od stołu, stanęli przy choince i zaczęli nieudolnie  
udawać, że ją podziwiają.

– Co jest? – szepnął Jacek.

– Ja już chyba wszystko wiem – stwierdził Misiek. – Mówię  
o Stefanie. Wiem, dlaczego zginął.

– Czyli jednak ktoś z nas go zabił? – Młody zrobił wielkie oczy. –  
Kto?

– Nie kto, tylko co.

– Nie rozumiem. Upierasz się jednak przy czymś jadowitym? Czy  
chodzi ci o Krakera?

– Nikt go nie zabił, Młody – szeptał gorączkowo Misiek. –  
W sensie nie człowiek. Ani nie Krakera. Chciwość go zabiła,  
rozumiesz? Oraz własna głupota. Bo ja wiem, co się tam stało.

Przed chwilą dostałem ostatnie elementy układanki. Wiem, czego on szukał.

– Czego?

– Karbunkułu.

– Czyraka babci szukał? To chyba w złym miejscu.

– Karbunkuł to również kamień szlachetny, rozumiesz? Rubin albo granat. Usłyszał od Szwagra o karbunkule i był przekonany, że chodzi o klejnot. Dlatego dłubał w suficie tym śrubokrętem, który ostatecznie skończył w jego wnętrzu.

– Grube. Stefan zginął z powodu czyraka i to w dodatku nie swojego. – Nagle Młody spojrzał na ojca przytomniej. – Dlaczego sądzisz, że usłyszał to od Szwagra?

– Dlaczego? Już ci mówię. Szwagier, facet o inteligencji parkomatu, zapamiętał słowo karbunkuł. To jest podejrzane. Z gruntu podejrzane, rozumiesz? Pamiętasz naszą rozmowę o ciotce Paraplegii? Jak się dziwiłem, że to zapamiętał? Ile razy w życiu słyszałeś słowo „karbunkuł”? Ile razy je wypowiadałeś? Raz? Dwa? No właśnie. Nawet my mamy kłopot, żeby je poprawnie wypowiedzieć. On musiał słyszeć to słowo często i w krótkim czasie, a nie tylko raz usłyszeć od babci. I dlatego je zapamiętał. Jak z paraplegią, i nieważne, że pewnie nie wie, co ono naprawdę oznacza. A skoro zapamiętał, to musiał o tym z kimś rozmawiać i to słowo padło kilka razy podczas tej rozmowy. I dlatego znał ten wyraz z krzyżówki, co mnie tak zdziwiło. W dodatku kiedy w przyływie dobroci pomagałem mu rozwiązywać tę krzyżówkę, powiedział coś jeszcze, na co nie zwróciłem wtedy uwagi. „Zbiegowisko okoliczności”, co w jego narzeczu znaczy oczywiście zbieg okoliczności. Rozumiesz? Dziwił się, że w krótkim czasie znów ma do czynienia z tym słowem. O szpitalu babci nie wiedział nikt poza panią Janeczką i nim, bo tu mieszkają. My dowiedzieliśmy się po



przyjeździe i to bez szczegółów. To Szwagier musiał jakoś dać cynk Stefanowi. „Karbunkuł w bardzo nieeleganckim miejscu”. Dlatego Stefan szperał w łazienkach. Przeszukał oczywiście, łatwo dostępne miejsca najpierw w górnej łazience, potem w naszych pokojach, a na końcu w dolnej. I skoro nie znalazł klejnotu, uznał, że jest gdzieś w mniej dostępnym miejscu, zapewne właśnie w tej łazience, bo podejrzane wydało mu się w końcu, że jest wyłączona z użytkowania. Co to za problem odetkać odpływ, myślał pewnie. Czyli ktoś nie chce, żeby ktokolwiek zbliżał się do niej, a dlaczego? Bo właśnie tam jest ukryty klejnot. I pewnie próbował oderwać plafon za pomocą śrubokręta i spadł z parapetu. Tak jak noc wcześniej z drabiny w łazience na górze. I zaraz sprawdzimy, czy moja teoria się potwierdzi, choć nie dowiemy się, czy bestia Krakera miała w tym swój udział, czy nie.

Misiek wyprostował się i obejrzał na Szwagra.

– Szwagier, chodź no! – zawołał go cicho.

– Trzeba pomóc? – Szwagier zerwał się od stołu i ochoczo podszedł do nich.

– Tak, dokładnie. Pytanie jest, więc skup się. Czy ty znałeś Stefana wcześniej?

– No, kojarzę go.

– Yhm. – Misiek, widząc na ustach Szwagra maleńką ość, odruchowo podrapał się w swoje. – Ale kiedy pytałem cię niedawno, czy go znasz, powiedziałaś, że nie.

– Bo nie znam! Spotkałem go raz, wiem, że miał na imię Stefan i tyle. To ewenementnie nie jest znajomość. Jesteś świadomy różnicy?

Misiek zamknął na chwilę oczy. Robił tak zawsze, by choć na ułamek sekundy Szwagier mu sprzed nich zniknął. To pomagało. Odrobinę.

Zawsze coś.

– O czym rozmawialiście? – zapytał, otwierając niechętnie powieki.

– Nie pamiętam.

– Co to znaczy, że nie pamiętasz?

– Postawił mi wódkę.

– Wódkę mówisz...

– Tato...

– Dobra, a jak go poznałeś? Co się takiego wydarzyło, że doszło do momentu, w którym pijecie razem wódkę?

– Podszedł do mnie na dworcu we Wrocławiu i zapytał, czy to mój portfel.

– Skąd miał twój portfel?

– Nie wiem. Ale był mój.

– Myślałem, że portfel ma się zwykle przy sobie.

– Oczywiście, zawsze mam, chyba że zapomnę, to wtedy nie mam, ale tym razem miał go Stefan. Czyli musiałem zgubić, nie?

– Jakoś mnie to nie dziwi. Czekam, aż kiedyś zgubisz siebie. Skutecznie.

– Tato...

– Dobra, co dalej?

– No sprawdziłem, czy są w nim dokumenty. Były, więc mu podziękowałem. A on się przedstawił i zaproponował, że może wypijemy coś w knajpie na dworcu. Wiesz, ja tam dużo nie piję...

– Tato...

– Przecież nic nie mówię. – Misiek nie spuszczał oczu ze Szwagra.

– Ale patrzysz.

– Tak, wiem, że dużo nie pijesz Szwagier, wiem, oczywiście... Za to szybko... I co, wypiliście? Dużo? Znaczą: niedużo, ale dużo? Jak

dużo?

– Tylko jeden kieliszek. Jeden, jedyny!

– To czemu nie pamiętasz, o czym rozmawialiście?

– Właśnie sam się zastanawiam. – Szwagier wzruszył ramionami. – Pamiętam tylko początek rozmowy. Pytał, czy Pelagia Rymut to moja krewna. Powiedziałem, że nie, bo moja ciocia Pelagia nazywa się Serocka.

– Nie przyszło ci do głowy, że tak się kiedyś nazywała jej siostra? Czyli twoja matka? Zanim obie wyszły za mąż? Czyli według wszelkiego prawdopodobieństwa obie nosiły to samo panieńskie nazwisko Rymut?

– Noo potem do tego doszliśmy chyba.

– Brawo. A dalej?

– No właśnie dalej nie pamiętam. Dopiero jak mnie policjanci szarpali.

– Co?

– Spałem na ławce przed dworcem i myśleli, że jestem jakimś pijaczkiem. Wpadłbyś na to? Ja pijaczkiem?

– Tat...

– Spokojnie, Młody, jestem jak skała. Dobra, Szwagier, dzięki za rozmowę, możesz lecieć.

– Gdzie?

– Słucham?

– Gdzie mam lecieć?

Misiek zerknął na syna.

– Noo nie wiem. Do swoich zajęć. Możesz na przykład coś zepsuć, chociaż twoja mama wołałaby zapewne, żebyś jednak przyszedł na wigilię. Bo to tylko tak się mówi „lecieć”, wiesz... Wiesz, no nie?

– Tak, jasne. Może wyjdę poodśnieżyć? Wreszcie przestało padać.

– O, to jest świetny pomysł, rozgrzejesz się przed kolacją. Możesz też ulepić bałwana.

– Ty wiesz, Michu, że ja wieki całe nie lepiałem bałwanów? – Szwagrowi zaświeciły się oczy.

– Tego się nie zapomina, Szwagier, ale jakby co, zabierz lustro. – Misiek uśmiechnął się ciepło i odprowadził Szwagra do drzwi spojrzeniem, a kiedy ten wyszedł, zerknął na syna i dodał: – Gdyby miał metr dziesięć wzrostu, nie miał tego bebzona i zarostu na twarzy, powiedziałbym, że jest rozkoszny. Ale nie powiem.

Nagle Szwagier przystanął i odwrócił się.

– Michu, po co mi lustro na śnieg?

– Przejęczyłem się, Szwagier. Szuflę. Chciałem powiedzieć szuflę. Zostaw lustro w spokoju. Albo może w ogóle nie wychodź, tylko rozpal w kominku.

– O, widzisz, jeszcze lepiej. – Szwagier zapalił się do pomysłu. – Pójdę po drewno do piwnicy.

– Podtrzymuję swoje słowa sprzed chwili – stwierdził Misiek, kiedy drzwi znów się zamknęły. – I nie obraziłbym się, gdyby zajął się czymś w tej piwnicy i zapomniał o wigilii. W każdym razie powiem ci teraz, Młody, jak to wyglądało ze Szwagrem. Od czego się zaczęło. Stefan łowił na dworcu jelenie. Okradał ludzi, rozumiesz? I przypadkiem skroił Szwagra z portfela. Forsy pewnie tam za wiele nie było, ale sprawdził dokumenty i zobaczył, że imię matki to Pelagia, a organ wydający to burmistrz Świeradowa. Pelagia to bardzo rzadkie imię. Pewnie z ciekawości, może z nostalgii, Stefan zaczepił go, zaprosił na wódkę i wypytał o wszystko. Mam podejrzenia, że wrzucił Szwagrowi do kieliszka jakąś pigułę na

rozwiązanie języka. Coś jeszcze mi przyszło do głowy. Kiedy Stefan zjawił się wtedy w sali i ciotka zarządziła naradę...

– No?

– Kazała mu się do siebie nie odzywać i on zapytał twojej mamy, czy może jej przekazać, że akceptuje warunki ciotki, pamiętasz? Ciotki!

– Pamiętam.

– Skąd wiedział, że Pelagia jest ciotką mamy, skoro zniknął, zanim urodziła się Bożena? – zapytał, a następnie sam sobie odpowiedział. – Od Szwagra.

– Coś mi nie gra. – Młody zmarszczył brwi. – To trochę niespójne z twoją teorią.

– Jaką?

– Tą o zapamiętywaniu trudnych słów przez wujka. Nie pamięta samej rozmowy, a zapamiętał słowo „karbunkuł”, które miało w niej padać kilkakrotnie?

Misiek pociągnął niezdecydowanie nosem.

– Wiesz, jeśli chodzi o mózg twojego wuja, to jego działanie wymyka się wszelkim schematom, co udowadniał wielokrotnie i zwykle wychodziło to bardzo drogo. Także nie traktowałbym tego jak nieścisłość, tylko coś bardzo prawdopodobnego. Koniec końców doszli do wniosku, że Pelagia to jednak ciotka Szwagra, dalej mieszka w Świeradowie, a potem od słowa do słowa wyszło, że będą rodzinne święta w willi babci Malwiny i że babcia ma raka, a w łazience ukryła szlachetny kamień. Pogadali sobie jak niewidomy z niemową o kolorach. Każdy zrozumiał po swojemu i usłyszał to, co chciał usłyszeć. Szwagier od babci, a Stefan od Szwagra. Stefan wprosił się do willi, twierdząc, że zaprosiła go Malwina, dobrze wiedząc, że tego nie potwierdzi, bo jest w szpitalu z poważną chorobą.

– A gdyby ktoś z domowników do niej zadzwonił i zapytał? – Młody zmarszczył brwi. – Stefan nie mógł wiedzieć, że padnie system i komórki będą tylko budzikami i albumami ze zdjęciami. Nikt tego nie mógł wiedzieć.

Misiek westchnął.

– Może Schwagier powiedział mu również to, że babcia idzie do szpitala? Poza tym zawsze jest ryzyko, Młody. – Wzruszył ramionami. – Pewnie opowiedziałby jakąś historyjkę, gdyby się jednak spotkali w willi. Że na przykład babcia nie pamięta, w końcu jest chora. Zobacz, jaką miał inwencję, jeśli chodzi o wymyślanie bajeczek, którymi nas karmił. To ten typ człowieka, który przyłapany na kradzieży najgłośniej będzie krzyczał: „łap złodzieja”, a jak ktoś złapie go na tej kradzieży za rękę, to w żywe oczy będzie się wypierał, że to nie jego ręka, rozumiesz?

– Ale jednak jest coś, co nie świadczy dobrze o jego inteligencji. Wiedział, że w willi będzie Pelagia. Naprawdę liczył na to, że go nie rozpozna?

– Może uważał, że przez czterdzieści lat zmienił się wystarczająco? No i sam zobacz, jak wybrnął. Mimo tego, jak on wyglądał i co na jego temat mówiła ciotka to obiecuję ci, że gdyby Stefan nie wbił sobie skutecznie śrubokrętu w zad renifera, za pół roku mielibyśmy ślub w rodzinie. Owinąłby ją sobie wokół palca.

– Stefan Czuczwar nie żył, a Mateusz Szczeklis nie istniał. Jaki ślub, tato?

– Oj, wiesz, co mam na myśli. No to żyliby na lisią łapę. Na szczęście, czy może raczej nieszczęście, bo zależy jak na to patrzeć, Stefan został kandydatem do nagrody Darwina, wyprzedzając twojego wuja o całą długość... śrubokręta. Nic to, idziemy się przebrać.

Poszli na górę. Bożena była już w pokoju.

– Najwyższy czas, gdzieście byli? – Spojrzała na nich podejrzliwie.

– Męskie sprawy – mruknął Misiek.

Kiedy Młody zniknął w łazience, Misiek zaczął zdejmować bluzę. Gdy już ją z siebie ściągnął, jego wzrok padł na okno, za którym zobaczył bladopomarańczową łunę nad centrum Świeradowa-Zdroju.

Plan wypalił, pułkownik Zooper oddał miastu swą moc.

– Czemu mi nie powiedziałaś, że babcia ma raka? – zapytał Misiek Bożeny.

– Bo nie ma. – Nie patrzyła na niego, udając, że skupia się na zapięciu sukienki.

– Ale myślałaś, że ma.

– Co to za różnica? Nie ma i już. Tylko się cieszyć.

– Byłaś z tym sama.

– Nie sama – mruknęła. – Z Alą i Justyną.

– Ale beze mnie. Bez swojego męża. Janusz też wiedział, a ja nie.

– Bo...

– Bo jestem nieczułym potworem, tak?

Bożena spojrzała na niego poważnie.

– Ostatnio nie dawałeś mi powodów do tego, żebym mogła czuć się komfortowo, rozmawiając z tobą o uczuciach czy emocjach. Moich lub innych.

– Chodzi ci o Stefana, tak?

– Na przykład. Zdziśka ci daruję, bo wiem, że wam nie po drodze, ale starszy człowiek...

Misiek westchnął.

– Nie wszystko mogę ci jeszcze powiedzieć, ale mam solidne podstawy, by sądzić, że Stefan nie miał czystych intencji,

przyjeżdżając do Malwy.

– O czym ty mówisz? I zapnij mnie, proszę.

Misiek zapiął suwak sukienki.

– No właśnie mówię, że nie mogę o tym mówić. Jeszcze.

– A kiedy będziesz mógł? – Odwróciła się i spojrzała na niego, marszcząc brwi.

– Po świętach. Zaraz po świętach, okej?

– Brzmi tajemniczo...

– Ufasz mi?

– Tak. Oczywiście.

– To dobrze. Więc poczekaj jeszcze dwa dni i wszystko ci wyjaśnię. A teraz zejźmy na dół i spędźmy ten czas jak należy.

– Okej. – Przekrzywiła lekko głowę. – Dwa dni, kolego. A potem mówisz mi wszystko.

– Stoi. – Pokiwał głową. – Muszę zakładać marynarkę, czy koszula wystarczy?





## 24 grudnia, godzina 17.00

### *Wigilia*

Kiedy Misiek zobaczył wystrojonego Szwagra, stwierdził, że przedziwny festiwal *haute couture* trwa w najlepsze. Szwagier miał na sobie koszulę koloru omszałej śliwki węgierki, przypominającą krojem bardziej sprany strój roboczy magazyniera wydziału kadłubowego stoczni okrętowej niż eleganckie ubranie.

– Fajna koszula – poczęstował Szwagra komplementem.

– Wiem. – Szwagier spuścił skromnie wzrok. – Kupiłem ją sobie w galerii handlowej, kiedy byłem we Wrocławiu.

Przez chwilę Misiek zastanawiał się, czy Szwagier nie pomylił na przykład Carry z Caritasem albo Fruit of the Loom z lumpeksem, ale to nie miało znaczenia. Stało się. Koszula Szwagra przyciągała wzrok jak magnes opiłki żelaza. Gdyby Stefan żył, Szwagier mógłby iść z nim w szranki o najbardziej odjechany *outfit* wieczoru.

– W świetle świec wygląda odjazdowo – dodał jeszcze Szwagier.  
– Normalnie odlot. Ten model i kolor to podobno hit.

– Hit bez „s” na początku – mruknął Misiek.

Nagle zadźwięczała porcelana. To babcia Malwina wstała i zastukała łyżeczką w filiżankę. Szmery rozmów ustały, kopanina pod stołem też i wszyscy zwrócili wzrok w jej stronę.

– Kochani – zaczęła mocnym głosem, a migotliwy blask płomieni świec tańczył na jej twarzy. – W tym roku wigilia i święta są,

przyznacie, wyjątkowe z różnych względów. Mój niespodziewany pobyt w szpitalu i ten śnieg, brak prądu, ale to wszystko nieważne. Ważne, że spotkaliśmy się tu wszyscy. Że jesteśmy razem. Że mamy co jeść, jesteśmy zdrowi. Za chwilę ci, którzy chcą, pomodlą się, ci, którzy nie mają na to ochoty, po prostu sobie posiedzą. Podzielimy się opłatkiem, złożymy sobie życzenia i spróbujemy tych cudów, które przygotowała nasza nieoceniona Janeczka. – Jeszcze raz obrzuciła stół spojrzeniem i po chwili dała wyraz swej znakomitej kondycji intelektualnej. – Zaraz, coś mi się nie zgadza. Dwa nakrycia dla niespodziewanych gości?

– No bo... – Janeczka lekko się zaczerwieniła. – Miałam przeliczone według stanu z przedwczoraj, a potem jak nastąpiła ta katastrofa z choinką i dawałam nową zastawę, jakoś tak się zafiksowałam...

– Jodłą – wtrącił Szwagier i zerknął z porozumiewawczym uśmiechem na Miśka. – To jodła.

– Nie rozumiem. Jaka katastrofa? I skąd ten przeciąg? – Jakby na potwierdzenie wątpliwości babci Malwiny płomienie pochyliły się od podmuchu powietrza.

Misiek zorientował się, że nikt nie odważył się jej opowiedzieć, co działo się w domu przez ostatnich parę dni.

– A właśnie, Malwina. – Pelagia starannie poprawiła bransoletki. – *À propos* niespodziewanego gościa. Co ci przyszło do głowy, żeby zaprosić do nas Stefana?

– Jakiego Stefana? – Babcia zgarbiła się lekko, jakby w obawie, że zaczyna tracić nad czymś kontrolę.

– No jakiego Stefana? Czuczwara.

– Kogo? – Malwina lekko pobladła. – Co ty bredzisz, Pela? Piłaś coś? – Nagle spojrzała na panią Janeczkę. – A może...

– Nic nie piłam, wszyscy poświadczą – zaperzyła się ciotka. – Trzy dni temu zjawił się tu Stefan Czuczwar...

– Ale to przecież nie te święta – bąknęła skonsternowana Malwina.

Misiek z Młodym zerknęli na siebie. Święta świętami, nieważne jakie, te były dla Stefana ostatnie, choć formalnie ostatnimi były faktycznie Wielkanocne. W końcu tych, które się właśnie zaczynały, biedaczysko nie dożyło.

– Przecież Stefan nie żyje od czterdziestu lat! O czym wy wszyscy bredzicie? – Babcia zdenerwowała się nagle. – Że niby zmartwychwstał? Janka, czy ty masz z tym coś wspólnego?

– Absolutnie nie, przecież to ty go tu zaprosiłaś!

– Ja? – Babcia Malwina wyglądała, jakby otaczali ją sami wariaci albo sama miała za chwilę zwariować. – Chryste Panie, co tu się dzieje? Zniknie człowiek na kilka dni i...

Atmosfera zrobiła się lekko nerwowa.

– A nie mówiłem? – szepnął Misiek Młodemu. – Wszystko się potwierdza.

– Dobrze, proszę was, podzielmy się teraz opłatkiem. – Malwina pochyliła się, żeby sięgnąć po talerzyk, na którym leżał i zastygła z wyciągniętą ręką. – Gdzie jest opłatek?

Talerzyk był pusty. Zostało na nim ledwie kilka okruszków, takich samych jak te na odjechanej koszuli Szwagra.

– Zdzisław, czy ty zeżarłeś opłatek? – zapytała zgorszona babcia.

Szwagier oblizał usta.

– Przecież mama wie, że jak się zdenerwuję, to muszę coś skubać albo podgryzać – jęknął. – Tak krzyczeliście, że nie mogłem się oprzeć.

Babcia westchnęła tylko, zaś Misiek zaczął podziwiać jej opanowanie. Mieszkała ze Szwagrem pod jednym dachem od ponad czterdziestu lat i już za samo to należał się jej medal. Wolał się tylko nie zastanawiać, jak żyje ze świadomością, że urodziła kogoś takiego jak Szwagier. Może to kwestia wytłumaczenia sobie czegoś. A może miłość matczyna, jak to zwykle z miłością bywa, jest po prostu ślepa?

– W kuchni jest jeszcze opłatek z zeszłego roku – wycodziła zimno babcia. – Idę na dół i mam nadzieję, że kiedy wrócę, wszystko już będzie z wami w porządku. Janeczka, chodź, poświecisz mi latarką.

– Przyniesiemy od razu barszcz – powiedziała skwapliwie Janeczka. – I porozmawiamy, wszystko ci wyjaśnię.

– Mam nadzieję – mruknęła Malwina i obie zniknęły, odprowadzane wzrokiem zebranych, z konsternacją wpatrujących się w białą plamkę światła latarki tańczącą między nimi.

Zapadła krępująca cisza, nawet bliźniakom nie w głowie były wygłupy. I nie wiadomo, ile by trwała, może nawet do powrotu babci, gdyby nie nastąpiło kolejne wydarzenie, które zmieniło przebieg wigilijnego wieczoru, bo oto w drzwiach stanął... Stefan Czuczwar.

Był biały jak ściana, nawet w świetle świec, choć jego twarz znaczyły niebieskie plamki, tak że wyglądała jak skorupka jaja jakiegoś ptaka. Trzymał rękę przyciśniętą do brzucha i pojękiwał cicho. Misiek zmartwiał, Młody zeszywniał i pośród lekko tylko zdziwionych nagłym pojawieniem się Stefana gości wyglądali jak dwa posągi z Wyspy Wielkanocnej.

– Gdzieś ty znowu zniknął, łachudro! – wrzasnęła ciotka. – Dałam ci drugą szansę, a ty...

– Pelagio – wykrztusił Stefan, chwiejąc się niebezpiecznie. – To nie moja wina, przysięgam!

– A czyja?!

– Nie wiem!

Misiek otrząsnął się jakoś, choć śluzówki miał wciąż wyschnięte na wiór.

– Co tu jest grane? – syknął do Młodego. – Przecież był martwy jak kamień. Sam sprawdzałeś!

– Ty też! I też nie wiem, co jest grane. Może było ich dwóch?

– Przecież to ten sam, ewidentnie...

I rzeczywiście. To coś na głowie, co teraz przypominało zatrzymamy w klatce czasu wybuch składnicy odpadów komunalnych w najdynamiczniejszej fazie tego procesu oraz wyuzdany sweterek z reniferami, z którego wciąż sterczał trzonek śrubokręta, były tak niepowtarzalne, jak odcisk palca. Przed towarzystwem stał niewątpliwie Stefan Czuczwar we własnej osobie, choć wyglądał ledwie jak jego blady i nakrapiany cień. To dlatego Misiek i Młody mieli nieodparte wrażenie, że stanął przed nimi jego duch. Byli jedynymi, którzy wiedzieli, co stało się ze Stefanem, a może nie tyle co się stało, ale po prostu wiedzieli, gdzie był, kiedy go nie było. Reszta była zagadką. Jeszcze jedną zagadką był śrubokręt z dyndającym na jego końcu Franiem, którego nikt nie zauważył i który teoretycznie pozbawił Stefana życia, choć, jak się właśnie okazało, nie do końca.

Pelagia wstała i zrobiła dwa kroki w stronę Stefana, po czym przystanąła nagle.

– Co ty masz na twarzy? – zapytała i kiedy zobaczyła, że Stefan sięga wyżej, dodała: – Nie pytam o szczątki zwierzęcia, tylko o twarz.

– Chodzi ci o te plamy?

– Tak. To może być zaraźliwe.

– Nie swędzi. – Stefan skrzywił się lekko.

– A czym ty tak śmierdzisz? – Ciotka pochyliła się i pociągnęła kilka razy nosem.

– Nie wiem, ale to chyba to, co znalazłem w kieszeni... – Stefan sięgnął do jednej z nich i wyciągnął kilka błękitnych kulek, a potem pokazał je Pelagii.

Ciotka pochyliła się jeszcze bardziej, jakby składała Stefanowi głęboki pokłon i powąchała jego dłoń, a potem popatrzyła mu w twarz.

– To przecież odświeżacz do łazienek! Coś ty znowu znalazł?

Misiek intensywnie studiował układ splotów tkaniny obrusa. Kiedy lekko uniósł głowę, napotkał wzrok Robusia. Mały potwór uśmiechnął się złowieszczo, wysunął zza stołu rękę z rozczapierzonymi palcami i pokazał je Miškowi.

– Pięć dych? – Usta Miška bezgłośnie wypowiedziały te dwa słowa, na co Robuś nieznacznie, za to z satysfakcją, skinął głową.

Misiek zaczął żałować akcji z pułkownikiem Zoobrem. Oto niewdzięczność ludzka w pełnej krasie. W święta bolała nawet mocniej.

– Co jest? – zapytał cicho Młody, widząc wzrok ojca.

– Pułkownik Zoobier kolejny raz zaginie w akcji, tym razem skutecznie – syknął Misiek. – Mały, wredny szantażysta...

– Pelagio! – Stefan tymczasem gorączkowo machał rękami, aż śliskie kulki wypadły mu z rękawów i potoczyły się, każda w inną stronę. – To było tak: postanowiłem, że w ramach podziękowania naprawię ten uszkodzony odpływ w dolnej łazience, albowiem w swym długim i ciekawym życiu parałem się z powodzeniem różnymi zajęciami, w tym również hydrauliką.

– Zaraz, zaraz, kolego, zdaje się, że to wejście w moje niekompetencje – wtrącił Szwagier.

– Być może, szanowny panie, słyszałem wiele o pańskich niezwykłych zdolnościach, lecz chęć ulżenia ludzkiej niedoli leży po prostu w mojej naturze. – Stefan uklonił się szarmancko najpierw Szwagrowi, potem Pelagii. – Podjąłem więc nieudaną, jak sędzę, próbę odblokowania odpływu, którą przypłaciłem niewytłumaczalną utartą świadomości.

– Od kiedy odpływ naprawia się przy suficie, co? – szepnął Misiek, mrugając do syna.

– Co to znaczy: jak sędzę? – Pelagia zmarszczyła brwi.

– Ponieważ nie znam efektu swojego działania. Po prostu nie pamiętam, czy go odetkałem czy nie.

– To co tam robiłeś tyle czasu?

– Też chciałbym to wiedzieć. Naprawiałem odpływ, kiedy nagle poczułem zawroty głowy i upadłem, a kiedy się obudziłem, miałem w brzuchu to oto narzędzie, a w kieszeniach te pachnące kulki. Niczego więcej nie pamiętam...

– Stefan, nie było cię dwa dni, do cholery. Z kogo ty głupka robisz? Ze mnie?

– Broń panie Boże, Pelagio, gdzieżbym śmiał! – Spojrzał na swój brzuch. – Bardziej martwi mnie to. Zrobimy coś z tym?

Pstryknął palcem i Franio zakołysał się na końcu trzonka śrubokręta.

– Chryste, Stefan, po jaką cholereę wbiłeś sobie to coś w brzuch? – zawołała zszokowana ciotka.

– Moja droga, zdaję sobie sprawę, że masz o mnie nie najlepsze zdanie, i szanuję to, ale jednak są granice, a ja nie jestem idiotą.

– Fakt. – Zreflektowała się ciotka. – Idiotą nie, tylko krętaczem i łotrem. Justynka! – zakomenderowała. – No zrób coś!

– Co mam zrobić? – Justyna wstała od stołu i też podeszła do Stefana. – W żadnym razie nie można tego wyciągać. Trzeba go



zawieźć do szpitala i to natychmiast!

– Jesteśmy odcięci od świata – zwrócił uwagę Misiek. – Poza tym, skoro to tkwi tam od dwóch dni, to może nie jest tak źle?

– Co ty gadasz za bzdury? – Bożena się zdenerwowała. – Znowu zaczynasz? Jak może nie być źle? Człowiek ma śrubokręt wbity w brzuch! Poza tym, nie jesteśmy już odcięci od świata, przecież babcia jakoś tu dotarła.

– Misiek może mieć rację – powiedziała Justyna, kucnęła przed Stefanem, chwyciła jego sweterek za brzeg i uniosła lekko. – Bardzo nietypowe miejsce... – mruknęła.

– Mówisz o reniferze? – Misiek nie mógł się powstrzymać.

Szok przyjmuje różne formy, czasem nawet głupkowatej wesołości.

– Nie, o miejscu na brzuchu. Najprawdopodobniej śrubokręt wbił się w taki sposób, że ominął jelita, naczynia krwionośne, a nawet narządy wewnętrzne, nie powodując ich perforacji. Szansa jedna na tysiąc, ale wygląda na to, że nie spenetrował żadnych istotnych życiowo miejsc.

– No błagam, nie przy jedzeniu – jęknął Szwagier z pełnymi ustami.

– Coś nieprawdopodobnego. – Justyna pokręciła ze zdumieniem głową. – Nie ma symptomów zakażenia, a po takim czasie już byłoby je widać. I wokół rany, i po stanie pacjenta... Znaczy pana Stefana.

– Wystarczy Stefana, złotko – odparł słabo Stefan i zapytał: – Czy to znaczy, że będę żył?

– Na to wygląda. Ale wyciągnięcia się nie podejmuję. Wezwijmy pogotowie czy tam transporter i spokojnie poczekajmy.

– Ty cholerny farciarzu... – Pelagia kręciła ze zdumieniem głową. – Ciągle ci się udaje!

– Czekaaj, czekaaj! – Szwagier wyprostował się nagle i zastygł z otwartymi ustami. – Co ja widzę!

Wstał od stołu, obszedł go ze spojrzeniem wbitym w Stefana i podszedł do niego. Jego wzrok skierowany był wcale nie na makietę tornada na głowie starszego pana, tylko w dół.

– Hej, przecież to Franio! To mój śrubokręt! – zawołał ze zdumieniem i nim ktokolwiek się zorientował, chwycił za rączkę i pociągnął ją mocno jak dwulatek, który stwierdził, że kolega z piaskownicy zabrał jego zabawkę.

Stefan zrobił wielkie oczy i otworzył usta do krzyku, jednak nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Chwycił się za brzuch, obmacując po kolei wszystkie renifery na sweterku, obejrzał swoją dłoń i zamknął usta. Wszyscy patrzyli na to ze zgrozą w absolutnym milczeniu i bezruchu.

– Nie boli – wyszeptał Stefan.

Z wahaniem uniósł sweterek i oczom wszystkich ukazał się jego pomarszczony brzuch. Po prawej stronie pępka był drugi, nieco mniejszy i bardziej wklęsły niż ten prawdziwy.

– W ogóle nie boli – powtórzył zdumiony Stefan. – I nie ma krwi...

Justyna oprzytomniała pierwsza. Rzuciła się ku Stefanowi i znów kucnęła przed nim, oglądając ranę po śrubokręcie.

– Tato, może Stefan jest pluszowy? – zapytał cicho Młody, a Misiek zabezczał nagle jak głodna owca na łące po niekontrolowanym wypalaniu traw.

– Przepraszam. – Zmitygował się, opuszczając głowę i tłumiąc kolejny wybuch śmiechu.

Zbulwersowani goście popatrzyli na niego ze zgorszeniem, ale Miśka uratowała Justyna, krzycząc na kuzyna.

– Zwariowałaś? Mogłeś go zabić!

– Ale to mój śrubokręt! – Szwagier patrzył na nią, najwyraźniej zdziwiony, czego od niego chce. – Krzyżakowy.

Justyna wydała z siebie odgłos stanowiący przeraźliwie szczerą artykulację jej odczuć, których historia sięgała głębokiego dzieciństwa. Gdyby witraż był odrobinę niżej, to, co z niego pozostało, zapewne pękłoby, obsypując wszystkich kolorowym, szklanym deszczem.

– Sam jesteś krzyżakowy – sapnęła. – Krzyżówka rozwielitki, moździerza i tłuczka do mięsa.

– Możesz powtórzyć? – poprosił Szwagier, przetykając sobie uszy palcami. – Tak ryczałaś, że mi w uszach piszczało i nie usłyszałem. O, teraz jeszcze gorzej słyszę!

Justyna chwyciła jego nadgarstki, odsunęła je i palce opuściły małżowiny Szwagra.

– Właśnie cię wyleczyłam – szepnęła zrezygnowana. – Wracaj do stołu, dobra?

Stefan chyba zapomniał o tym, co jeszcze przed chwilą sterczało z renifera i z niego, bo obserwował całą sytuację wyraźnie rozbawiony. Szwagier wzruszył tylko ramionami i wrócił na swoje miejsce, od razu biorąc się za jedzenie.

– Już wiem, czemu wszystkie wyprowadziłyście się z willi – szepnął Misiek, tym razem do Bożeny. – I przykro mi, że musiałaś czekać, aż się poznaliśmy.

Bożena miała kamienną twarz. Żarty na temat jej brata nie śmieszyły jej już od dawna, zapewne na tej samej zasadzie, na której na przykład łysych nie bawią żarty o łysych.

Justyna popatrzyła na Stefana.

– Mam takie plasterki, które zastępują szwy w płytkich rozcięciach skóry. Jeden powinien wystarczyć, tylko musi pan dbać, żeby nie zanieczyścić rany.

– Jaki tam pan, złotko. – Westchnął. – Po prostu Stefan.

W tym samym momencie wróciła babcia Malwina z wazą barszczu. Kiedy stanęła w drzwiach i zobaczyła zmarłego, czy też zaginionego, męża swojej siostry, waza wypadła jej z rąk, roztrzaskała się o parkiet, a olbrzymia plama buraczkowego koloru rozlała się po nim, sięgając nóg stołu.

Wyglądała jak monstrualna plama krwi.

– A kysz, siło nieczysta. – Przeżegnała się, ponieważ miała już wolne ręce, a potem zaczęła słać się na nogach.

Janeczka, idąca za babcią z talerzykiem z opłatkiem w ręku, podbiegła do niej czym prędzej i podtrzymała ją.

– Dopiero wyszłam ze szpitala – wyszeptała babcia ze wzrokiem utkwionym w świetlik nad sobą.

– Spokojnie, Malwinko, to prawdziwy Stefan, tylko trochę sfatygowany. Wszystko ci wyjaśnimy! – Popatrzyła na towarzystwo.  
– Zdażyłam jej powiedzieć tylko o choince.

– Zaczniście te wyjaśnienia od tego. – Babcia z zadartą głową wpatrywała się w paździerzową płytę zakrywającą część witraża. – Mój Liczyrzepa... Mój piękny Liczyrzepa...

– Wszystkie szkiełka są starannie wyzbierane, aktualnie jestem w trakcie dekonstrukcji – zapewnił ją Szwagier z głębokim przekonaniem w głosie. – Niech się mamusia absolutnie niczym nie przejmuje, to się naprawi.

– Ciekawe, co mu wyjdzie z tego składania? – Młody zadał ojcu oczywiste pytanie.

– Pewnie Liczyżopa – stwierdził Misiek.

– Mała przerwa techniczna! – ogłosiła pani Janeczka, patrząc z niepokojem na bladą twarz przyjaciółki. – Proponuję przerwę na papierosa, łyk nalewki czy co kto tam chce. Stefan idzie się umyć,

Malwina ochłonać, dziewczyny sprzątają i wszyscy spotykamy się za pół godziny. Wykonać!

– Jacuś, czy mógłbyś w najbliższym czasie... – urwała babcia nagle, ale widać było, że jej oczy rozpaczliwie starają się dokończyć zdanie.

– Oczywiście, babciu. Zaraz po wigilii, co babcia na to?

– Postaram się jakoś wytrzymać. Na razie poratuję się nalewką.

Janeczka, podtrzymując ją za łokieć, obrała kurs na kuchnię, a zaraz za nimi poszły dziewczyny. Stefan chwiejnym krokiem podążył do swojego pokoju. Janusz z dziećmi zostali przy stole, Szwagier oczywiście też, co w obecnej sytuacji było najbezpieczniejszą opcją.

– Chodź, Młody – rzucił do syna Misiek.

– Dokąd?

– Pogadać.

– O czym chcesz ze mną gadać?

– Nie z tobą.

– A z kim?

– Ze Stefanem...

– Co?

– Nie przełknę nawet jednego uszka, dopóki nie upewnię się, o co chodziło z tym jego zmartwychwstaniem. Idziemy do niego. Trzeba to wreszcie wyjaśnić.

Odczekali chwilę, niby zajęci rozmową, a kiedy kobiety zniknęły na dole, ruszyli ku schodom.

– Co babcia od ciebie chciała? – zapytał Misiek, kiedy wdrapywali się na piętro.

– Nic.

– Jak to nic?

– No nic.

Misiek przystanął i westchnął.

– Myślałem, że sobie wszystko wyjaśniliśmy. A tu znowu jakieś tajemnice?

Jacek obejrzał się na boki i też przystanął, lekko zrezygnowany.

– Chodziło jej pewnie o skręta...

– Co?! Skąd...?

– Znalazła mój zapasik w kamperze, kiedy byliśmy na wakacjach.

– Nie przypominaj mi o kamperze. – Misiek poczuł, jak zaciskają mu się szczęki.

– Dobra, znalazła i podebrała mi jednego. Zorientowałem się, że coś nie gra, ale myślałem, że to wujek. A potem poprosiła o jeszcze jednego i to właśnie wtedy opowiedziała mi o nim, że wcale nie był w czerwonych beretach. Jeździła wtedy na wózku, bo była po operacji biodra, więc zawiozłem ją na plażę i zapaliliśmy sobie tam razem.

– Chcesz powiedzieć, że babcia wiedziała wcześniej ode mnie? – Głos Miśka zabarwiony był wyraźną zazdrością.

– To nie był mój wybór, tato, no... – jęknął Młody. – Samo wyszło. Naprawdę myślisz, że to jest coś, z czym dzielisz się ze swoimi starymi?

– Niech ci będzie. – Misiek machnął ręką i podjął wspinaczkę. – Zamykamy temat.

Do pokoju Stefana pozwolili sobie wejść bez pukania, na szczęście drzwi nie były zamknięte na klucz. Stefan zdążył już wejść pod prysznic, z łazienki dochodził szum wody, a on chyba nie mógł się doczekać, aż pozbędzie się wszystkich pozostałości dziwnej, niezrozumiałej przygody. Korzystając z okazji, Misiek rozejrzał się po pokoju, zajrzał do szuflad biurka i do szafy, ale nie znalazł niczego, naprawdę niczego. Usiadł więc koło syna na łóżku i tak czekali w milczeniu, aż Stefan dokona ablucji.

Kiedy kilkanaście minut później Stefan wyszedł z łazienki i zobaczył Miśka oraz Młodego siedzących na jego łóżku, lekko pobladł. Wciąż nie wyglądał zbyt zdrowo. Biały szlafrok wisiał na nim jak kapota na strachu na wróble, u dołu wystawały z niego chude, blade łydki i wielkie stopy. Na twarzy wciąż jeszcze miał ślady plam i Misiek miał podejrzenia, skąd się wzięły: zarówno tam, jak i na nadgarstkach, do których przylegały kulki odświeżacza powietrza wsadzone przez Miśka pod rękawy sweterka.

– Witam panów... – Po minie Stefana widać było, że może nie tyle spodziewał się tej wizyty, co nie był nią aż tak zaskoczony.

Wiedział, że przyszedł czas zagrać w otwarte karty. Misiek zdecydowanie posadził go na fotelu, sam usiadł przed nim na krześle, zaś Młody został przy drzwiach, gdyby Stefanowi przyszło coś niezbyt mądrego do głowy.

– Dobra, nie będziemy kluczyć, bawić się w jakieś głupie gierki – zaczął Misiek. – Nie chciałeś przepchać odpływu w wannie.

– Nie? – Stefan chyba jednak chciał się bawić.

– Czy ja nie mówiłem przed chwilą, że ma być bez zabaw w głupie gry?

Starszy pan mlasnął i uciekł spojrzeniem gdzieś w bok.

– W zasadzie domyślamy się wszystkiego – powiedział Misiek zdecydowanie. – Chciałeś na dworcu oskubać Szwagra, zorientowałeś się, że to krewny ciotki Pelagii, a kiedy z ciekawości, bądź jakiegokolwiek innego powodu, zacząłeś go wypytywać o szczegóły, wyszło, że babcia Malwina, z którą również kiedyś się zetknąłeś, ukryła karbunkuł w toalecie. Zgadza się? – Misiek popatrzył badawczo na Stefana, robiąc wszystko, by wzrok nie ześlizgnął się na to, co miał na głowie.

– Mniej więcej – odparł Stefan po dłuższym namyśle. – Jak na to wpadliście?

– Dedukcją. – Misiek zerknął szybko na Młodego. – W którym miejscu mniej, a w którym więcej?

– Wszystko się zgadza, mówię o przebiegu zdarzeń, ale moją motywacją wcale nie był klejnot. Owszem, wyciągnąłem z niego informację o karbunkule, choć dużo gimnastyki umysłowej mnie to kosztowało.

– Nie było żadnego klejnotu. Szwagier wszystko pomieszał.

Stefan zrobił wielkie oczy.

– Jak to nie było? – stęknął.

– Nie było. Nie chodziło o karbunkuł schowany w toalecie, tylko o czyrak mnogi w nieeleganckim miejscu babci. Domyśl się w jakim.

– Przecież Zdzisiek...

– Nie zorientowałaś się, co to za typ?

– Podobno miał jakiś wypadek.

– On sam jest jednym, wielkim wypadkiem, a to, co ci się przydarzyło, jest skutkiem tego wypadku. Te skutki odczuwa cała rodzina od dawna. Naprawdę rozumiemy, co czujesz.

Stefan oklapł. Jego chuderlawa klatka piersiowa zapadła się jeszcze bardziej, ramiona okryte białym materiałem szlafroka obwisły, a twarz wyraźnie posmutniała.

– Czyrak... – Westchnął. – Nie do wiary.

Misiek przypatrywał mu się z zainteresowaniem.

– Więc skoro nie kamień, to co było twoją motywacją? – zapytał.

Stefan spojrzał smętnie na swoje dłonie. Odruchowo zaczął zeskrobywać niebieskie plamki, jakby stracił zainteresowanie rozmową, a Misiek z Młodym przypatrywali mu się przez dłuższą chwilę. Widać było, że się namyśla.

– Jestem złodziejem – wyznał niespodziewanie. – Od dziecka. Złodziejska tradycja przechodziła w mojej rodzinie z pokolenia na pokolenie i każde dziecko stawało się w końcu tym, kim rodzice.



Praktycznie bez żadnego wyjątku. Historia mojego rodu to historia spektakularnych kradzieży i równie spektakularnych wpadek. Zanim mnie i mojego brata odebrano rodzicom i umieszczono w domu dziecka, nabraliśmy biegłości w złodziejskim fachu. Żyliśmy na ulicy, żyliśmy z tego, co nam dała, żyliśmy z ludzkiej naiwności i głupoty. Kiedy skończyłem osiemnaście lat i wyszedłem z bidula, nie miałem do czego wracać. Mogłem wrócić tylko tam, skąd mnie zabrano. Zmieniałem nazwiska i tożsamość kilkakrotnie z różnych względów: bezpieczeństwa, wygody i z powodów zawodowych. Moje życie to kłamstwo i oszustwo, ale zrozumcie, tak zostałem wychowany. I kiedy przypadkiem trafiłem na tego przesympatycznego człowieka o małym rozumku, coś we mnie pękło. Pomyślałem sobie, że cudownie byłoby spędzić chociaż święta bez obawy o to, czy będę głodny, ścigany, zmarznięty. Chociaż kilka dni. Spędzić je w sympatycznej atmosferze, z miłymi ludźmi, którym obce jest kłamstwo i którzy brzydzą się nim. Bo całe moje życie było kłamstwem. Patologicznym. Nie umiem żyć, nie kłamiąc i nie kradnąc. Czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci, tak, tak... Mam siedemdziesiąt pięć lat, moi panowie, i nie potrafię inaczej. A tu miałem okazję przez kilka dni żyć normalnie, z normalnymi ludźmi. W dodatku nie do końca obcymi, bo mogłem traktować was trochę jak rodzinę.

– Stefan, z całym szacunkiem, którego i tak nie mam za wiele, bo chyba na niego nie zasłużyłeś, ale teraz to przeginasz. Naprawdę myślisz, że z mych ocz trysną teraz ruczaje łez? Może mamy cię jeszcze przytulić i pogłaskać po... Tym, no...

Stefan uśmiechnął się smutno.

– Już wam wszystko tłumaczę. Bo jeśli chodzi o kłamstwa, to chyba należy wam się jeszcze jedno wyjaśnienie. Nie nazywam się Czuczwar, choć naprawdę mam na imię Stefan. Tylko imię jest

jedynym prawdziwym i stałym elementem mojego życia. Jak haczyk zaczepiony po jasnej stronie, który nie pozwalał mi się stoczyć do końca w odmęty ciemności. To potworne nazwisko, które miało mnie upodlić i stanowić karę na resztę życia nadano mi w domu dziecka, żeby mnie ostatecznie odciąć od złodziejskich korzeni. Bo naprawdę nazywam się Pałasz. Stefan Pałasz.

– Ożeż... – Misiek bezwiednie zasłonił dłonią usta, które rozdziawił w wyrazie kompletnego zaskoczenia.

Młody też nie wyglądał lepiej i to właśnie do niego zwrócił się teraz Stefan.

– Wiesiek, mąż Malwiny, twój dziadek, chłopcze, był moim rodzonym bratem. – Położył dłoń na jego ramieniu i opuścił głowę. – Odebrano nas naszym rodzicom, którzy wpadli na dużej kradzieży w spółdzielni futrzarskiej w pięćdziesiątym ósmym roku. Dostali bardzo duże wyroki, a my... Nas rozdzielono i wsadzono do biduli na dwóch różnych końcach kraju. Spotkaliśmy się od razu po wyjściu, po osiągnięciu pełnoletności. Dla bezpieczeństwa zdecydowaliśmy, że nasze złodziejskie ścieżki będą biegły osobno i nie będziemy pracować razem. A potem Wiesiek poznał Malwinę, do której wcześniej smałem cholewki ja. Resztę historii znacie. Wiesiek wkrótce porzucił złodziejski fach i ożenił się z Malwiną. – Stefan rozejrzał się dookoła ze smutkiem w oczach. – I wygląda na to, że wyszedł na tym o wiele lepiej niż ja, pozostając w zawodzie. Ale cóż, czasu nie zawrócisz.

Młody był wyraźnie zafascynowany historią Stefana, natomiast Misiek wyglądał na sceptycznego.

– Skąd mamy wiedzieć, że teraz też nie kłamiesz? – zapytał.

– Oto konsekwencja moich uczynków jak gład wtaczany przez Syzyfa na szczyt góry, który wymyka mu się ciągle i stacza na dół. – Stefan westchnął głęboko. – Rozumiem wasze wątpliwości. Naturą

kłamcy jest kłamać, to prawda. Ale tym razem mówię prawdę, przysięgam na wszystko, co jest mi drogie. Ta sytuacja na dworcu to nie mógł być przypadek. To musiał być znak opatrności.

Misiek cmoknął kącikami ust.

– Bardzo ładnie, Stefan, ale coś mi tu nie gra. Bo jak ta wzruszająca historia ma się do tego, co robiłeś w łazience? Tam chciałeś spędzić święta?

Stefan znów opuścił głowę i dziw natury ukazał się Miśkowi i Młodemu w całej swej przedziwnej okazałości.

– To prawda. Jak wspomniałem, chciałem odnaleźć klejnot i zabrać go. Przywłaszczyć czy raczej, no, powiedzmy sobie wprost, ukraść, choć jak już wspomniałem, nie to było moim głównym celem. Był niejako tematem pobocznym, oczywiście przyznaję: całkiem interesującym. Dlatego włamywałem się do pokoi i sprawdzałem łazienki. To ja byłem tamtej nocy w łazience górnej, spadłem z drabiny i zaplątałem się w tę nieszczęsną zasłonkę. Wystraszony hukiem, którego narobiłem, a właściwie groźbą odkrycia nim spowodowaną, zacząłem uciekać do swojego pokoju wciąż zaplątany w tę płachtę. I wtedy bliźniaki zaczęły wrzeszczeć. – Pokiwał ze smutkiem głową. – Tak, to wszystko ja. Ale wyjaśnienie mojego postępowania jest proste, moi panowie.

– Na razie nie brzmi, jakby było proste – stwierdził Misiek.

– A jednak. Zobaczcie: przecież nie mogę zostać tu na stałe. Muszę wrócić w końcu do swojego życia i muszę mieć za co je wieść. A to była doskonała okazja, żeby upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. I dlatego szukałem klejnotu po nocach w łazienkach, choć teraz darować sobie nie mogę swojej naiwności. Wyszedłem na idiotę, a najgorsze jest to, że zrobił go ze mnie jeszcze większy idiota. To chyba najsmutniejsze w tym wszystkim. Wręcz żałosne.

Stefan opuścił głowę wyraźnie zasmucony swoim losem. Miśkowi zrobiło się go nawet żal, choć i tak uważał, że staruszek miał lepiej. W końcu nie musiał na przykład wywalać kilku pensji za zniszczenia kampera, ani zwracać równowartości kolejnej za pożyczony od kumpla wykrywacz metali, który ukradł Szwagrowi pies marki jamnik. Szorstkowłosa w dodatku.

– Dobra, to teraz ostatnia rzecz – powiedział twardo. – Chcielibyśmy wiedzieć, jak to się stało, że byłeś martwy dwa dni, a potem ożyłeś. I o ile numer, który zrobiłeś ciotce czterdzieści lat temu da się jakoś logicznie wytłumaczyć, o tyle tego już nie.

Stefan spojrział na niego i rozłożył szeroko ramiona. Z jego twarzy biła niewinność i kryształowa uczciwość.

– Posłuchajcie, ja tego nie wiem, rozumiecie? Nie mam pojęcia, jak to możliwe. Moją uwagę zwrócił element gipsowego plafonu na suficie. Przyszło mi do głowy, że to doskonałe miejsce na ukrycie klejnotu: wciśnięcie go w środek zdobienia i zamalowanie. Kiedy próbowałem wydłubać to śrubokrętem, coś skoczyło mi na głowę i niczego więcej nie pamiętam. Ocknąłem się, nie wiedząc, gdzie jestem, i nie mogąc się ruszyć. Nie miałem świadomości, ile czasu upłynęło. Minęła dobra godzina, zanim mogłem chociaż drgnąć i skinąć palcem. Przez następną zbierałem się z podłogi. Potem zastanawiałem się również, skąd wziął się śrubokręt w moim brzuchu. Naprawdę mnóstwo czasu zajęło mi dojście do siebie, przynajmniej na tyle, żeby dodreptać do sali jadalnej. Ale mam pewną hipotezę. Otóż w grę wchodzić może trucizna niewiadomego pochodzenia, ponieważ mogą świadczyć o tym niektóre z obja...

– Co powiedziałaś? – szepnął Misiek, unosząc dłonie.

– Trucizna. Niewiadomego pochodzenia.

– Jezu, czemu nie pomyślałem od razu o tym, tylko o jakichś pająkach? – wyrzucił sobie. – Co jadłeś tego dnia?

– To, co wszyscy...

– A oprócz tego?

– Nic, przecież nie mam dostępu do kuchni... A nie, przepraszam, tak się złożyło, że ten dostęp sobie w nocy załatwiłem. Pozwoliłem sobie tam wejść i zjeść kilka dropsów.

– Dropsów?

Stefan z zawstydzeniem odwrócił twarz.

– W wyniku niedoboru różnych substancji spowodowanego moim trybem życia, takich jak na przykład cynk albo witaminy, czasem miewam niepohamowane napady chęci na coś słodkiego. Tej nocy, zanim zacząłem szukać klejnotu, zakradłem się do kuchni, ale jedyną słodką rzeczą, jaką znalazłem, były dropsy. Zdaje się, że Zdzich wyżarł szarlotkę i sernik.

Misiek nie przyznał się, że wydatnie pomógł Szwagrowi w zniknięciu ciast, ponieważ nie miało to absolutnie żadnego związku ze sprawą. Za to zaczęło coś mu świtać.

– Jak wyglądało opakowanie? – zapytał.

– Były w takiej plastikowej fiolce. Śmiesznie pyknęła przy otwieraniu.

– Jezu... Ile tego wzięłeś?

– Zjadłem wszystkie, bo nie mogłem się opanować. Były bardzo smaczne.

– Masz szczęście, że w ogóle żyjesz. – Zmarszczył brwi. – A czy przypadkiem...

– Co przypadkiem?

– Nie, nic. – Misiek machnął ręką. – Przecież ty nie pijesz.

Stefan spuścił głowę.

– Wtedy też kłamałem. Chciałem zrobić dobre wrażenie na Pelagii. Musicie wiedzieć, że zdarza mi się napić.

– Okej, nie ma sprawy, nikt nie jest doskonały. I już wiem, czemu tak uciałeś temat, kiedy Szwagier zaczął coś mówić.

– Tak, piłem z nim wódkę na dworcu we Wrocławiu. Nie chciałem, żeby się wygadał.

– Jego była czymś zaprawiona?

Stefan uciekł spojrzeniem.

– Czasem trzeba używać różnych narzędzi, żeby zdobyć potrzebne informacje. – Wzruszył chudymi ramionami. – Takie życie.

– Dobrze, nie wracajmy do tego, ale w takim razie zapytam, czy piłeś może potem nalewkę od Janeczki? Po tym, jak zjadłeś dropsy?

– Tak, poczęstowałem się. – W oczach Stefana mignęło ożywienie. – Nawet bardziej niż poczęstowałem, przyznaję. Nie mogłem się oprzeć, przecież to jest arcydzieło bimbrownictwa, rozkosz dla podniebienia i duszy, to powinno zostać wpisane na listę niematerialnego dziedzictwa kulturowego UNESCO...

– To chyba już wszystko jasne – mruknął Misiek.

– Co jest jasne? – zapytał Stefan.

– To, co ci się stało. To znaczy nie mówię o mechanizmie, mówię o przyczynie.

– Masz na myśli to dziwne odrętwienie?

– Tak. Tabletki na uspokojenie, które nieopatrznie wziąłeś za dropsy, oraz nalewka osobno nie stanowią zagrożenia, ale razem wchodzi w jakąś dziwną interakcję w organizmie, powodując...

– Zzombienie – podrzucił Młody.

– Co? – Stefan i Misiek spojrzeli na niego jednocześnie.

– No jak zombie: martwy i żywy jednocześnie. Czy tam na odwrót.

– Nie, nie, nie. – Misiek zdecydowanie pokręcił głową. – On był przez cały czas żywy, tylko w stanie czegoś w rodzaju hibernacji, katatonii czy jak to nazwać.

– Zzombieniem – upierał się Młody.

– Młody, ja wiem, że twój młody umysł jest nasączony nieodpowiednimi treściami, ale to jest prawdziwe życie, a nie film, rozumiesz? Procesy życiowe nie ustały i nie zostały przywrócone w jakiś nadnaturalny sposób, tylko uległy znacznemu spowolnieniu.

– Westchnął. – Ja wziąłem dwie tabletki i popiłem je kieliszeczkiem. Czuję tylko lekkie odrętwienie oraz ogólną niechęć do wykonywania jakichkolwiek czynności wymagających ruchu. Ale ty...

– Pokręcił głową. – Wzięłeś końską dawkę, Stefan. Dobrze, że nie podjęliśmy jednak nierozważnych kroków w związku z tą sytuacją.

– To znaczy jakich? – Stefan się zaniepokoił.

– No wiesz, padały różne pomysły...

– Chcieliście mnie zakopać?

– Nie, no wiesz, jest półtora metra śniegu, a pod nim zamarznęta ziemia, więc byłoby trudno ze względów technicznych, ale nie drażmy, jeśli pozwolisz, bo koniec końców zdecydowaliśmy się zostawić cię na miejscu i zająć się tobą po świętach. Może już nie wracajmy do tego, tylko cieszymy się życiem i świętami? Idziemy do stołu, pewnie już wszyscy na nas czekają.

Poczekali, aż Stefan ubierze się, odwracając wzrok. Kiedy skończył, z zaskoczeniem spostrzegli, że znów ma na sobie sweterek w jelenie zadki.

– Słuchaj, może pożyczę ci jakąś koszulę? – zaproponował Misiek.

– Nie, dziękuję – odparł Stefan. – To prezent od Pelagii. Jest niewątpliwie świąteczny, a mała dziurka nie przeszkadza, nawet jeśli jest w niewłaściwym miejscu.

Misiek, którego nie przekonywał napis na sweterku, wciąż był zdania, że byłby świąteczny wyłącznie wtedy, gdyby w Chinach obchodzono Rok Jelenia.

– No dobra, chodźmy stanąć w prawdzie.

– Wreszcie. – Stefan uśmiechnął się. – Wreszcie...

Zeszli na dół. Wszyscy już wrócili stamtąd, dokąd poszli, babcia Malwina też już siedziała przy stole, a obok niej, na krześle przycupnęła Janeczka. Wyglądało na to, że babcia została już uświadomiona i teraz w jej oczach zamiast strachu i zdziwienia była wyłącznie lekka odraza.

I nie chodziło w żadnym razie o to, co jak zwykle wieńczyło głowę Stefana.

Misiek zatrzymał się i położył dłoń na jego ramieniu.

– Mamo – oznajmił uroczyście. – Stefan chciałby coś mamie powiedzieć. Myślę, że ciocia też mogłaby posłuchać. W zasadzie moglibyśmy tego posłuchać wszyscy. To chyba jest dobra okazja. – Rozejrzał się po zebranych, po stole, a na koniec obrzucił spojrzeniem jodłę upstrzoną łańcuchami i wrócił na swoje miejsce przy wigilijnym stole.

A Stefan został na środku sali jak solista bez akompaniamentu i wyśpiewał wszystko. Opowiedział swoją smutną historię, której wszyscy słuchali z otwartymi ustami i mokrymi oczami. Słowa płynęły w ciszy, nieruchome twarze zastygły w zdumieniu i tak zostały, kiedy Stefan skończył swą opowieść. Oczywiście za radą Miśka ominął pewne niewygodne szczegóły, które były nieistotne dla sprawy, za to mogły wprowadzić niepotrzebny chaos i wzbudzić niezdrową sensację.

Pelagia doszła do siebie pierwsza. Wstała i chwiejnym krokiem ruszyła ku Stefanowi.

– Czekał, Pela! – powstrzymała ją Malwina. – Czekał.

Ciotka zatrzymała się w pół kroku.

– Co?



Teraz babcia podeszła do Stefana i stanęła przed nim, pochylając głowę, żeby móc spojrzeć mu w twarz.

– Mój świętej pamięci Wiesiek miał na ramieniu niewielką, charakterystyczną bliznę. Kiedyś zapytałam go, co to i skąd ją ma. Powiedział, że jeśli kiedykolwiek spotkam człowieka, który ma coś podobnego, to będzie to jego brat, którego mu zabrano. Więc jeżeli Wiesiek był twoim bratem, możesz to łatwo udowodnić! – Malwina twardo patrzyła Stefanowi w oczy.

Stefan, nie spuszczając wzroku z twarzy Malwiny, zaczął zdejmować koszmarne sweterek. Kiedy ściągnął go z siebie przez głowę, to, co na niej miał, przybrało rozmiary klęski żywiołowej, ale babcia Malwina nie zwracała na to uwagi. Powoli przeniosła spojrzenie na nagie prawe ramię Stefana, a potem dotknęła niewielkiej blizny.

– Jezu, pałasz... – szepnęła i zszokowana odwróciła się do ciotki. – Pela, to naprawdę brat mojego Wieśka...

Stefan zaczął się ubierać.

– Zrobiliśmy sobie z Wieśkiem te znaki żyłkami, kiedy już wiedzieliśmy, że rozdziela nas i zabiorą do domów dziecka. Wiedzieliśmy, że nasze drogi nigdy się nie zejdą i chcieliśmy mieć coś, co nam będzie o sobie zawsze przypominać. Te blizny w kształcie szablek, właściwie pałaszy, to znak naszego braterstwa. Życie pisze swoje scenariusze, bo zeszliśmy się jednak, kiedy poznałem Malwinę i Pelagię. Ja dostałem kosza od Malwiny, zainteresowałem się cudowną Pelagią, a kilka miesięcy później Malwina poznała się z Wieśkiem na kempingu w Chałupach. Nie przyznaliśmy się nikomu, że coś nas z Wieśkiem łączy, nawet wam. Decyzja podjęta w młodości, że dla bezpieczeństwa nie będziemy się z Wieśkiem nigdy spotykać, była dramatyczna, ale los chciał chyba inaczej, skoro mój brat wpadł akurat na Malwinę. Coś nas

chyba do siebie przyciągało, mimo różnicy wieku, niedużej, ale zawsze, czuliśmy się jak bliźniacy. – Stefan spojrzał z uśmiechem na Robusia i Paulinkę. – Niestety, po jakimś czasie dopadła mnie mroczna przeszłość, o której teraz nie ma sensu mówić, i musiałem uciekać. Skutecznie, Pelagio, wybacz mi raz jeszcze. Nie mogłem cię narażać. Musiałem zniknąć, a najlepszym sposobem na zniknięcie jest...

– Niepokazywanie się przez dwa dni, co, Stefan? – wybuchnęła Pelagia. – Sama kazałam ci nie wchodzić mi w drogę, ale przegiąłeś, jak Boga kocham!

– Ciociu, niech ciocia da mu już spokój – jęknęła Bożena. – Przecież wszystko wytłumaczył.

– Ale ja się martwiłam o tę glizdę!

Stefan opuścił głowę.

– Naprawdę się o mnie martwiłaś? – zapytał cicho.

– Tak, ale nie myśl sobie, że to coś zmienia, łachudro jedna. Możesz usiąść obok mnie, ale tylko czegoś spróbuj, to łapska poprzetrącam.

– Mam niczego nie jeść?

– Nie o jedzeniu mówię. Masz trzymać dystans, ewentualnie bawić mnie interesującą rozmową i tylko tyle, jasne?

Twarz Stefana pokraśniała.

– Dziękuję, moja droga, jesteś cudowna.

– Bez tanich pochlebstw, Stefan – warknęła ciotka, przesuwając się trochę, żeby zrobić Stefanowi miejsce. – Za stara jestem na takie numery.

Gdy Stefan zajął już swoje miejsce, Malwina podniosła talerzyk z opłatkiem.

– Lekko zwilgotniał przez rok, ale nie musi być smaczny, prawda? Nie o to w nim chodzi. Częstujcie się i zacznijmy wreszcie.

Wszyscy wstali, podeszli do niej i wzięli po kawałku opłatka, a potem podchodzili po kolei każdy do każdego, składając sobie nawzajem życzenia. Panował półmrok, od świec na lichtarzach było ciepło, zrobiło się miło i jakoś tak miękko. Wreszcie towarzystwo zasiadło do stołu i zaczęła się kolacja.

– Jest tylko jedna smutna rzecz w tym braku prądu – stwierdziła Janeczka, nakładając sobie karpia. – Nie można włączyć radia i posłuchać kolęd. Nie, Zdzisiu, daj spokój, wiem, że masz entuzjazm, ale tylko entuzjazm, więc nie śpiewaj jednak, dobrze? Zwłaszcza tej o malusieńkim jeżu.

Szwagier zastygł z otwartymi ustami.

– Wtedy po prostu wypilem za dużo nalewki – bąknął, lekko czerwieniejąc.

– Nie chodzi o słowa, Zdzisiu, tylko o melodię, a właściwie jej brak. Spokojnie, poradzimy sobie i bez kolęd...

Nagle rozległ się czyjś śpiew. *Dzisiaj w Betlejem* zabrzmiało w sali jadalnej pięknym, czystym barytonem lirycznym. Wszyscy oniemieli, patrząc, jak Stefan potężnym głosem śpiewa z zapalem kolędę. Nawet Szwagier, zwykle obojętny wobec piękna natury czy sztuki przedmiotów stworzonych przez geniusz człowieka, był pod wyraźnym wrażeniem.

– Stradivarius – powiedział zachwycony, kręcąc z podziwu głową.  
– Normalnie Stradivarius.

Ci goście, którzy czuli się na siłach, dołączyli do Stefana i chóralny śpiew wzniósł się ku świetlikowi i Liczyrzepie z przetrąconym kręgosłupem. Kiedy skończyli, rozległy się gromkie brawa, które Stefan przyjął z właściwą sobie skromnością.

– Komu jeszcze uszek i ile? – zapytała Janeczka, kiedy umilkli.

– Ja chętnie. – Stefan skorzystał z okazji.

– Gdzie ty to mieścisz w tej swojej nędznej powłoce? – zapytała ciotka.

– Powłoka nędzna, ale odporna na wszystko, co Stefan? – Misiek puścił do niego oko.

Stefan tylko się uśmiechnął.

– Co wy tam znowu knujecie? – zapytała podejrzliwie ciotka.

– Męskie sprawy, ciociu – odparł Misiek i zajął się sałatką jarzynową.

Podczas każdej wieczerzy wigilijnej, w której uczestniczą dzieci, przychodzi w końcu taka chwila, kiedy nie da się dłużej udawać, że prezenty są tylko mało istotnym dodatkiem do świetnej rozrywki, jaką stanowią prowadzone przez dorosłych rozmowy o rodzinnych wtopach, polityce i ekonomii. Taka chwila nadeszła też w Willi Malwie niedługo przed dziewiętnastą.

– Dobra. – Seniorka rodu westchnęła, popatrując na Robusia i Paulinkę, i wyrzekła słowa, których oboje wyczekiwali jak kania dżdżu. – A co my tam mamy pod choinką?

– Prezentyyyy! – Oboje bliźnięt rzuciło się w jej stronę z wrzaskiem, dlatego nikt nie usłyszał szwagrowej „jodły”.

Zanurkowały pod gałęziami i zaczęły wyciągać pudełka oraz torby, a potem odczytywać imiona z karteczek. Zrobił się szum, a co jakiś czas rozlegał się hałas niecierpliwie rozdieranego papieru.

Misiek kątem oka obserwował Bożenę i Młodego. Oboje ze zdziwieniem przyglądali się swoim prezentom wielkości pudełka zapalek.

– Pięć stów? – Młody wybałuszył oczy, kiedy otworzył swój.

– Jesteś już chyba za stary na jakieś pierdoły i sam wiesz najlepiej, co chciałbyś mieć, nie? – stwierdził Misiek.

– Przekonałeś mnie. – Młody wyszczerzył się do ojca.

– Tylko nie wydaj wszystkiego na wiesz co! – Pogroził mu palcem.

Młody wywrócił oczami. Kiedy Misiek odwrócił głowę w stronę Bożeny, natknął się prosto na jej usta wystawione do buziaka.

– Dziękuję, skarbie – powiedziała czule, całując go w czubek nosa. – Jest piękny.

– Wszystkiego najlepszego od nieczułego potwora. – Zmrużył oczy. – Zapiąć ci go? – Wskazał na złoty łańcuszek.

– Tak, poproszę – szepnęła, podała mu pudełeczko i uniosła włosy z tyłu głowy, odsłaniając kark.

Zapiął jej łańcuszek i poprawił włosy, wdychając ich zapach.

– Mam dzisiaj spać u kogoś innego? – zapytał Młody.

– Ej, mówiłem ci już, nie bądź taki hop do przodu, bo cię z tyłu zabraknie – poradził mu Misiek.

Odebrał swój prezent od rozentuzjasmowanej Paulinki, położył go na podłodze obok swojego krzesła, gdzie leżało już kilka innych, i zerknął na Szwagra, który właśnie podniósł do góry pudełko z puzzlami i zagrzechotał nim.

– Układanka ze słupem energetycznym? – zapytał Miśka zdziwiony, widząc, że na niego patrzy.

– To wieża Eiffla, Schwagier – wyjaśnił cierpliwie Misiek. – Jest w Paryżu. A Paryż jest we Francji, nie w Chinach, gdybyś miał jakieś skojarzenia kulinarne.

– Okej...

– Sto pięćdziesiąt kawałków. To już nie przelewki. Ale wierzę w ciebie, do następnych świąt na pewno zdążysz.

– Dwa razy, Michu, dwa razy!

Szwagier rozpakował kolejny prezent i założył na szyję debilny krawat z reniferem, któremu świecił się na czerwono nos i który mógł śmiało konkurować z zadkami reniferów ze swetra Stefana. Zakładał

podobny krawat praktycznie rok w rok, w każdą Wigilię. Raz był to właśnie renifer, innym razem bałwan albo Grinch, którego Szwagier wziął za Shreka. Skarpet nie założył i Miśkowi smutno się zrobiło na myśl, że po zakończeniu imprezy odłoży je do szuflady, w której spoczywa pewnie kilkanaście podobnych par. Nie było niczyjej winy w tym, że z racji braku zainteresowań, hobby czy czegokolwiek, co ułatwiłoby wybór prezentu, nie dało mu się kupić niczego sensownego.

Kiedy rozpakowywał ostatnią paczuszkę, Misiek lekko zacisnął mięśnie ud.

– Mój telefon! – wrzasnął nagle Szwagier, budząc popłoch. – Mój zagubiony telefon! I jak tu nie wierzyć w świętego mikołaja?

– Wujku, nie ma świętego mikołaja. To rodzice kupują prezenty, a potem robią ten cały cyrk z mikołajem, przecież dobrze wiesz – powiedział Robuś, rozpakowując kapsułę czasu pułkownika Zoobera, o której marzył od miesiąca.

Misiek, przypominając sobie pułkownika podłączonego do latarni, zaczął się na serio zastanawiać, co potrafiłaby taka kapsuła czasu. A potem stwierdził, że woli nie wiedzieć.

– Mój tata nie żyje, a mama była cały czas w szpitalu, co ty na to, mały spryciarzu? – Szwagier wywalił język.

– Noo... Ale przecież to ty podkładałeś prezenty pod choinkę – zauważyła przytomnie Paulinka.

– Nie w tym roku, skarbeczku, nie tym razem, przecież robiliśmy wtedy łańcuchy. – Szwagier pokręcił głową, a na jego twarzy wciąż była taka radość, jaką Misiek widywał na twarzy swojego syna, kiedy Młody wierzył jeszcze w grubasa z brodą i worem. – A jednak istnieje...

– Wiesz, Szwagier. – Misiek zrobił niewinną minę. – Zawsze jest szansa, że telefon podrzucił ci ten niedźwiedź, który go znalazł

w lesie, no nie?

– U nas nie ma niedźwiedzi, Michu, mówiłem ci.

Młody spojrzał na ojca.

– Chyba jednak są, co? – szepnął. – Takie małe niedźwiedzie.

Miśki właściwie.

Misiek oddał spojrzenie, uśmiechnął się szeroko i klepnął syna w ramię.

– Wesółych Świąt, stary. Wesółych Świąt...

– Ale że dałeś mu pod choinkę jego własny telefon? – zdziwił się Młody.

– Co z tego? Patrz, jak się cieszy.

Obaj spoglądali na szczęśliwego Szwagra, który ścisnął swój odzyskany telefon niczym najdroższy skarb, jak oszalały klikając palcem po wyświetlaczu.

– Ciekawe, co w nim ma? – Misiek mrugnął do syna.

– Nie sprawdziłeś?

– A co ja haker jestem?

– Nie korciło cię?

– Trochę – przyznał po chwili Misiek. – Pomyślałem sobie, że może dzięki obejrzeniu zawartości da się choć trochę zrozumieć, czemu Szwagier taki jest. Przybliżyć się choć krok do tej jednej z największych tajemnic Wszechświata, a może nawet ją odkryć.

– Ale nie skorzystałeś z okazji.

– I tak nie znałem PIN-u, więc nawet nie próbowałem. Tylko go naładowałem. – Cmoknął kącikiem ust i znów zamyślony zapatrzył się na Szwagra.

A ten nagle zmarszczył czoło, obejrzał telefon ze wszystkich stron, jakby spodziewał się znaleźć tam coś interesującego, a potem podrapał się w brew.

– Co się dzieje, Szwagier? – zapytał Misiek z lekkim niepokojem.

- Ktoś mi puka do telefonu.
- Co ty mówisz?
- No popatrz. – Podstawił Miśkowi telefon pod nos. – Trochę czasu go nie miałem i chyba pomyliłem te cyferki, które się wpisuje na początku. Ktoś wie, co to jest PUK?

KONIEC

Szczecin/Pilchowo, lato 2022





## Krótko od autora

Słyszałem kiedyś, że świąteczne piosenki nagrywa się latem. Wydawało mi się to dziwne, choć całkiem logiczne, zważywszy na realia produkcji: wszystko musi trwać, to oczywiste. Ale to musi być zabawne uczucie, wejść spoconym od upału do studia, żeby nagrać kawałek, w którym nawijasz o śniegu, saniach, brodatym grubasie w czerwonym kostiumie i kłaskasz „ding-dong” w takt dzwoneczków akompaniamentu. Wczuwasz się w świąteczną atmosferę, a kiedy skończysz nawijać o zimie i świętach Bożego Narodzenia, znów wychodzisz na upał, żeby się dalej pocić. Chyba że jesteś George’em Michaeliem i w sierpniu wywożą cię w zaśnieżone szwajcarskie Alpy, żeby nagrać klip do najbardziej denerwującej piosenki świątecznej ever. Głównie z tego względu, że puszcza ją w radiu już w październiku.

Ta opowieść to mała ucieczka od mrocznych historii, które zwykle tworzę. Podjąłem się jej napisania, bo po pierwsze czasem trzeba odpocząć od trudnych rzeczy, po drugie lubię takie wyzwania, a po trzecie chciałem jechać w te cholerne Alpy, żeby poczuć atmosferę, ale wydawnictwo się nie zgodziło, bo nie jestem George’em Michaeliem. Argument, że obaj tworzymy pod pseudonimami nie został przyjęty. Trudno.

Nie wiem, czy dobrze się bawiliście. Będę to wiedział dopiero zimą. Liczę się jak zwykle ze wszystkim, również z tym, że to będzie najgorsza opowieść świąteczna w waszym życiu, choć życzę serdecznie, sobie i wam, żeby była jednak najlepsza.

I dwie rzeczy na koniec.

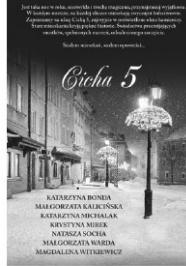
Po pierwsze podziękowania. Dziękuję Pawłowi Molińskiemu, który nie jest reporterem wiadomości, tylko moim sąsiadem i ogarnia sprawy techniczne lepiej niż ja, dzięki czemu mam kogo o te rzeczy zapytać. Przyznaję tym samym publicznie, że jeśli chodzi o kable, piksele i bajty, to jestem w tej dziedzinie Szwagrem. Dziękuję również betacytelnikom: Magdzie Bocian Jodel, Sylwii Depie, Marcie Kosteckiej, Monice Wilczyńskiej, Iwonie Wiśniewskiej i Kamilowi Antolowi. Jak się okazuje, nawet w lekkiej komedii można coś pokiełbasić.

A po drugie być może niektórzy z was zauważyli w paru miejscach znajome słowa czy sformułowania, które gdzieś już kiedyś widzieliście albo słyszeliście. Ja też je widziałem i słyszałem, często dawno temu. Śmieszyły mnie bardzo i śmieszą do dziś. Nie mogłem się oprzeć, żeby ich tu nie wrzucić i choć często pozbawione są tamtego kontekstu, nadałem im nowy. Bo dobrze się bawiłem, pisząc tę historię, i mam nadzieję, że wy jednak również.



Polecamy również:

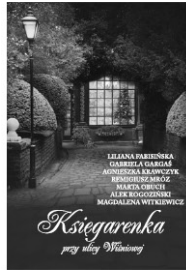
## *Cicha 5*



## *Siedem życzeń*



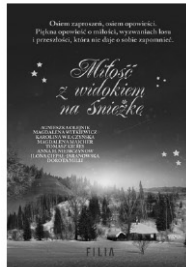
## *Księgarenka przy ulicy Winiawej*



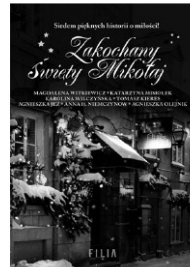
## *Zakochane Zakopane*



## *Miłość z widokiem na śnieżkę*



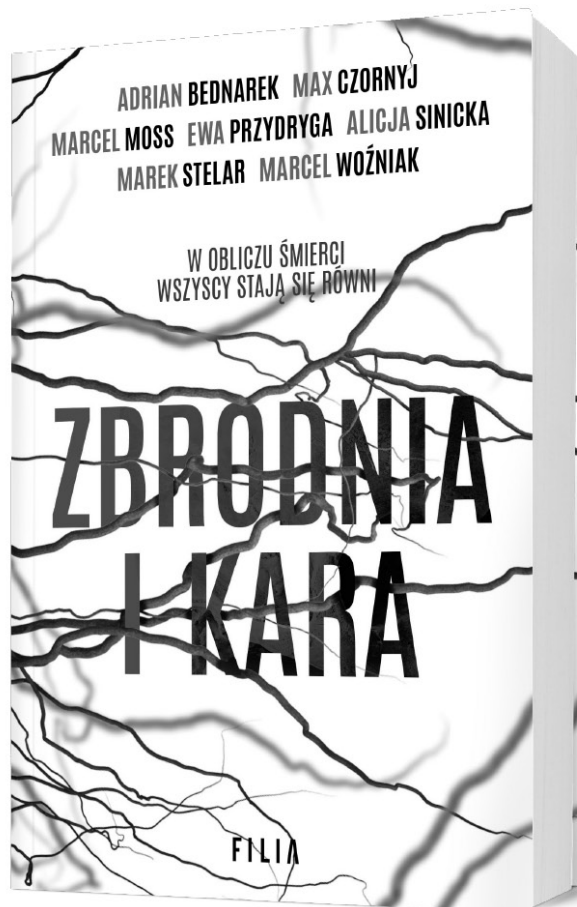
## *Zakochany Święty Mikołaj*



FILIA



**W OBLICZU ŚMIERCI WSZYSCY STAJĄ SIĘ RÓWNI.**



**SIEDMIORO AUTORÓW BESTSELLEROWYCH KRYMINAŁÓW MIERZY SIĘ Z TEMATEM JEDNEJ Z NAJSŁYNNIEJSZYCH POWIEŚCI FIODORA DOSTOJEWSKIEGO, „ZBRODNI I KARY”.**

**FILIA**





*Ależ Stelar robi tu robotę!*  
*Świetny, nieoczywisty i mroczny kryminał. Brać i czytać!*  
**WOJCIECH CHMIELARZ**



*Wyrazisty i trzymający w napięciu.*  
*Kryminał Stelara to klasa sama w sobie!*

**ROBERT MAŁECKI**

**FILIA** MROCNNA  
STRONA



# Spis treści

[Okladka](#)

[Karta tytułowa](#)

[21 grudnia, godzina 17.00](#)

[21 grudnia, godzina 18.00](#)

[21 grudnia, godzina 19.00](#)

[22 grudnia, godzina 02.30](#)

[22 grudnia, godzina 09.00](#)

[22 grudnia, godzina 12.25](#)

[22 grudnia, godzina 15.00](#)

[22 grudnia, godzina 19.30](#)

[22 grudnia, godzina 23.30](#)

[23 grudnia, godzina 09.00](#)

[23 grudnia, godzina 10.30](#)

[23 grudnia, godzina 14.00](#)

[23 grudnia, godzina 23.00](#)

[24 grudnia, godzina 12.00](#)

[24 grudnia, godzina 15.00](#)

[24 grudnia, godzina 16.00](#)

[24 grudnia, godzina 17.00](#)

[Krótko od autora](#)

[Reklama 1](#)

[Reklama 2](#)

[Reklama 3](#)

[Karta redakcyjna](#)

Copyright © by Marek Stelar, 2022  
Copyright © by Wydawnictwo FILIA, 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2022

Projekt okładki: © PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN

Zdjęcia na okładce:

© Dzianis Rakhuba | Dreamstime.com

© Oksana Shumytska | Dreamstime.com

Redakcja, korekta, skład i łamanie: Editio

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:

„DARKHART”

Dariusz Nowacki

darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8280-428-7

**FILIA**

Wydawnictwo Filia  
ul. Kleeberga 2  
61-615 Poznań  
wydawnictwofilia.pl  
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona  
mrocznastrona.pl

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.